

Laurie Grant

**Pieśń
minstrelów**

scandalous

PROLOG

Normandia, 1141

- Zrezygnował ze mnie? Baron Hawkswell wzgardził mną, Sidonie Gisele de l'Aigle, dziedziczką takiego rodu? Nie odpowiadam mu? Uważa siebie za aż tak majątnego, że moje wiano jest mu niepotrzebne? - Kipiała oburzeniem, a jej policzki pałały. Na Przeczystą Panienkę, nie przeżyje tego upokorzenia! Spali się ze wstydu!

Jej ojciec, Charles, książę de l'Aigle, widział rzeczy trochę od innej strony.

- Jego jedynym bogactwem jest głupota. Brak mu nawet na jałmużnę dla paralytyka. Odtrącił cię, bo gdzie indziej zobaczył pełniejszą kiesę. Dama, która wpadła mu w oko, jest z rodu wspierającego tron. To poplecznicy króla Stefana.

Gisele oniemiała, zapominając na chwilę o doznanym upokorzeniu. Pochodziła z rodu związanego ścisłymi więzami wasalności z królową Matyldą, prawowitą dziedziczką tronu Anglii, a baron Hawkswell był dotychczas jedynym z najbliższych jej stronników. Albo więc ten człowiek oszalał, albo...

- Czyżby baron stanął teraz u boku króla Stefana?

Książę de l'Aigle zmarszczył brwi i w zamyśleniu tarł brodę.

- Nie sędzę, ale cała sprawa wygląda na dość tajemniczą. Doniesiono mi, że nadal jest stronnikiem Matyldy i że poślubił tamtą kobietę za zgodą i z błogosławieństwem królowej.

Gisele syknęła. Ból odrzucenia zmieszał się w jej sercu z zazdrością. Tam, gdzie ojciec widział tajemnicę, ona dostrzegła oczywistość: lord Alain ożenił się z miłości! Tak bardzo kochał tamtą kobietę, że nawet zaryzykował niełaskę i gniew władczyni, lecz nagrodzony został jej przychylnością.

Och, gdyby znalazł się rycerz, który to samo zrobiłby dla niej, Gisele de l'Aigle! Imię Alain brzmiało dotychczas tak mile w jej uszach, w małżeństwie z baronem Hawkswellem upatrywała bowiem szansy na spełnienie swych marzeń o szczęśliwym związku, w którym będzie rozumiana, szanowana i miłowana nie za swój posag, tytuł i koneksje, lecz za to, kim jest. Niestety, marzenia przysły. Mogła przywdziać po nich żałobę.

- O wielu rzeczach nie wiemy - rzekł ojciec, nieświadomy jej zgryzoty. - Jasne jest dla mnie tylko to, że nie posunąłem się ani o krok w moich staraniach. Jestem już stary, nie mam męskiego potomka ani widoków na wydanie córki za męża.

Słowa te były dla Gisele kolejnym ciosem, chociaż słyszała je już tyle razy. Odnosiła niekiedy wrażenie, iż dla jej ojca przyjście na świat córki było złośliwym błędem natury, który należało naprawić różnymi „staraniami”. Owszem, była dziewczyną, ale zarazem dzieckiem zasługującym na ojcowską miłość. Wykrzyczałaby to teraz, gdyby miała choć cień nadziei, że odniesie to jakiś skutek.

Niestety, ojciec nigdy nie pokocha jej tak, jak pokochałby syna, gdyby Bóg go nim obdarzył. W jego oczach była bowiem jedynie moneta, za którą chciał kupić kogoś, kto zastąpi męskiego potomka - czyli zięcia. Cóż, miał prawo mieć swoje plany, ona jednak miała własne.

- Tylko nie sądz, ojcze, że dam się byle jak sprzedać jakiemuś młokosowi po tej czy po tamtej stronie Kanału. Zostanę tutaj, w l'Aigle, i będę twoją kasztelanką - oświadczyła, podchodząc do okna i spoglądając na siwy nurt Risle, toczącej swe wody tuż za obronnymi murami zamku.

- A kiedy umrę? - spytał z chmurną twarzą.

- Wtedy przejmę wszelkie prawa należne księżnej l'Aigle.

- Ty głupia dziewczyno! - ryknął czerwieniejąc. - Kapuściana głowo! To i ostatnia dziewczka od krów wie, że żadna kobieta nie obroni zamku, ani. l'Aigle, ani żadnego innego.

- Ale Matylda odziedziczyła tron po ojcu...

- Tak, tyle że nie muszę ci chyba przypominać, jakie to na razie przynosi skutki? Anglia jest rozdarta na dwie części, a walka ze Stefanem niszczy kraj i dzieli baronów. Miasta są oddane na pastwę łupieżców, ziemi nikt nie uprawia. Nie zdążysz nawet mnie pochować, gdy napadnie na ciebie któryś z sąsiadów, tych szlachciców-bandytów, których ostatnio tak się namnożyło. Nie, Sidonie Gisele - zawsze używał obu jej imion, gdy był na nią wściekły - albo małżeńskie łożo, albo zakon. Z góry wykluczam to drugie, gdyż nie mam dziedzica, a nie pozwolę, by zaraz potem jak zamknę oczy, moje włości zostały

po części włączone do dóbr kościelnych, a reszta rozszarpana!

Ostatnie słowa odbiły się echem od kamiennych murów twierdzy, jednak Gisele nie upadła na duchu. Podjęła już decyzję, że nie będzie własnością żadnego mężczyzny. Zanim jednak zdobyła się na słowa sprzeciwu, jej ojciec przemówił ponownie:

- Nigdy nie zrezygnuję z moich ambicji. Królowa nie zostawiła mnie na łasce losu, wręcz przeciwnie. Jej woła jest ujrzeć cię na swoim dworze w Anglii. Jako jej dama dworu, będziesz stale na oczach baronów, wśród których wielu rozgląda się za godną kandydatką na żonę.

- Mam sama jechać do Anglii? - Jak mógł wysyłać ją do kraju dotkniętego nieszczęściem wojny domowej, co sam zresztą przed chwilą zaznaczył?

A jednak było w tych jego planach coś, co wydało się jej pociągające. Przede wszystkim Gisele uwolni się od ojca, który nie kochał jej, wręcz lekceważył, natomiast królowa była dzielną i wzbudzającą szacunek niewiastą, która walczyła o utrzymanie korony po swym ojcu Henryku. Ponieważ jej małżeństwo z hrabią Andegaweńskim okazało się nieudane, można było mieć nadzieję, że pomna bolesnych doświadczeń zrozumie wolę i pragnienie innej kobiety, jeśli ta zechce pozostać w stanie wolnym i nadal decydować o swoim życiu.

Być może też w Anglii los zetknie ją z baronem Hawkswellem i jego małżonką, kobietą, którą wybrał za cenę odtrącenia jej, Gisele de l'Aigle.

- Skądże znowu, nie puszczę cię samej - warknął książę. - Dziedziczka l'Aigle nie może pojawić się na dworze

jak jakaś przybłęda. Dam ci godną eskortę najświetniejszych normandzkich rycerzy, mimo że tutaj przydałoby się każde zbrojne ramię. Pojedzie też z tobą Fleurette. Ona zostanie, lecz rycerzy, a sądzę, że sześciu całkowicie ci wystarczy, odeślesz natychmiast po przybyciu na miejsce.

Gisele tak bardzo się ucieszyła, że będzie towarzyszyła jej stara niania, od dawna raczej droga przyjaciółka niż służąca, iż zrezygnowała z wypomnienia ojcu jego skąpstwa w sprawie rycerzy. Przedkładał pozór nad prawdziwą troskę o bezpieczeństwo jedyne dziecko. Przecież tam, w Anglii, mogły przydarzyć się jej różne niebezpieczne przygody.

Jednakże z Anglią wiązała się również nadzieja na uwolnienie spod despotycznej rodzicielskiej władzy.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Przysięgam, nie mam już czym wymiotować - jęknęła Gisele, zwiwając się na koi w małej nadbudówce na rufie jednożaglowego statku „Saint Valery”.

- Tak, to pewne, że nie jesteś córką żeglarza - mruknęła stara Fleurette, odgarniając z jej czoła mokre od potu kosmyki. - Odkąd opuściliśmy Normandię, Kanał jest gładki jak staw z żabami. Przyznaję, że wolałabym nie płynąć z tobą po wzburzonym i rozwścieczonym morzu.

- Nie obawiaj się, bowiem już nigdy, za żadne skarby nie postawię stopy na pokładzie statku. - Kolejny atak mdłości wstrząsnął ciałem Gisele, ale z jej ust pociekła już tylko ślina.

- Co? Nie zamierzasz wrócić do domu? - spytała stara kobieta z niepokojem w głosie, zaraz jednak zaczęła sama sobie wyjaśniać: - Oczywiście, że wrócisz, byleby tylko los pozwolił ci znaleźć jakiegoś dorodnego barona, którego przedstawisz ojcu jako swego męża, najlepiej wraz z czwórką czy szóstką zrodzonych z jego nasienia dzieci.

Gisele miała absolutne zaufanie do starej przyjaciółki, kobiety, która ją wykarmiła, jednak nie miała teraz siły zwierzać się jej, iż zaplanowała swoje życie zupełnie inaczej, niż wyobrażał to sobie książę de l'Aigle. Grała więc dalej narzuconą rolę.

- Masz rację, wróć do Normandii z mężem i dziećmi, które mu urodzę - powiedziała z bladym uśmiechem. - Będziemy tak dobraną parą, że przelecimy rozhuśtane morze na skrzydłach naszego szczęścia, tak jak to zdarza się w czarodziejskich baśniach.

- A niech cię, Gisele! - Fleurette poczęstowała ją kuksańcem. - Zawsze miałaś bujną wyobraźnię.

- Dziwne, bo myślę, że to ty w tej chwili puszczasz wodze fantazji, mówiąc o tym moim triumfalnym powrocie do Normandii z mężem i gromadką dzieci. A mówisz to w chwili, gdy nawet jeszcze nie zawinęliśmy do angielskiego portu, gdzie ponoć czekają na moje przybycie najświetniejsi baronowie Wyspy, a każdy gotów jest walczyć o moją rękę.

- Mówiąc od serca, ptaszyno, naprawdę nie wiem, co umyślił sobie twój ojciec, wysyłając cię do kraju ogarniętego anarchią, podzielonego na stronników Matyldy i Stefana z Blois...

- Ład na horyzoncie! - Z bocianiego gniazda dobiegł ich uszu krzyk majtka.

Godzinę po dobieciu do brzegu byli już w drodze do Londynu. Gisele, wyczerpana torsjami, chciała przenocować w Hastings, wiedząc, że taki odpoczynek dobrze by również zrobił posuniętej w latach Fleurette. Sprzeciwił się jednak temu sir Hubert LeBec, najstarszy z towarzyszących jej rycerzy, surowy i dzielny krzyżowiec. Misję eskortowania księżniczki traktował jako uciążliwy i mało zaszczytny obowiązek, pragnął więc zakończyć ją jak najszybciej. Ustąpił tylko o tyle, że pozwolił Gisele i jej to-

warzyszcze odświeżyć się w gospodzie, sam na ten czas nie zsiadając nawet z konia.

Przyjęła tę decyzję w milczeniu, bez sarkau. Umyła się, przebrała i spożyła ciepły posiłek, mimo że na statku sama myśl o jedzeniu sprawiała jej niemal fizyczny ból. Z niecierpliwością oczekiwała początku nowego życia, które miało zacząć się w Londynie na dworze królowej Matyldy.

Dosiadła szlachetnej rączej kasztanki i ruszyła w dalszą drogę. Przejeżdżali przez kraj opromieniony urodą końca wiosny i początku lata. Czerwieniła się naparstnica, śpiewały skowronki, widać było pasące się krowy i owce. Kwitnące na żółto łany gorczycy falowały na wietrze. Zieleniły się zboża, które dopiero ubierały się w kłosa. Lasy pachniały żywicą. Czasem wyrzała z gęstwiny samotna łania lub wybiegł lis.

A więc taka jest Anglia, myślała Gisele. Jak na razie kraj ten wcale nie wyglądał na ogarnięty wojną domową, targany waśniami i swarami. Poza tym panowała tu piękna i sucha pogoda, ona zaś spodziewała się wilgoci i mgieł. Miała tu, pod angielskim błękitnym niebem, rozpocząć nowe życie. Nie było w nim miejsca dla mężczyzny, który dyktowałby jej, co ma robić.

Jechali już od dobrych kilku godzin, a wciąż było widać tylko pola, lasy i wioski. Ścisnęła konia piętami i dogoniła jadącego na przedzie LeBeca.

- Jak daleko jeszcze do Londynu? Czy dotrzemy tam przed nocą, sir Hubercie?

Uśmiechnął się pod nosem, co jednak bardziej przypominało grymas.

- Nawet gdybyśmy mieli skrzydła, nie zdołalibyśmy

tego dokonać. Będziemy musieli przemocować w opactwie.

- W opactwie? Czyżby po drodze nie było żadnego zamku, gdzie moglibyśmy liczyć na gościnność? Zakonne cele mają twarde prycze, a i jedzenie jest tam bardziej niż skromne. Poza tym braciszkanie, gdy usługują niewiastom, spuszczały skromnie oczy, tak iż się zdarza im nalać wina do zupy zamiast do kielicha - powiedziała, przypominając sobie swoje podróże po Normandii.

- Zatrzymamy się w opactwie - rzekł sir Hubert stanowczo. - Taka jest wola twego ojca, pani. Większość baronów z południa Anglii zalicza się do stronników Stefana i nawet ci, którzy dotychczas wspierali Matyldę, w ostatnim czasie mogli przejść do jego obozu. Dla nich wszystkich byłabyś, pani, cenną zdobyczą. Albo zażądano by okupu, albo narzucano ci małżeństwo, które zmusiłoby twego ojca, pani, do przystąpienia do popleczników Stefana.

- Rozumiem, sir Hubercie. Będzie tak, jak postanowił mój ojciec.

Rycerz milczał. Okolica zmieniła się na bardziej lesistą.

- Co to za miejsce? - spytała Gisele, spoglądając na potężne dęby i buki po obu stronach traktu, przesłaniające swoimi koronami niebo. Panował tu wilgotny i chłodny półmrok.

- To bory hrabstw Kent, Surrey i Essex. Tutaj schronili się uciekający przed Wilhelmem Zdobywcą Sasi, a dziś w tym miejscu przebywają ich duchy.

- Duchów należy się strzec. Dlaczego więc nie okrażemy tych kniei, tylko przecinamy je? - spytała, starając się mówić głosem możliwie opanowanym.

- Ponieważ zataczając łuk, musielibyśmy nałożyć dwa dni drogi, a poza tym jest wielce prawdopodobne, że natknęlibyśmy się na stronników Stefana: - Spojrzał chmurnym wzrokiem na Gisele. Marnował tylko czas, rozmawiając z tym chuchrem i tłumacząc wszystko jak dziecku. Obrócił się w siodle i krzyknął: - Mieć uszy i oczy szeroko otwarte, druhowie. W tej gęstwinie może się czaić całe wojsko poległego pod Hastings Harolda.

Gisele podążyła za jego wzrokiem. Uderzył ją wyraz twarzy pozostałych pięciu rycerzy. Spoglądali na nią, lecz tym razem nie odnalazła w ich spojrzeniach szacunku, do którego zdążyła już przywyknąć, tylko jakby... głód. W jednej chwili uświadomiła sobie swoją sytuację. Była sama w ciemnym lesie z sześcioma mężczyznami. Na pomoc starej Fleurette nie mogła liczyć. Pozostało jej tylko mieć nadzieję, że normandzcy rycerze, którym zaufała jej ojciec, nie przemienia się w łotrów i gwałcicieli. A choćby tylko w łotrów, którzy porwą ją dla okupu, bo dojdą do wniosku, że więcej na tym zyskają, niż nadal wiernie służąc księciu l'Aigle. W myślach zaczęła odmawiać litanie do Przczystej Paniienki, by zyskać jej wsparcie. Ściągnęła wodze i dołączyła do Fleurette.

Niania słyszała rozmowę Gisele z sir Hubertem i odgadła, o czym myśli jej „ptaszyna”, miała jednak swój osąd w tej sprawie:

- To nie rycerzy ojca powinnaś się obawiać - rzekła ściszym głosem. - W tym kraju nie brakuje przeróżnego rodzaju rzezimieszków i awanturników. Dobrze im się żyje w tej atmosferze anarchii, jaką stworzyła walka o tron. To oni korzystają najwięcej na niepokojach i woj-

nie podjazdowej. Mówi się, że Bóg zapomniał o tej krainie.

Gisele wzdrygnęła się, niespokojnie zerkając w mroczną gęstwinę. Panowała tu pierwotna cisza matecznika, którą zakłócały jedynie parskanie koni i stukot kopyt, brzęk uprząży, skrzypienie siodeł i z rzadka rzucane przez rycerzy słowa.

Mogłaby przysiąc, że czuje na sobie czyjeś spojrzenie, całkiem inne od spojrzeń jadących za nią mężczyzn, lecz mimo uważnego przepatrywania obu stron drogi nie zobaczyła niczego prócz zielonej masy listowia i brunatnych pasm kory. Rzucona przez LeBeca uwaga o duchach głęboko zapadła w jej umysł.

W pewnej chwili gdzieś trzasnęła gałązka i Gisele aż podskoczyła w siodle, płosząc konia i będąc zmuszoną ściągnąć wodze. Jej nerwy były napięte jak postronki.

Nagle LeBec przeklął i huknął:

- A co to takiego?

W poszyciu zaszeleściło i na otwartą przestrzeń duktu wyskoczył okazały jeleni. Zrobił dwa imponujące susy i znikł w zaroślach po przeciwnej stronie.

- Szkoda, że żaden z nas nie miał w rękach napiętego łuku - zauważył jeden z rycerzy. - Wolałbym pieczone z tego rogowca od kleików, którymi nakarmią nas mnisi.

- Zwierzyna z tych lasów nie jest dla takich jak my - odparł LeBec gniewnym głosem. Był wściekły na siebie, że hałas spowodowany przez rogowca uznał za oznakę zagrożenia. - Za zabicie jelenia w kniei królewskiej grozi stryczek.

- Co mnie obchodzą prawa ustanawiane przez Stefana - próbował sprzeciwić się rycerz. - Czyż mój pan, księżę de l'Aigle, nie jest popiecznikiem królowej?

- Możesz sobie sarkać na obowiązujące prawa, dopóki Stefan nie skręci ci karku - odparł dowódca.

To skończyło rozmowę i znowu zapanowała cisza. Konie wlokły się noga za nogą. Odwieczna knieja tchnęła tajemnicą.

Zagrozenie przyszło z góry. W pierwszej chwili Gisele pomyślała nawet, że zaatakowały ich jakieś ogromne ptaki. Ale byli to ludzie. Ciemne kształty oderwały się od konarów zwisających nad drogą i spadły na podróźnych. LeBec i dwóch rycerzy znalazło się na ziemi. Ich konie stanęły dęba i pognały przed siebie. Zaświstały strzały. Jedna z nich utkwiała w szyi rycerza jadącego tuż przed Gisele. Buchnęła krew, nieszczęśnik opadł twarzą na grzywę swego konia.

- Chryste, zmiłuj się nad nami! -jęknęła niania, gdy inna strzała trafiła ją w pierś. Staruszka zwiotczała i zsunęła się z siodła niczym szmaciana kukiełka.

- Fleurette! - krzyknęła Gisele głosem pełnym rozpacz i trwogi. Rozejrzała się wokół i zobaczyła walkę, a raczej rzeź. Bandyci przeważali liczebnie, poza tym zaatakowali z zasadzki i niespodziewanie. Draśnięty strzałą wierzchowiec Gisele skoczył pionowo z wygiętym grzbietem, a potem dał szczupaka, tak że dziewczyna tylko cudem utrzymała się w siodle. Słyszała krzyki, przekleństwa i przeraźliwe jęki. Poczwała zapach krwi.

Rzeź dobiegła końca i Gisele nie miał już kto bronić. Ujrzała brudne, zarośnięte, spocone twarze bandytów.

Wymachiwali nożami unurzanyimi we krwi normandzkich rycerzy, którzy teraz nieruchomo leżeli w pyłe drogi. Uświadomiła sobie z przerażeniem, że zazdrości im takiego końca. Ją bowiem czekało coś o wiele gorszego, coś, przy czym słowa LeBeca o porwaniu dla okupu wydawały się bajką, którą opowiada się dzieciom do snu. Zostanie zgwałcona przez tych strasznych ludzi, a potem poderżną jej gardło, zostawiając obnażone i pohańbione ciało na pożarcie dzikim zwierzętom. Na koniec jej zbiełałe kości przysypią jesienne Uście.

Nieświadomym sprzymierzeńcem okazał się jej wierzchowiec. Chwyła się jego grzywy, on zaś szalał, wierzgając na wszystkie strony. Żaden z bandytów nie ośmielił się podejść. Wreszcie jeden z nich poszedł po rozum do głowy. Nałożył strzałę i naciągnął łuk, celując w samą pierś rozszalałego zwierzęcia.

Wtedy inny, pewnie herszt bandy, krzyknął coś gardłowo w nie znanym Gisele dialekcie. Z jego gestów wynikało, że zabrania zabijać konia, był bowiem zbyt cenną zdobyczą. Posłuchali go, gdyż ten z łukiem zwolnił cięciwę, a pozostali cofnęli się. Przypominali teraz wilczą watahę. Oczy płonęły im żądzą gwałtu i mordu. Czekali tylko na okazję, by pochwycić konia za uzdę.

Jeszcze chwila, a mogło im się to udać. Przerażona Gisele wrzasnęła, a ogarnięty paniką koń stanął dęba i popędził leśnym duktem, roztrącając i tratując napastników. Wtulona w kark konia i kurczowo trzymająca się jego grzywy, Gisele cwałowała nie wiedzieć dokąd, co i rusz smagana gałęziami drzew. Od tych razów puchła jej twarz i ramiona, a odzienie zamieniało się w strzępy, jednak

dziewczyna miała to za nic, szczęśliwa, że uniknęła pełnej hańby i bólu śmierci.

Krzyki i przekleństwa rozbójników ucichły. Dziewczyna miała nadzieję, że w końcu wydostanie się z lasu i dotrze do jakiejś wioski, gdzie znajdzie kogoś, kto zapewni jej ochronę i pomoże wrócić do miejsca zasadzki, by uratować tych, których być może nie dobito. Jednak szansa na to, że ktoś przeżył, była właściwie żadna. Fleurette musiała skonać natychmiast. Sercem Gisele targnął gwałtowny ból, lecz nie była to właściwa chwila na rozpacz i smutki. Teraz musi dostać się do Londynu i wpłynąć na królową, by wysłała szeryfa w celu oczyszczenia tego zbójczego gniazda.

Nie miała jednak pojęcia, dokąd cwałuje jej koń. Nie panowała nad nim, zatriaciła wiedzę o stronach świata. Nie widziała słońca, które pomogłoby jej zorientować się, czy faktycznie podąża na północ, w kierunku Londynu. Przerażała się, że być może zatacza koło i zaraz natknie się na złoczyńców, którym cudem udało się jej wyrwać.

Przywarła do konia, unikając śmiertelnego zderzenia z grubym konarem i już nie miała odwagi podnosić głowy. Ziemia w szalonym pędzie wciąż umykała spod kopyt, ale niebawem koń zacznie słabnąć i zwalniać, co zapowiadała piana skapująca z jej pyska. Lasy porastały znaczny obszar, lecz przecież nie mogły ciągnąć się bez końca. Ta droga musiała dokądś prowadzić. Do jakichś ludzkich osiedli. Z Bożą pomocą dotrze do nich, zanim się ściemni. Przecież nie może nocować w tej kniei. Umarłaby ze strachu.

Z przodu zamajaczyła zwalona kłoda. Gisele nie miała

nadziei na zatrzymanie rozszalałego konia, lecz przynajmniej usiłowała zmusić go targaniem za grzywę do omińnięcia przeszkody. Na próżno, koń bowiem w ogóle nie zareagował na te rozpaczliwe próby. Nieszczęsna amazonka przymknęła oczy i poleciła Bogu swą znękaną duszę, jednak w ostatniej chwili koń odbił się od ziemi i wyciągnął w skoku.

Był to rumak wielkiej wartości i urody, nie mógł jednak przewidzieć, że za przeszkodą czeka go kolejna niespodzianka - wystający korzeń. Zawadził o niego przednim kopytem, potknął się i pokoziołkował. Gisele miała czas tylko krzyknąć. Wyleciała w powietrze i uderzyła o coś głową. Ujrzała przeraźliwą jasność, jak przy błyskawicy. A potem nie widziała już nic.

ROZDZIAŁ DRUGI

Gisele ocknęła się, czując lekkie trącenie w ramię. Czyżby to jej koń próbował ją dobudzić? Ale nie, pomyślała, mocniej zaciskając powieki. Cokolwiek ją dotykało, nie mogło być miękkim, aksamitnym pyskiem konia, było bowiem zbyt twarde. Mogło być natomiast obutą nogą...

To z pewnością odnaleźli ją zbrojcy i sprawdzają, czy żyje! Zamarła, wstrzymując oddech. Za chwilę spróbują brutalniejszych metod i wtedy ona zacznie krzyczeć. Na pewno bardzo ich tym rozbawi...

Musiała odetchnąć, gdyż zaczynały palić ją płuca. Wciągnęła haust powietrza, wciąż jednak nie otwierała oczu.

- Ona żyje, panie.
- Tak i mnie się widzi.

Te kilka słów powiedziane zostało w normandzkiej odmianie francuszczyzny, nie zaś w dialekcie anglosaskim, jakim posługiwali się rozbójnicy. Gisele ośmieliła się unieść powieki.

Spojrzała prosto w oczy, których ciemna głębia wydawała się nie mieć dna. Stał nad nią mężczyzna i przypartywał się jej z nie skrywaną ciekawością. Z postawy i szerokich ramion wyglądał na rycerza, co potwierdzała kolczuga, którą miał na sobie. Głową sięgał wierzchołków

drzew, lecz było to tylko złudzenie spowodowane tym, że Gisele wciąż leżała na ziemi. Szczupła twarz o rzeźbionych rysach, twarde usta i głęboko osadzone oczy nie stanowiły, być może, najbardziej udanego zestawienia, lecz mimo to przyjemnie było patrzeć na to wybitnie męskie oblicze.

Obok pochylał się nad nią inny mężczyzna, równie wysoki, a może nawet wyższy. Mocno zbudowany, miał na sobie skórzany kubrak, nabijany metalowymi guzami. Nie był przystojny, lecz na jego młodej twarzy malowała się uprzejmość i życzliwość.

- Kim jesteście? - spytała wreszcie Gisele, zmęczona tym pojedynkiem na spojrzenia.

- Mamy prawo zadać to samo pytanie - zauważył noszący kolczugę.

Gisele zastanowiła się, czy powinna powiedzieć prawdę. Sądząc z jego mowy, postawy, odzienia i złotych ostróg, miała do czynienia z człowiekiem szlachetnie urodzonym. Dobrze, tylko kto był jego. seniorem? Jeżeli to król Stefan, a ona wyzna, że jest córką wasala Matyldy, czy wtedy ów nieznany lord zachowa się wobec niej po rycersku? Obawiała się jednak skłamać, ponieważ w sakiewce miała list, w którym ojciec poleca ją królowej. Jeżeli zatem stojący nad nią człowiek miał serce splamione łajdactwem i już zdążył przeszukać ją w nadziei znalezienia czegoś drogiego, to od razu odgadnie jej grę. Nie wyglądał jednak na kogoś wyzbytego honoru i sumienia i na tym wrażeniu postanowiła się oprzeć.

- Jestem lady Sidonie Gisele de l'Aigle. A ty, panie?

Przyglądał się jej w milczeniu. Wyręczył go w odpowiedzi tamten drugi:

- Odnalazł cię, pani, baron Brys de Balleroy. Co robisz sama w tym lesie?

- Milczałbyś, Maislin. Mój giermek, lady Gisele, grzeszy niekiedy zbytym natręctwem. Czy pozwolisz, że pomogę ci dźwignąć się z ziemi? - Wyciągnął ku niej dłoń w rękawicy.

Do tej pory Gisele leżała na wznak bez ruchu. Gdy jednak teraz uniosła się na łokciu, by przyjąć pomoc, poczuła, jakby szatan uczynił sobie z jej głowy bęben bojowy i teraz walił w niego, pokładając się z uciechy. Jęknęła i opadła z powrotem na plecy.

- Pani coś dolega - oświadczył z niepokojem giermek.

- Zdażyłem już to zauważyć - rzekł de Balleroy. - Złapał mi lepiej jej konia, a ja zobaczę, co tu można zrobić.

- Pochylił się nad Gisele. - Masz, widzę, pani, podrapaną twarz, czy jednak odniosłaś jakieś poważniejsze obrażenia? Może złamałaś coś sobie?

Przykucnął przy niej i wyciągnął rękę, jakby chciał obmacać jej członki.

- To głowa - odparła szybko, zanim zdażył jej dotknąć. - Pęka mi z bólu. Koń potknął się i wyleciałam z siodła. Straciłam przytomność. Nie wiem, jak długo leżałam. - Ponowiła wysiłki, by się podnieść.

- Proszę leżeć spokojnie, lady Sidonie - zaczął.

- Gisele - poprawiła go, po czym dorzuciła kilka słów wyjaśnienia: - Pierwsze imię dano mi po matce, używam więc drugiego, by uniknąć pomyłki. - Oczywiście, o żadnej pomyłce od dziesięciu lat, czyli od śmierci matki, nie

mogło być mowy, Balleroy nie musiał jednak tego wiedzieć.

- Nie wiem, jak długo byłaś nieprzytomna, pani, jest teraz jednak późne popołudnie, powrócę więc do pytania mojego giermka. Jak to się stało, że znalazłaś się sama w tym lesie? - Było coś w jego głosie, co kazało jej sądzić, iż zna odpowiedź na to pytanie.

Nagle nasunął się jej przed oczy obraz tamtej rzezi.

- Fleurette! - wykrzyknęła. - Muszę do niej wrócić. I do moich rycerzy. Być może nie wszyscy zginęli! - Kurczowo chwyciła Balleroya za rękę, pełna rozpaczy pomieszanej z ufnością, że wreszcie napotkała mężczyznę, który okaże się pomocny i opiekuńczy.

Jednak Balleroy rozwiązał jej złudzenia.

- Leż spokojnie, pani. Nikomu już nie pomożesz, a tylko sobie zaszkodzisz. Podróżowałaś z sześcioma zbrojnymi i starą niewiastą, czy tak? Ja i mój giermek natknęliśmy się na nich przed godziną. Niestety, wszyscy byli już martwi.

Mógł powiedzieć więcej, wspomnieć o obdartych i zbezczeszczonych ciałach, lecz nie zrobił tego. Lady Sidonie Gisele de l'Aigle i tak już dzisiaj doświadczyła zbyt wielu bolesnych przeżyć. Gdyby opisał jej przeraźliwe skutki rzezi, mogłoby to źle wpłynąć na zdrowie rannej.

Nie próbowała już wstawać, tylko leżała bezwładnie na ziemi. Łzy pojedynczymi kroplami spływały po jej policzkach.

- Napadli nas bandyci, panie - rzekła, usiłując zdusić w sobie szloch. - Zeskoczyli na nas z drzew. Nie spo-

dziewaliśmy się ataku z tej strony. Widziałam, jak strzała utkwiała w piersi mojej starej niani. Miałam jednak nadzieję...

- Jedyna pociecha w tym, że pewnie umarła natychmiast, zanim jeszcze spadła na ziemię - powiedział Brys de Balleroy głosem pełnym współczucia. - Przrzekam, że wrócę tam i dopilnuję, by ciała zostały pogrzebane. Teraz jednak musimy ruszać. Niebawem zacznie się ściemniać, a noc w lesie to duże ryzyko. Czy jesteś, pani, w stanie utrzymać się na nogach?

Kiwnęła głową, on zaś ujął ją pod pachy i pomógł jej wstać. Równocześnie spostrzegł, że giermek prowadzi za wodze kasztankę.

Gisele była pełna jak najlepszych chęci, lecz spadając z konia, nie tylko rozbiła sobie głowę, lecz również skręciła kostkę u nogi. Ból był tak dotkliwy, że poszarzała na twarzy, a czoło zrosiły krople potu. Jęknęła, gdy rycerz zabrał się do ściągania jej bucika z kozłej skóry, i odepchnęła jego dłonie. Wolała już pozostać w tym lesie, byleby tylko nie sprawiano jej cierpienia. Balleroy wyjął z za pasa nóż i przeciął bucik w najważniejszym miejscu. Odśloniwszy spuchniętą kostkę, zaczął obmacywać ją palcami.

W pewnej chwili podniósł oczy na bladą jak opłatek twarz Gisele.

- Nie wydaje się zwichnięta, tylko wykręcona - rzekł.
- Boli, bo przy tego typu urazie tak zawsze jest. Ma się rozumieć o żadnej samodzielnej jeździe konno nie może być mowy. Wezmę cię, pani, przed siebie na siodło.

- Gdybyś tak pomógł mi, rycerzu, dosiąść konia, to po-

tem, myślę, dałabym sobie radę - nalegała, bo nagle ta współnajazda na jednym koniu wydała się jej czymś nader osobliwym, a prawdę mówiąc, wielce niestosownym.

- Pojedziesz ze mną - rzekł, przecinając dyskusję. - Wyglądasz, pani, jakbyś w każdej chwili mogła zemdleć. Nie zamierzam nocować tutaj, mając na karku tych łajdaków. Oni znają las lepiej ode mnie. Pani, nie godzę się na żaden sprzeciw. Maislin, przywiąż na razie kasztankę do drzewa i przyprowadź mojego konia. Kiedy będę już w siodle, podniesiesz panią i usadzisz ją za mną. Lepiej byłoby mieć cię przed sobą, lady Gisele, lecz ponieważ bandyci mogą i nas zaatakować, muszę mieć pełną swobodę w robieniu mieczem.

Kiwnęła głową, a jej rozszerzone bólem oczy zajmowały teraz niemal pół twarzy. Brysowi w półmroku trudno było ustalić ich kolor, nie miał za to najmniejszych kłopotów ze stwierdzeniem, że młoda lady jest piękna. Nie ujmowało nic jej urodzie nawet podarte i pobrudzone odzienie. Miała śmiały, niemal arogancki nos, wysoko zaznaczone kości policzkowe i usta stworzone wręcz do całowania. Spod złotej przepaski spienioną kaskadą spływały na jej ramiona i plecy brązowoorzechowe włosy.

Brys jednym skokiem dosiadł swego czarnego jak noc rumaka, Maislin zaś bez widocznego wysiłku dzwignął i posadził za nim lady Gisele.

- Obejmij mnie w pasie, pani - rzekł rycerz. - Jerusalema ma wprawdzie miękki chód, jednak może cię to zabezpieczyć przed przykrą niespodzianką, o jaką nietrudno.

Otoczyła go ramionami. Poczul delikatny zapach lilii i uśmiechnął się. Widocznie przekonał ją jego argument.

Miękkie wzniesienia jej piersi przyległy do jego pleców. Tego nie przewidział, a oznaczało to mękę podczas jazdy.

- Jeszcze nie wiem, dokąd podążasz, lady Gisele - powiedział, kiedy ruszyli wąską ścieżką, która miała ich wyprowadzić z kniei.

Ponieważ teraz czuł jej ciało, zauważył w nim napięcie. Westchnęła, a ciepły powiew jej oddechu owiał mi twarz.

- Myślę, że winnam ci jestem, panie, jakieś wyjaśnię nie - powiedziała w końcu. - Lękam się jednak szczerości. Żyjemy w tak niebezpiecznych czasach...

Poczuł się dotknięty tą uwagą.

- Pani, szlachectwo zobowiązuje. Bez względu na to co myślisz o mnie, nie zostawię cię w tym ciemnym lesie. A nawet gdybym miał na to ochotę, sprzeciwił się temi Maislin, który przygotowuje się do złożenia ślubów rycerskich. Opuszczenie bezbronnej niewiasty byłoby skazą *moim* i jego honorze.

Kilka razy głęboko odetchnęła.

- Wybacz mi, panie. Obraziłam cię, a nie było to moim zamiarem, wszak dotychczas doświadczyłam tylko dobroci z twojej strony. Wiedz jednak, że nawet w Normandii znamy problemy, z jakimi boryka się Anglia. Szlachetni baronowie podzielili się na dwa obozy, jedni wspierają Stefana, drudzy zaś Matyldę. Nie wiem, do której z tych partii należysz. Tak czy inaczej, jestem teraz na twojej łasce.

Ta ostatnia uwaga poruszyła go do głębi. Zobaczył siebie w roli obrońcy i opiekuna pięknej damy.

- W takim razie spieszę wyznać, że zaliczam się do popleczników królowej. Czy to wystarczy, by ustanowić za

ufanie między nami? Przysięgam na święty krzyż, że nie jestem dla ciebie, pani, żadnym zagrożeniem, nawet gdybyś była jedną z metres Stefana.

Odetchnęła z ulgą i rozluźniła się, on zaś odebrał to niemal jak przemianę jej cielesności w duchowość.

- Moja rodzina zawsze była wierna Matyldzie, mój panie. Zdażam na jej dwór, by zostać jej damą do towarzystwa.

- Jesteśmy zatem po tej samej stronie. Przypadek nas połączył, a konieczność dyktuje dalsze kroki. Ponieważ wiozę dla królowej ważną wiadomość, będzie dla mnie zaszczytem dostarczyć cię, pani, na sam dwór.

- Bóg doliczy to do twoich zasług, lordzie Brys. Nie omieszkam też napisać do ojca, by stosownie wynagrodził twą wielkoduszność.

- To nie jest konieczne, pani, każdy chrześcijanin postąpiłby podobnie. - Uśmiechnął się pod nosem. - Ponieważ cieszę się łaskami królowej, często mnie do siebie wzywa. Będziemy się zatem widywać przy różnych okazjach, a za nagrodę wystarczy mi to, jeśli choć raz powitasz mnie uśmiechem.

Wiedział już, że jest dziewicą. Powiedziało mu o tym jej wstydlive i skromne zachowanie. Gdyby była młodą wdową, poprosiłby o inny dowód wdzięczności. Miał ognisty temperament i krew często się w nim burzyła.

Usłyszał za sobą stłumiony śmiech Maislina. Widocznie coś go rozbawiło i Brys miał pod tym względem pewne, a prawdę rzekłszy, całkiem konkretne podejrzenia. Rozprawę z giermkim zostawił sobie jednak na później.

- Kiedy przybyłaś do Anglii, lady Gisele? - zapytał, rad, że normandzka księżniczka siedzi z tyłu i nie może widzieć wrażeń, jakie robiła na nim bliskość jej ciała.

- Zawinęliśmy do Hastings dzisiejszego ranka.

Brys przez chwilę nad czymś się zastanawiał.

- Lady Gisele, proszę wybaczyć kolejne pytanie, lecz skoro twój ojciec tak dobrze orientuje się w tutejszej sytuacji politycznej, dlaczego przydzielił ci tak skromną eskortę?

Milczała, a Brys wnet zrozumiał, że okazał się prostakiem, pośrednio bowiem namawiał córkę do krytykowania ojca.

- Wybacz, jeśli niefortunnie dobrałem słowa, ale...

- Masz całkowitą rację, panie, eskorta faktycznie powinna być liczniejsza. Tylko cudem wyszłam z opresji. Życie i honor zawdzięczam temu, że poniósł mój koń. - Nie trzeba było wielkiej domyślności, by zgadnąć, że zbiera się jej na płacz. - Biedna Fleurette! Umarła, bo mój ojciec... popełnił błąd w ocenie zagrożenia. Poległo też sześciu rycerzy, jednych z najświetniejszych w Normandii. Nie mieli nawet okazji wypowiedać się przed śmiercią. Doprawdy, nie zasłużyli na taką niesprawiedliwość.

Mógłby przysiąc, że pierwotnie chciała użyć ostrzejszych słów i dopiero w ostatniej chwili zdecydowała się na „błąd w ocenie zagrożenia”. Swoją drogą, dziwne było, że ksiązę de l'Aigle tak nisko sobie cenił życie i bezpieczeństwo swej córki!

- Obdarzona jesteś, pani, bardzo czułym sercem. - Miał nadzieję, że ta cecha charakteru nie utrudni jej życia na dworze Matyldy.

- Nie ma nic nadzwyczajnego w opłakiwaniu śmierci

niani, a zarazem najdroższej przyjaciółki - zauważyła, jakby broniąc się przed zarzutem. - Szkoda mi również tych młodych mężczyzn, którzy wiernie służyli mojemu rodowi, jeden zaś nawet bronił grobu Chrystusa przed poganami.

Uznał, że w tej młodej niewieście jest coś bardzo ujmującego.

- Każdy rycerz przygotowany jest na gwałtowną śmierć. Skoro chwalisz, pani, ich lojalność, to może i w oczach Boga przechyli ona szalę ich grzechów, od których nikt nie jest wolny.

- Obyś miał rację, panie - powiedziała z wielką żalością w głosie.

Uznał, że powinien tak pokierować rozmową, by młoda lady choć na chwilę zapomniała o swym smutku.

- Podążasz, pani, na dwór z zamiarem wydania się za któregoś z tutejszych baronów?

Gisele zeszywniała. Spojrzał do tyłu przez ramię i zobaczył w jej ogromnych oczach płomień buntu.

- Taka jest wola mojego ojca, panie.

- Ale nie twoja? - Ciągłe patrzył jej w oczy.

Wzruszyła ramionami.

- Zależy mi na pobycie na dworze królowej Matyldy i tym się zadowolę. Na cóż mi mąż i coroczne porody aż do późnego wieku?

Wyobraził sobie dziecko ssące pierś tej powabnej niewiasty. Jego dziecko. Ich wspólne dziecko. Natychmiast jednak oderwał się myślami od uroczej wizji, ponieważ w jego życiu nie było miejsca na podobne uczucia i doznania. Ze słów lady Gisele wywnioskował, że ona podobnie widzi swoją przyszłość. Postanowił zbadać rzecz do końca.

- Nie zamierzasz zatem, pani, spełniać w życiu roli, jaką natura, obyczaj i religia wyznaczają kobiecie?

- Powołania kobiety nie można ograniczać jedynie do małżeńskiego łoża bądź zakonnego odosobnienia - odparła z wielkim żarem w głosie.

- Pani, czyżbyś doznała przykrości ze strony jakiegoś mężczyzny? - spytał cicho, by jego słowa nie dotarły do uszu giermka. Czyżby pomylił się w ocenie jej osoby? Czyżby odarta już była z dziewictwa?

Tym razem nie zwlekała z odpowiedzią:

- Przykrości? Nie, mój panie. Z faktu, że pewien lord, którego królowa wybrała dla mnie na męża, zdecydował się poślubić inną kobietę, bynajmniej nie wynika, że mam złamane serce.

Kłamała, był tego niemal pewien. Słyszał skargę jej zranionej dumy.

- Nie, mój panie - ciągnęła, coraz bardziej wzburzona i podniecona. - Nie widzę najmniejszej potrzeby...

Nagle uświadomił sobie, z kim rozmawia.

- Och, jesteś, pani, tą księżniczką normandzką, którą królowa Matylda pierwotnie przeznaczyła dla barona Alaina Hawkswella, czy tak?

- Jak się tego domyśliłeś, panie? - spytała lodowatym głosem, cofając ramiona, którymi dotąd oplatała go w pasie.

Poczuł pustkę wokół siebie i było to bardzo nieprzyjemne doznanie.

- Nie obawiaj się, dumna lady. Nie jest to rzecz, o której rozprawia się na dworze. Po prostu Alain jest moim dobrym przyjacielem.

- Gratuluję takich przyjaciół - parsknęła.
- Proszę nie jeżyć się na mnie, jeśli łaska. Cóż młodej lady po wdowcu z dwójką dzieci? Claire bardziej do niego pasuje, mimo że jej rodzina zalicza się do stronników Stefana.

- Być może - odparła wymijająco.

Odniósł wrażenie, że znowu nie jest z nim szczerą. Poruszyłyby niebo i ziemię, byle tylko uniknąć upokarzającego odrzucenia, które stawiało ją w pozycji „tej gorszej”. Ileż dumy było w tej pannie!

- Uważam, że dokonałaś, pani, słusznego wyboru. Przebywanie na dworze ma swoje dobre strony, a już na pewno jest przyjemniejsze od życia w jarzmie macierzyństwa. Ciesz się zatem wolnością, a mówi to ten, który potrafi wolność docenić. Opromieniona łaską królowej i własną urodą, będziesz mogła bawić się wzgardliwym traktowaniem pożądających cię baronów.

- Mało mnie obchodzi, co myślą o mnie mężczyźni - rzuciła niecierpliwie.

- Oczywiście, oczywiście - rzekł z wyraźnym sarkazmem. - Trzymaj się obranego kursu, pani, bo, zaiste, my wszyscy jesteśmy łotrami i nie należy nam wierzyć.

Nietrudno było mu wyobrazić sobie, jak zaraz po przybyciu na dwór królowej lady Gisele znajdzie się w centrum zainteresowania wszystkich dobrze urodzonych młodzieńców i podstarzałych, marzących o chwili rozkoszy lordów. Oni będą wdychać do urodziwej damy, zaś ona będzie miała dla nich jedynie chłodny uśmiech lub grymas pogardy. Jak długo wytrwa w tej roli nieosiągalnej, zimnej i kapryśnej piękności?

ROZDZIAŁ TRZECI

W końcu dojechali do klasztoru benedyktyńców, wzniesionego niedaleko północnej ściany borów. Gisele, wyczerpana wypadkami dnia, uprzedziła Brysa, że rezygnuje z wieczerzy. W istocie tęskniła za chwilą odosobnienia, by w samotności oddać się rozpaczycy po stracie ukochanej niani.

Rycerz przystał na jej żądanie.

- Dobrze, pani. Jutro z pewnością poczujesz się lepiej. Przyślę do ciebie medyka z maścią na te wszystkie zadrapania i skaleczenia, przyniesie też eliksir z ziół, który osłabi ból w kostce i pomoże ci zasnąć.

- Widzę, mój lordzie, że nie jest to twoja pierwsza wizyta w tym opactwie. Inaczej nie wiedziałabyś, jakiej pomocy można oczekiwać od zakonników. - Teraz, gdy już zostawili za sobą mroki kniei, mogła wreszcie ustalić kolor oczu rycerza. Nie były czarne, jak oczekiwała, tylko ciemnobrazowe.

- Owszem, zdarzyło mi się raz wylizać tu z ran - rzekł, unikając dalszych wyjaśnień.

Odniosła wrażenie, że brat Porter, opat zakonu, był zgorszony sposobem, w jaki Balleroy wziął ją na ręce. Sama zresztą też czuła się nieswojo. Udali się do stojącego na uboczu pawilonu, przeznaczonego dla gości. Benedy-

ktyni zadbali też o ich konie. Gisele zauważyła rosnącą pod klasztorным murem winorośl. Wszędzie panował tu wzorowy ład i porządek. Na opielonych grządkach ziele- niły się warzywa i zioła.

Obudziła się i, utykając, podeszła do okna. Gdy pchnęła skrzydła okiennicy, komnatę zalały strumienie światła. Słońce stało już wysoko na niebie. Napar z ziół, który wypić przed snem, okazał się aż za bardzo skuteczny, bo Gisele nawet nie usłyszała dzwonów wzywających za- konnych braci na jutrznię. Kostka wciąż pulsowała bólem, nie był on jednak aż tak dokuczliwy jak poprzedniego dnia.

Nagle uderzyła ją pewna myśl. Brys de Balleroy mógł się znudzić oczekiwaniem na jej przebudzenie i z samego rana ruszyć do Londynu, zostawiając kłopotliwą podopie- czną w opactwie. Było to możliwe, choć równocześnie przypomniała sobie, iż młody baron obiecał zająć się po- chówkiem Fleurette i normandzkich rycerzy.

Skacząc na jednej nodze, zbliżyła się do drzwi, gdzie na haku powiesiła wczoraj swoją wybrudzoną i porwaną suknię. Jakież było jej zdumienie, gdy odnalazła ją wy- praną i wycerowaną. O ścianę oparta była kula, obita zie- lonym materiałem w miejscu, które wkładało się pod pa- chę. Podziękowała w duchu benedyktynom za ich życzli- wą troskliwość, następnie ubrała się i wsparła na kuli. Po- przez krużganek wyszła na dziedziniec i skierowała się ku bramie.

Tam natknęła się na rozmawiającego z furtianem brata Portera.

- Szukam lorda de Balleroya. Czy opuścił już opactwo?
- Tak - odparł opat. - On i jego giermek wyjechali o świcie. Zabrali ze sobą wóz i kilku naszych braci. Mają przywieźć tu tych, którzy zabito wczoraj na gościńcu. Czekają już na nich na naszym cmentarzu wykopane groby.

- Rozumiem i dziękuję, ojczu. - Więc de Balleroy zwykł dotrzymywać słowa. Gisele poczuła się zarazem pokrzepiona i zawstydzona tą myślą. Bądź co bądź, gdy tamci narażali się na napad rozbójników, ona spała sobie smacznie w łożku.

Wrócili w południe. Zaniepokoiła ją chmurna twarz rycerza, przeraziło skrzypienie osi wozu, załadowanego trupami.

- Niebawem wyruszamy - oświadczył Brys, zsiadając z konia.

- Może poczekamy do pogrzebu? Fleurette... - Głos się jej załamał. Patrzyła, jak mnisi wyładowują owinięte białymi całunami zeszywniałe ciała. Mój Boże, pod którymś z nich ukryto jej najdroższą nianię...

- Raduje się już ona oglądaniem Boga i świętych pańskich. Zostając do pogrzebu, będziemy musieli przedłużyć nasz pobyt w klasztorze o jeden dzień, a nie powinniśmy zwlekać. Sytuacja w kraju jest wciąż niepewna. Nigdy nie wiadomo, czego się można spodziewać jutro. Proszę się nie obawiać, lady Gisele. Benedyktyni zadbają, by pochówek odbył się godnie i z należytym ceremoniałem.

Były to roztropne słowa i Gisele musiała się z nimi zgodzić. Niemniej kiedy godzinę później opuszczała klasztor, serce się jej krajało, a pierś rozdzierał szloch.

Nazajutrz, gdy ukazały się ich oczom wieże i dachy Londynu, de Balleroy zawrócił na zachód.

- Dokąd jedziemy? - spytała zaskoczona Gisele.

- Do Westminster, trochę dalej w górę Tamizy, gdzie rezyduje królowa. Ale niebawem zobaczysz, pani, miasto. Matylda lubi je odwiedzać i przypominać o sobie londyńczykom. Wkrótce zresztą ma odbyć się w Tower jej oficjalna koronacja.

Gisele kiwnęła głową, skręcając koniem w lewo, gdzie droga była mniej błotnista. Mimo że kostka wciąż ją bolała, uparła się, że nie wjedzie na zamkowy dziedziniec jak jakaś branka, siedząc za plecami rycerza. Ostatecznie była dumną dziedziczką wielkiego rodu i nie mogła wystawiać się na pośmiewisko dworu i samej królowej. Czuła się dostatecznie upokorzona tym, iż straciła wszystkie ubrania. Jej całym dobytkiem był teraz strój podróżny, który miała na sobie, i koń, na którym siedziała. Poza tym mogliby wziąć ją i de Balleroya za kochanków^ a do tego w żadnym wypadku nie mogła dopuścić!

Niewykluczone, że rycerz domyślił się powodów, dla których dzisiejszego ranka kazała sobie podać kasztankę, gdyż nie sprzeciwił się ani jednym słowem. Chwył Gisele i posadził na siodle z taką łatwością, jakby była kilkuletnim dzieckiem. Dzisiaj miała wreszcie okazję, by uważniej przyjrzeć się swemu wybawcy.

Ponieważ nie miał na głowie misiurki, słońce roziskrzało jego kasztanowe włosy. Siedział w siodle wyprostowany, z lekko wysuniętą do przodu piersią. Jego szlachetnie rzeźbiony profil rysował się wyraźnie na tle pogodnego nieba. Strzemiona miał popuszczone, więc długie nogi zwisały

dość nisko nad ziemią. Nie obawiając się już napaści, rozstał się też z kolczugą. Miał na sobie krótki płaszcz z kapturem, którego miękki materiał uwydatniał mięśnie jego ramion i szeroki tors.

- Ależ dziś gorąco - rzekł, przeczesując palcami włosy; rozbłyły one, jakby przesypywał w dłoniach klejnoty. - Słońce zdaje się świecić tylko po to, by uświetnić twoje przybycie, lady Gisele. - Uśmiechnął się do niej, ona zaś długo nie mogła zapanować nad przyspieszonym biciem swego serca.

Pochlebne były jego słowa i wiele mu zawdzięczała, nie chciała jednak, by pomyślał, że spragniona jest pustych komplementów. Zapewne przymilał się już do wielu kobiet, a ona nie zamierzała dołączać do ich grona!

- Bacz, panie, by to słońce nie zmaćliło twojego umysłu - powiedziała cierpko.

- Dobrze powiedziane - dobiegł ich z tyłu głos Maislina. - Już ci się, panie, zajęły włosy, a pod włosami jest czaszka, pod nią zaś, jak wiadomo, rozum!

Rycerz nie zgromił giermka za jego bezczelność, pragnął bowiem utrzymać wszystko w granicach żartu.

- Och, lady Gisele, ranisz mnie swym ciętym językiem. Stanę się cieniem siebie samego, nim rozstaniemy się w Westminster. - Mimo tej żalostnej skargi, uśmiech de Balleroya nie zdradzał lęku.

- Więc nie zostajesz na dworze? - spytała, lecz zaraz zganiła siebie za nutkę niepokoju w głosie. No cóż, wolałyby rozpocząć nowe życie na angielskim dworze, mając świadomość, że jest w pobliżu choć jedna osoba, którą mogłyby poprosić o radę.

- Czyżbyś przewidywała, pani, że będzie ci mnie brakowało? - drażnił się z nią. - Lecz nie zamartwiaj się tym ponad miarę, od czasu do czasu będę wpadał.

- Nic mi po twoich wizytach, panie. - Starła się mówić obojętnym, niemal znudzonym głosem. - Królowa z pewnością nałoży na mnie tyle obowiązków, że tylko nimi będę zaprzątnięta. Domyślam się, że posiadasz w Anglii rozległe lenna. A może twoja żona czeka na ciebie w Normandii?

- Być może - odparł, wzruszając ramionami.

Była to bardziej niż wymijająca, bo wręcz wykrętna odpowiedź. Gisele poczuła się nią rozdrażniona, zastanawiała się nawet, czy nie powinna jakoś utrzyć nosa małomównemu baronowi, ostatecznie jednak spróbowała innej metody.

- Jesteś bardzo tajemniczy, mój panie rycerzu, a ja, no cóż, próbuję tylko podtrzymać rozmowę.

- Jeśli chcesz się dowiedzieć, pani, czy jestem żonaty, zapytaj o to wprost - rzekł z irytującym chłodem.

Niechaj piekło pochłonie wszystkich mężczyzn!

- Jak już powiedziałam, nic mi do tego - odparła przez zęby. - Podróż szybciej upływa, jeśli się rozmawia. Poza tym o ile ty, panie, wiesz o mnie dużo, o tyle ja nie wiem o tobie nic.

Niewiele mogła wyczytać z jego twarzy. Nie wiedziała nawet, czy zły jest na nią z powodu jej ostrego i cierpkiego tonu, czy też rozbawiony jej nieporadnością.

- Wybacz mi, pani. Misja, której podjąłem się z rozkazu królowej, nakłada na mnie obowiązek zatajania wielu spraw, więc ukrywam również to, co nie jest objęte ta-

jemnicą. Ale cóż, jak wiadomo, przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka.

Oderwała od niego wzrok i popatrzyła na pola i łąki.

- Nie musisz dla mnie łamać swych nawyków, panie.

- Nie jestem żonaty - powiedział, jakby nie słysząc jej słów. - Moim dziedzicznym lennem w Normandii jest Balleroy, tutaj zaś Tichenden. Mam trzy młodsze siostry. Najstarsza z nich, Avelaine, zarządza dobrami w Anglii, a dwie młodsze pobierają nauki w klasztorze na kontynencie. Jedna z nich zamierza złożyć śluby zakonne. Najmłodszy z naszej piątki jest brat, który przebywa w domu. Nasi rodzice już nie żyją. Czy jest jeszcze coś, co chciałabyś wiedzieć, pani?

Była zaskoczona tym nagłym otwarciem się tajemniczego rycerza.

- A gdzie leży owo Tichenden? Czy na zachodzie, gdzie królowa cieszy się większym poparciem?

- Nie, na północy, zajętej, jak wiesz, pani, przez stronników Stefana - rzekł i znów jego oblicze stało się zamknięte i nieodgadnione.

Gisele miała wrażenie, że de Balleroy zatrzasnął okiennice, które na chwilę otworzył.

Przez Tamizę przeprawili się promem. Było południe, gdy przybyli do Westminster. Gisele była wściekle głodna i Brys domyślił się tego. Ponieważ jednak do wieczery zostało jeszcze wiele godzin, zaproponował, że najpierw zaprowadzi lady de l'Aigle do kuchni, gdzie będzie mogła się posilić.

Ona jednak, chociaż burczało jej w żołądku, wyznawa-

ła inną hierarchię i kolejność rzeczy. Poczucie godności nakazywało jej pokłonić się wpierr przed Matyldą, córką Henryka, poprzedniego króla Anglii.

- To nie jest konieczne, rycerzu - odparła. - Wdzięczna będę, jeśli zaprowadzisz mnie wprost do królowej.

W jego oczach pojawiły się iskierki rozbawienia, ale tylko na chwilę.

- W takim razie proszę za mną, pani. Maislin - rzucił przez ramię, gdy ruszyli przez podwórzec w kierunku wysokich dwuskrzydłowych drzwi - przypilnuj, by wierzchowiec lady Gisele został nakarmiony ziarnem i napojony. Zatrósz się też o nasze konie, lecz mają być w pogotowiu, wystarczy popuścić popręgi. Wyruszymy jeszcze przed wieczorem. No i pamiętaj, Maislin, że nie chcę siłą wrywać cię z ramion jakiejś dójki czy pomywaczki.

- Będzie wedle twoich życzeń, panie! - odrzyknął giermek, którego głos wcale nie zdradzał przestachu.

De Balleroy prowadził, a kuśtykająca Gisele szła za nim. Wreszcie spostrzegł, że dystans między nimi wciąż się powiększa, i zatrzymał się.

- Wydaje mi się, pani, że dostojęństwo będziesz musiała odłożyć na później - rzekł biorąc ją, bez pytania o zgodę, na ręce.

Pozostawało jej mieć tylko nadzieję, że nikt z otoczenia królowej nie ujrzy księżniczki de l'Aigle w tak upokarzającej sytuacji.

Zagłębili się w labirynt korytarzy i komnat. Brys niósł ją bez widocznego wysiłku, oddychał swobodnie i regularnie. Szedł pewnym krokiem, jakby znał tu każdy kąt. Zbliżyli się w końcu do drzwi strzeżonych przez dwóch

rosłych strażników. Skrzyżowane halabardy zagroziły im drogę.

- Kto prosi o posłuchanie u królowej? — spytał wartownik.

- Powiedz marszałkowi dworu, że przybył Brys de Balleroy - rzekł baron, stawiając Gisele na kamiennej posadzce przedpokoj. Na jego wargach igrał uśmiech.

Strażnik znikł za drzwiami, ten zaś, który został, szerzej rozstawił nogi.

Brys i Gisele nie czekali długo. Drzwi otworzyły się i stanął w nich człek o strapionej twarzy, ubrany w szatę obramowaną wiewiórczymi skórkami. Gestem ręki zaprosił ich do środka.

Nim jednak jeszcze stanęli przed królową, usłyszeli jej gardłowy głos:

- Brys, czy to ty? Podejdz, łotrze spod ciemnej gwiazdy.

De Balleroy wyszczerzył zęby, jakby chciał powiedzieć, że nie on jeden nosi znamię łotrostwa.

Przez zwieńczone gotyckimi łukami okna wpadało do komnaty światło pogodnego letniego dnia i złociło się na szatach idącej ku nim wolnym krokiem niewiasty. Pierwszą myślą Gisele było, że Matylda wciąż jeszcze jest piękną kobietą. Patrząc na jej szczupłą talię, nie sposób było się domyślić, że wydała już na świat trójkę dzieci, samych synów. Strapienia ostatnich lat wyostrzyły rysy jej twarzy, a szare oczy spoglądały bacznie i przenikliwie. Narzucona na włosy lekka zasłona spływała spod diademu na ramiona, nie zakrywając długich warkoczy, które, podobnie jak wzorzysty pasek ujmujący suknię w stanie, podkreślały wysmukłość jej bardzo kobiecej postaci.

De Balleroy przyklęknął przed królową na jedno kolano i pochylił głowę. Stojąca za nim Gisele zniżyła się w dworskim ukłonie.

- Brys - rzekła Matyllda, podając mu do pocałowania swą szczupłą i wypielegnowaną dłoń - czy to nie wspomniała, że możesz powitać mnie w pałacu, który zawsze do nas należał? Geoffrey de Mandeville dokazał tu cudów zręczności, przekonując tych krnąbrnych londyńczyków, by dali mi godny dach nad głową. Czy miałaś dobrą podróż? I kim jest ta urocza młoda dama, z którą cię widzę?

De Balleroy powstał z klęczek i rzekł mocnym głosem:

- Zawsze byłaś diamentem, miłościwa pani, ale dziś diament ten uzyskał stosowną oprawę. Podróż swą miałbym pełne prawo uznać za spokojną, a nawet nudną, gdyby nie pewne wydarzenie w borach na południe od Londynu, gdzie natknąłem się na tę oto lady. Leżała na ziemi bez zmysłów, a jak się później okazało, tylko ona przeżyła rzeź, w której zginęły wszystkie towarzyszące jej osoby. Składa ci pokłon, miłościwa pani, lady Gisele de l'Aigle.

Królowa nie kryła zaskoczenia. Ominęła Brysa i podeszła do Gisele. Ujęła jej zaczerwienione policzki w swoje chłodne i delikatne dłonie.

- A więc napadnięto was, miła moja? Oczekiwałam twojego przyjazdu, dziecko, lecz dopóki nie wydarzy się to najgorsze, człowiek zawsze jest dobrej myśli. Och, co to za niebezpieczny kraj! Kiedy tu wreszcie zaczniesz rządzić prawo!

- Urządzono na nas zasadzkę, miłościwa pani. Zginęli wszyscy moi rycerze - powiedziała Gisele, przejęta śmiercią swoich ludzi.

- Okrutnicy nie zawahali się zabić nawet starej kobiety, dawnej niani lady Gisele - dodał de Balleroy. - Gdyby nie poniósł jej rumak i nie wyrwał się z okrażenia, ją spotkałby taki sam los. Rozbójnicy obrabowali ją też ze wszystkich ubrań. Pozostał jej tylko koń i ta suknia, w której stoi przed tobą, miłościwa pani.

- Dziękuję Najwyższemu Panu, że uszłaś z życiem, miła moja - rzekła Matylda, pomagając Gisele podnieść się z pokłonu. Równocześnie przypatrywała się młodej kobiecie, oceniając jej wygląd, urodę i zachowanie.

- Zadbaliśmy o to, by ciała zostały godnie pogrzebane - ciągnął Brys. - Dobrze byłoby wrócić tam na czele większego oddziału i oczyścić bór z tych ludzkich drapieżników.

- Baron, jak przystało na chlubę rycerstwa, nie ustaje w walce ze złem - rzekła Matylda, kierując te słowa do Gisele. - Och, Brys, gdy tylko zostanę koronowana, a Stefan opuści Anglię, dam ci tylu rycerzy, ilu zapragniesz, do wydania wojny łotrostwu. Tymczasem jednak złodzieje, bandyci i rabusie czują się bezkarni, a uczciwi ludzie padają ich ofiarą. Nie było tak za panowania mego ojca Henryka, i nie będzie tak za panowania jego córki Matyldy. Lecz teraz jest bezkrólewie i krzewi się zło, a zgnębione dobro trudno dostrzec. - Ciężko westchnęła. - Dopiero co pożegnałam deputację londyńskich kupców. Zaczęli sarkać i burzyć się, gdy usłyszeli ode mnie, że Stefan to samo zrobił z królewskim skarbcem, co psy robią z kością. Równocześnie bardzo źle odnieśli się do moich słów, w których zażądałam od nich pieniędzy na koronację. Tylko sobie wyobraź! Uważają, że powinnam dać się koronować w tym wytartym już odzieniu, które przywiozłam z Anjou.

Gisele nie sądziła, by skrojona z dwóch części suknia z purpurowego aksamitu, z rękawami haftowanymi złotą nicią w motywy geometryczne, była znoszona i wytarta. Być może jednak tej wielkiej pani nie wypadało nosić czegoś takiego w dzień jej koronacji.

Mimo to Gisele zadała sobie pytanie, czy było mądrą rzeczą ze strony Matyldy, której tak długo odmawiano wjazdu do miasta, natychmiast po otrzymaniu upragnionej zgody żądać pieniędzy od niezależnych i bardzo oszczędnych londyńczyków. Nawet w Normandii wiedziano, że skłaniają się oni ku Stefanowi. Byłoby więc chyba rzeczą bardziej roztropną nie zrażać ich do siebie na samym początku.

Królowa zresztą zaraz porzuciła ten temat i spojrzała na Gisele.

- Jesteś zapewne zbyt zmęczona, moja droga, by przysłuchiwać się rozmowie o nudnych, choć ważkich sprawach państwowych. - Objęła ją ramieniem. - Natychmiast pchnę posłańca z listem do twego ojca, powiadamiając go o nieszczęściu, jakie cię spotkało, jak również zapewniając, że sama wyszłaś z przygody cała i zdrowa.

Po co pisać do ojca list, skoro nic go nie obchodzi? Bardziej będzie bolał nad stratą sześciu męźnych rycerzy niż nad nieszczęściem, jakie mogło przydarzyć się jego córce, która tylko cudem uszła haniebnej śmierci. Po tej córce oczekuje tylko jednego - korzystnego małżeństwa i urodzenia wnuka, męskiego dziedzica jego fortuny.

Oczywiście, nie powiedziała tego wszystkiego, królowa miała przecież na głowie nieporównanie ważniejszą sprawę.

- Jestem wdzięczna za troskę, miłościwa pani - odparła i były to szczerze słowa.

- Musisz przede wszystkim odświeżyć się i odpocząć, Gisele, moja droga - rzekła królowa. Jej gardłowy, lekko zachrypnięty głos miał w sobie coś niesłychanie pociągającego, jakąś zniewalającą zmysłowość, która sprawiała, że tylu mężnych baronów gotowych było oddać życie za tę niewiastę, której los był przecież od dawna tak niepewny i zmienny.

- Talford! - zawołała Matylda i od stołu, przy którym przeglądał jakieś dokumenty, podszedł do niej drobnym krokiem marszałek dworu. - Wybierz dla lady Gisele stosowną komnatę. Dopilnuj też, by niczego jej nie zabrakło. Moja droga, spotkamy się przy wieczerzy, wtedy poznasz niemal cały mój dwór.

Powiedziawszy to, królowa dała znak Brysowi, który ruszył w ślad za nią ku dwóm bogato rzeźbionym krzesłom z wysokimi oparciami przy jednym z okien. Natomiast marszałek dworu, do którego twarzy już chyba na stałe przywarł wyraz strapienia, skierował się ku drzwiom, spojrzeniem nakazując Gisele uczynić to samo. Ona jednak pragnęła wpierv spłacić dług wdzięczności. Zebrała się na odwagę i rzekła cokolwiek podniesionym głosem, by jej słowa zostały usłyszane:

- Chciałabym z głębi serca podziękować lordowi de Balleroy...

Rycerz odwrócił się. W jego złotawo-brązowych oczach błyskały figlarne ogniki.

- Oddanie szlachetnej damie tak drobnej przysługi było dla mnie, doprawdy, zaszczytem. Nie wątpię, że gdy

odpoczniesz, pani, i wyrzucisz z serca smutki, od razu rozkwitniesz jak róża. Będziesz cudownym kwiatem, który każdy mężczyzna zechce mieć w swoim ogrodzie.

Była to gładka mowa. Słyszało się ją coraz częściej na dworach europejskich, gdzie nastała moda na kunsztowne i wyrafinowane wypowiedzi.

Gisele chciała jeszcze zapytać Brysa, kiedy wróci do Westminster, jako że dziś jeszcze miał wyjechać, on jednak już pograżył się w rozmowie z królową, zapominając o obecności Gisele, a może nawet o jej istnieniu... Pozostawało więc jej tylko pójść za marszałkiem dworu, który niecierpliwił się u drzwi.

scandalout

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Coś mi się widzi, że ta normandzka białogłowa podbiła twoje serce, panie - rzekł Maislin, przerywając milczenie.

Jechali wzdłuż Tamizy drogą wiodącą do Londynu. Brzegi rzeki barwiły się czerwonymi krwawnicami o kwiatach zebranych w smukłe kłosa, niskimi białymi stokrotkami i żółtym szeleźnikiem. Nad wodą błyskały w słońcu mewy, towarzysząc barce, która płynęła z prądem ku morzu.

- A można wiedzieć, ile to kufli piwa wyżłopałeś, odkąd rozstaliśmy się na dziedzińcu?

Maislin zmrużył oczy.

- Ja? Jestem trzeźwy jak mnich pod koniec Wielkiego Postu. Prawdę mówiąc, chciałem nawet zapytać, kiedy zatrzymamy się w jakiejś oberży, by przepłukać wysuszone tą spiekotą gardła. Dlaczego tedy zarzucasz mi, panie, opilstwo?

- Dlaczego? Bo nikt nie gada takich bzdur, gdy ma jasno we łbie.

Trzeba zapisać na dobro Maislina, który bardziej przypominał włochatego wielkoluda niż giermka, że zawsze starał się wyjaśnić wszystko do końca.

- Pragnę zauważyć, panie, że od kiedy wyjechaliśmy

na ten gościniec, obejrzałeś się za siebie trzy razy, omiatając tęsknym wzrokiem zamkowe mury. Czyżby to wspomnienie królowej, z którą dopiero co się rozstałeś, skłaniało cię do tego wykręcania głowy?

Brys wybuchnął śmiechem.

- Zaiste, nie! Nie jestem głupi, by wpaść w sieci Matyldy. Służę królowej, nie kobiecie.

Giermek pokiwał głową jak mędrzec, który właśnie odkrył nową gwiazdę.

- Tak, idzie tu więc o normandzką białogłową. Wwierciła ci się do duszy, panie, i nawet obcęgami jej stamtąd nie wyszarpniesz.

- Słusznie powiadają, że im więcej ciała, tym mniej rozumu. Nikt nie wwiercił mi się do duszy i nie podbił mojego serca. Nie mam serca. Nie będziemy też zatrzymywali się w każdej gospodzie, byś zwilżał swoje wiecznie suche gardło. Po prostu szkoda mi biednej lady Gisele. Czuję się po trosze jak pasterz, który powierzył owcę wilkowi.

Maislin wyszczerzył zęby.

- I tak mówi człowiek, który nie ma serca. Dobre sobie! Rozejrzyjmy się, może znajdziemy w tych krzakach naiwnych. Panna opętała cię, panie, nie ma co do tego dwóch zdań. Dlaczegoż by zresztą miała nie opętać? Smaczny kąsek z tej białogłowy. Oczy wielkie jak kałuże, włosy miękkie jak runo, usta, że tylko wkładać w nie łakocie i marcepany. Idę o zakład, panie, że pulsowały ci lędźwie, gdy wtedy siedziała za tobą na koniu i ocierała się tymi swoimi...

Brys podniósł rękę w geście groźby.

- Bacz, co mówisz, Maislin. Mieszasz serce z sumieniem. Gnębi mnie myśl, że zostawiłem lady Gisele, pannę nie zepsuta, na łasce tych lubieżnych i wszetecznych baronów z otoczenia Matyldy.

. Nie wyznał całej prawdy, a mianowicie tego, że faktycznie cierpiał rozkoszne męki podczas wspólnej jazdy z Gisele.

- Nie zepsuta? - Maislin zdawał się uważnie przypatrywać temu słowu. - Tak. Sądzę, że co do tego nie mylisz się, panie. Wydaje się niewinna niczym powity wczoraj kociaczek.

- Mówmy o kotce raczej, bo też potrafi parskać jak ta kotka - mruknał Brys, przypominając sobie swoją rozmowę z Gisele o baronie Hawkswellu. - Obawiam się jednak, że nie ma dość ostrych i długich pazurów, by obronić się przed tymi wilkami, które krażą i czają się wokół królowej.

- Jest na to pewna rada, jeśli twój niepokój, panie, ma rzeczywiste przyczyny i nie jest zwodniczą maską - rzekł Maislin z wyrazem figlarności na twarzy.

- Tak? A jaka niby, jeśli wolno wiedzieć? - spytał podejrzliwie Brys.

- To proste. Uczyni ją swoją żoną, panie! Zamiast parskać i drapać pazurkami, kotka zacznie pięknie mruzcęć w twoich ramionach.

Nagle cała ta rozmowa wydała się Brysowi głupia i bezsensowna.

- Dość już tych idiotycznych żartów, Maislin. Gdy się ciebie za długo słucha, można nabawić się bólu głowy.

- Ależ ja wcale nie żartuję, lordzie Brys - zaprotesto-

wał giermek. - Czy to zły pomysł ożenić się z lady Gisele? Byłaby odpowiednią partią nawet dla księcia, a poza tym to ona będzie dziedziczyć po ojcu. Stratę Hawkswella uznaj, panie, za swój zysk. W końcu tak czy inaczej musisz się ożenić i spłodzić syna. Jesteś winny to swoim przodkom.

- Maislin, najwyraźniej się zapominasz - ostrzegł Brys. - Nie cierpię takich rozmów. Poza tym zachowujesz się, jakbyś zapomniał o powierzonym nam zadaniu. Bez reszty winniśmy się na nim skupić, sprawy prywatne odsuwając na dalszy plan.

- Tak, panie - odparł giermek, a na jego rozbawionej twarzy pojawił się rumieniec zawstydenia.

Zamilkli. Każdy z nich pogрузzył się w swoich myślach. Brysowi wciąż brzmiały echem w głowie słowa giermka: „Musisz się ożenić i spłodzić syna. Winny to jesteś swoim przodkom”. Jakby ci przodkowie, od kiedy opuścili ten ziemski padół, przemienili się w jakieś żarłoczne bóstwo, które nasycić można jedynie ofiarą z małego infanty. Przecież on, Brys, miał siostry, a poza tym wcale nie ciągnęło go do małżeństwa. Brał udział w bardzo niebezpiecznej grze, która mogła kosztować życie. Wtedy najstarsza z sióstr będzie musiała wyjść za mąż i dać Balleroy dziedzica.

W takim razie dlaczego wciąż myślał o lady Gisele de l'Aigle i o ramy kasztanowych włosów? Pamiętał zmienną barwę jej oczu. Raz wydawały się orzechowe, raz bursztynowe, raz znów zielonkawe z domieszką złota, w zależności od oświetlenia, a być może również nastroju. I te jej usta, pra-

wdziwy pączek róży o lekko rozchylonych płatkach, nagrany słońcem, nie zaś zroszony nocną mgłą. Tak chciałby je całować, wiedział jednak, że to niemożliwe. Nie miał czasu na małżeństwo. Poza tym Gisele zdążyła już mu powiedzieć, że nie widzi siebie w roli żony i matki. Chce być wolna i niezależna od władzy męża i Kościoła. Cóż, należało jej na tej trudnej drodze życzyć wszystkiego najlepszego. Chciała osiągnąć rzecz w chrześcijańskim świecie prawie niemożliwą.

- Widzę przed nami jakąś gospodę, Maislin - rzucił, gdy skręcili ku Southwark. Pragnął za wszelką cenę oderwać myśli od intrygującej lady.

- Tak, panie - rzucił lakonicznie giermek.

Brys spojrział do tyłu. Maislin miał wzrok utkwiony dokładnie w punkt między uszami swego konia. Nawet nie podniósł oczu, by powitać spojrzeniem ściany i dach oberży. Rycerzem targnęły wyrzuty sumienia. Maislin miał posturę byka, lecz wrażliwość panny. O ile trudno było go pokonać w walce na miecze, o tyle łatwo było zranić jego uczucia.

- Czy to nie ta sama gospoda, gdzie posługuje ta dorodna dziewczka, którą ostatnio tak przewiercałeś oczyma, Maislin? - Wyjął z sakiewki srebrną monetę i podał ją giermkowi. - Masz, włóż to jej za stanik, a założę się, że zaciągnie cię do izby na poddaszu, gdzie zostaniesz obsłużony iście po królewsku.

Maislin natychmiast się rozpogodził.

- Dzięki, mój panie. Wyglądała mi wtedy na taką, która zna się na rzeczy. Ale igraszkom sługi nie mogą towarzyszyć smutki jego pana. O ile pamiętam, sikorka ma ku-

zynkęr gładką bestyjkę, z wyjątkiem kilku dziur po ospie na jednym policzku. Tamtej również diabli palą pod spódnicą, więc ogrzałybys się, panie, skoroś zmarznięty.

Brys uśmiechnął się.

- Raczej cokolwiek się zgrzałem. Ochłodzę się tedy piwem, ty zaś zaspokoisz... innego rodzaju apetyty.

Marszałek dworu, mimo swego mizernego wzrostu i krótkich nóg, szedł tak szybko, że Gisele niemal się zaspapała. Stanęli wreszcie przed dębowymi drzwiami, tak szerokimi i wysokimi, że wjechałoby przez nie dwóch konnych.

- Tu zamieszkaś, pani - prychnął marszałek, który zdawał się cierpieć na nie tak znów rzadką dolegliwość, objawiającą się widzeniem świata jedynie w czarnych barwach. - Będiesz dzieliła komnatę z lady Manette de Mandeville. Być może pożyczysz ci jakąś suknię, bo ta - zlustrował Gisele z mieszaniną pogardy i niesmaku - nadaje się tylko do dojenia krów.

Puszczając mimo uszu wprawdzie nie pozbawioną słyszności, lecz niezbyt subtelną uwagę, Gisele skupiła się na nazwisku swej współmieszkanki. Już je dzisiaj słyszała, i to z ust królowej. Tyle że Matylda wspomniała niejakiego Geoffreya de Mandeville'a, chwalać jego zasługi w uzyskaniu przychylności władz Londynu dla córki Henryka i żony hrabiego Andegaweńskiego.

- Czy to córka lorda Geoffreya de Mandeville'a? - spytała.

- Lady Manette jest bratanicą albo siostrzenicą earla Essex, przynajmniej tak mi powiedziano - odparł marsza-

łek dworu, unosząc brew, jakby wąpił nie tylko w to pokrewieństwo, ale w ogóle we wszelkie więzy łączące ludzi na tym świecie.

Zapukał do drzwi. Żadnej odpowiedzi. Ponowił pukanie, mocniej tym razem uderzając zakrzywionym palcem. Ze środka dobiegł ich uszu stłumiony krzyk:

- Proszę odejść! Nie ma mnie dla nikogo!

Talford zmienił się na twarzy i podniósł wzrok ku niebu, które akurat w tym miejscu miało postać sufitu.

- To ja, Talford! Lady Manette, proszę otworzyć drzwi! - zawołał, po czym dodał pod nosem: - l lepiej byłoby, żebyś była tam sama, moja panno.

Gisele usłyszała odgłosy jakby szamotaniny, a następnie przekleństwo, rzucone głosem stanowczo zbyt grubym, by wyszło z kobiecych ust. Chwilę później drzwi otworzyły się ze zgrzytem zawiasów i w szparze ukazała się mocno zaczerwieniona dziewczęca twarz. Widać było nieład w stroju i w pszenicznych włosach młodej damy.

- O co chodzi? - spytała, przenosząc wzrok z Talforda na Gisele i z Gisele na Talforda.

- Doprawdy, nie sądziłem, że zastanę cię, pani, o tej porze w tym miejscu.

Manette de Mandeville uniosła jasną brew.

- Zapukałeś i zdaje się, że słyszałam w twoich ustach moje imię, panie. Więc jak możesz twierdzić, że moja obecność tutaj jest dla ciebie niespodzianką?

- Minęło południe, pani. Nie spodziewałem się zastać cię o tej porze w łóżku. - Spiczastą brodą pokazał na rozgrzebane łóżko. - Zapukałem zaś, bo tego wymaga grzeczność. Myślałem, że wraz z innymi damami dworu jesteś

przy królowej. - Talford wprawdzie tłumaczył się grzecznymi słowami, lecz jego mina wyrażała krańcowe zgorzenie i potępienie, jakby ujrzał całą nędzę doczesności.

- Źle się czuję - powiedziała lady Manette już dużo mniej agresywnym tonem. - Boli mnie brzuch, rozumiesz, miesięczna przypadłość. A teraz - spojrzała przez ramię na łóżko - proszę mi wybaczyć...

Oblicze marszałka dworu nabiegło krwią.

- Są konieczności, którym trzeba sprostać mimo... złego stanu zdrowia. Przybyła nam dama dworu, która zamieszka wraz z tobą. Pierwsze, co dla niej uczynisz, to znajdziesz jakąś przyzwoitą suknię, którą będzie mogła zastąpić starą i zniszczoną. Wiedz bowiem, że lady Gisele de l'Aigle przydarzyła się w drodze przykra przygoda, na skutek której utraciła całe swoje odzienie.

Manette, która dotychczas jedynie rzuciła okiem na Gisele, teraz zaczęła uważnie się jej przypatrywać.

- Ach, więc to ty jesteś tą normandzką księżniczką, której przyjazdu oczekiwaliśmy - rzuciła w końcu z pewnym zainteresowaniem w głosie. - W takim razie możesz wejść. - Spojrzała na marszałka dworu. - Zaopiekuję się nią, mój panie - zapewniła go, po czym ujawszy Gisele za rękę, wprowadziła ją do środka i zatrzasnęła za sobą ciężkie drzwi.

- Nadęty stary osioł - rzuciła pod adresem Talforda, który został na korytarzu i mógł usłyszeć te słowa.

Gisele zmieszała się. Przykro jej było, że tak prędko stała się powodem konfliktów, gniewów i nieporozumień.

- Wybacz, że niepokoję cię w twej chorobie, lady Manette - zaczęła nieśmiało. - Gdybym wiedziała, gdzie są

teraz pozostałe damy dworu, dołączyłabym do nich, ty zaś mogłabyś wrócić do łóżka...

Manette wybuchnęła perlistym śmiechem.

- Och, nic mi nie dolega, oczywiście o ile miłość nie jest chorobą! To był tylko niewinny fortel dla pozbycia się Talforda. Zamierzałam go zawstydzić, a potem zamknąć mu drzwi przed nosem. Zresztą mniejsza z tym. - Podeszła do łóżka i uniosła skraj narzuty, która zwieszała się aż do samej posadzki. Powiedziała coś w języku, który Gisele rozpoznała jako angielski, mimo że nie rozumiała słów.

Chwilę później wygramolił się spod łóżka wysoki i smukły młodzieniec o włosach jasnych jak len, powitał Gisele niezgrabnym ukłonem i spojrzał na Manette, jakby oczekując z jej strony wskazówki.

- To jest Wulfram. Prawda, jaki wspaniały Anglosas? - cedziła Manette po francusku, macając muskularne ramię młodego mężczyzny. - Nie zna francuskiego, więc możemy swobodnie rozmawiać o nim przy nim. Nie, nie jestem chora. Po prostu zanim zapukał ten stary cap, oddawałam się wraz z Wulframem cielesnym rozkoszom. Wulfram wie, jak niewieście sprawić przyjemność. Czyż nie jest przystojny? To prawdziwy pogański Adonis, jeśli Sasa wypada nazwać greckim imieniem.

Tymczasem młodzian zaczął zdradzać oznaki zdenerwowania. Gisele była pewna, że domyśla się, iż stał się tematem dość frywolnej rozmowy. Oblała się rumieńcem i wykrztusiła przez zaciśnięte gardło:

- Tak... bardzo przystojny.

Wzdrygnęła się, gdyż młodzieniec nagle wyciągnął rękę

kę i dotknął jej podrapanego policzka z zadziwiającą delikatnością. Spytał o coś Manette w swoim rodzimym języku.

- Wulfram jest ciekaw, co ci się przydarzyło. Pyta, czy te zadrapania są skutkiem zbyt brutalnej miłości. - Zachichotała.

Gisele stanęła w ogniu.

- Nie! - zaprzeczyła, po czym możliwie najzwyczajniej opowiedziała Manette o swojej przygodzie.

Lady Mandeville była nieco rozczarowana tą historią, jako że cała dotyczyła sfery Marsa, a w ogóle nie tykała Amora.

Gisele ponownie zaczęła przeproszać:

- Może mogłabym dzielić pokój z kimś innym? Nie chciałabym przeszkadzać w twoich spotkaniach z Wulframem. - Ruszyła ku drzwiom, zdecydowana wyrwać się z tego nader niezręcznego położenia.

Manette chwyciła ją za rękę.

- Zostań. Prędzej czy później i tak dostałabym kogoś na towarzyszkę. Dotychczas tylko ja spałam sama, inne damy spijają po dwie lub nawet po trzy w jednym łóżku. Co się zaś tyczy Wulframa, to przełożę spotkanie z nim na kiedy indziej. Zawsze przecież możemy się tak umówić, by nie przeszkadzać sobie w schadzках z miłośnikami.

Gisele nie mogła ukryć zdumienia.

- Ale ja nie robię takich rzeczy - wybąkała, właściwie do końca nie wiedząc, o czym mówi.

Manette zmrużyła oczy.

- Jesteś jeszcze dziewicą, prawda? Nie jest to jednak nieuleczalna dolegliwość, poczekaj, aż zadomowisz się na

dworze. - Wzruszyła ramionami. - Oczywiście, do niczego cię nie namawiam. Najważniejsze, by jedna rozumiała drugą. I pamiętaj, nie wolno ci się zbliżyć do innych dam, bo cię obgryzą do kości, droga Gisele. - Przeniosła wzrok na suknię swej nowej towarzyszki. - Zaraz sprowadzimy tu szwaczkę, by dopasowała do twojej figury jedną z moich sukien. Jestem szersza w biuście i w biodrach. Ty jesteś smukła i gibka jak powój. Już słyszę zachwyty naszych baronów. - Rzuciła kilka słów po angielsku Wulframowi, który z nudów przestępował już z nogi na nogę. - Wulfram należy do pałacowej służby. Powiedziałam mu, by powiadomił szwaczkę i zadbał o twoją kąpiel.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dwie godziny później Gisele była już wykąpana, uczesana i ubrana w suknię z ufarbowanej na granatowo ciennej wełny.

- Obróć się, niech ci się przyjrzę ze wszystkich stron - powiedziała Manette.

Posłusznie wykonała polecenie. Taneczny obrót spowodował, że spódnica na chwilę przybrała kształt dzwonu. Cała kreacja skomponowana została w ten sposób, by podkreślić wysmukłość i kobiecość sylwetki. Gisele de l'Aigle ubrana była w dość obcisłą suknię wierzchnią, nisko przepasaną, z szerokimi rękawami, nałożoną na cienką suknię spodnią, z której widać było tylko końce wąskich rękawów. Rękawy ubioru wierzchniego ozdobione były kunsztownym haftem o motywach roślinnych. Wzorzysty był również pas, który ujmował suknię w stanie, a następnie, krzyżując się w tyle, przechodził drugi raz do przodu już niżej - na wysokości bioder, gdzie kończył się węzłem na części sznurowej. Długie włosy Gisele podzielone zostały na pasma, które następnie przewinięto taśmami.

Manette poprawiła coś jeszcze w ułożeniu fałd rękawów i spódnicy, a na koniec pochwaliła całość.

- Wyglądasz teraz jak przystoi normandzkiej księżniczce.

- Dziękuję za wszystko - powiedziała Gisele, ujęta i wzruszona wielkodusznością dziewczyny. - Zwróć ci suknię, gdy tylko dostanę jakieś pieniądze i będę mogła uszyć sobie nową.

- Nie przejmuj się tym. - Manette machnęła ręką. - W tej i tak od dawna już nie chodziłam, bo nie pasuje kolorem do moich jasnych włosów. - Dotknęła swych płowych, przetykanych intensywnie żółtymi pasmami, warkoczy. - A teraz zwieńczymy nasze wspólne dzieło - i otuliła głowę Gisele zwiewnym welonem, na którym umieściła rozszerzoną w górnym obwodzie metalową obręcz wysadzaną kamieniami.

- Ależ Manette, nie mogę przyjąć tak kosztownego podarunku - zaprotestowała Gisele.

- Przestań, głuptasie. Niczego nie przyjmujesz, wszystko to pożyczasz - rzekła Manette i wybuchnęła serdecznym śmiechem. - Ważne, by wujek Geoffrey patrząc na ciebie, pomyślał, że jesteś piękną kobietą. - Raz jeszcze się roześmiała, a jej zielone oczy zaczęły błyszczeć jak szmaragdy.

Osobliwa była to uwaga i lady de l'Aigle nie zrozumiała jej, nie wiedzieć jednak czemu poczuła się nieswojo.

- Zbliży się pora wieczerzy - oznajmiła Manette. - Już pewnie zaczynają zbierać się w wielkim holu. Chodź, dołączymy do nich. - Ujęła Gisele pod ramię.

- Domyślam się, że wuj, o którym wspomniałaś, to lord Geoffrey de Mandeville - rzekła, bardziej żeby przerwać ciszę, jaka nagle między nimi zapadła, niż z potrzeby dowiedzenia się czegoś więcej o tym człowieku.

- Tak, obie mówimy o earlu Essex i naczelniku Tower - odparła Manette, gdy wyszły już na korytarz. - Matylda

ma szczęście, że znalazła w nim sojusznika. To jemu zawdzięcza zgodę londyńczyków na wpuszczenie jej do miasta.

Gisele niespokojnie rozejrzała się wokół siebie. Nie były same. Przed nimi i za nimi zdążali w kierunku holu inni - damy, kawalerowie i służby. Tymczasem Manette mówiła o królowej głosem wyraźnym i podniesionym.

- Nie lubisz Matyldy? - zapytała ją szeptem. - Przecież jesteś jej damą dworu.

Manette spojrzała na nią z ukosa.

- Dzisiaj jestem, jutro też mogę być, o ile będą sprzyjały jej pomyślne wiatry.

- A co z twoimi rodzicami? Zapewne znalazłaś się tu zgodnie z ich wolą. Czyżby ich oddanie królowej też nie było bezwarunkowe?

Manette wzruszyła ramionami. Zaczęły schodzić po szerokich schodach.

- Moi rodzice nie żyją. Opiekuje się mną wuj.

- To szlachetne z jego strony, że umieścił cię na dworze. Inny opiekun zamknąłby cię w klasztorze, gdzie przebywałabyś do chwili swego zamążpójścia. Oczywiście, to opiekun wybrałby ci męża, kierując się zasadą materialnej korzyści.

Manette ponownie zareagowała wzruszeniem ramion.

- Być może wcale nie wyjdę za mąż - oświadczyła. - Życie na dworze odpowiada mi. Kocham wolność i swobodę wyboru, a tutaj nikt mi nie narzuca kochanków. Wpuszczam do komnaty tych, których sama sobie wybiorę. Dlaczego miałabym podporządkowywać się woli jakiegoś człowieka? Pewnie nie zgadzasz się ze mną?

Gisele zarumieniła się. Czyż nie marzyła dokładnie o tym samym? Czyż nie chciała sama kształtować swojego życia, miast być marionetką, którą porusza, ciągnąc za odpowiednie sznurki, jakiś mężczyzna? A jednak teraz, słuchając Manette, była wstrząśnięta. Sprawił to sposób, w jaki ta wykorzystywała swoją wolność. Li tylko dla zaspokojenia cielesnych pragnień. I to z kim? Z człowiekiem niskiego stanu, którego zwabiała do swojej sypialni, każąc mu zapominać o wyznaczonym dlań miejscu.

- Przerwywamy na razie naszą rozmowę - powiedziała Manette, wchodząc wraz z Gisele do wielkiego holu. - Teraz przedstawię cię pozostałym damom dworu.

Hol zastawiony był długimi stołami, z których jeden, centralnie postawiony i nieco krótszy, wyróżniał się spośród pozostałych. Przy nim właśnie siedziały damy, o których wspomniała Manette. Dostać się do nich nie było wcale łatwo, wszędzie bowiem kręciła się służba, a dworzanie rozmawiali w większych lub mniejszych grupach. W końcu jednak, lawirując, dotarli do barwnego stadka młodych niewiast.

- Manette, jak to dobrze widzieć cię znowu zdrową - rzekła jedna z nie skrywanym sarkazmem.

- Choroby przychodzą i odchodzą - padła filozoficzna odpowiedź. - Posłałam po Wulframa, aby roztaął mi... głowę. Ból minął niemal natychmiast. Radzę spróbować tego samego, Aubine.

Aubine rzuciła spojrzeniem na prawo i lewo, jakby pytała: „Czy widział kto równie bezczelną istotę?”

Manette tymczasem wskazała ręką na Gisele.

- Pozwólcie, że przedstawię wam naszą nową towa-

rzyszkę. Lady Gisele de l'Aigle przybyła właśnie z Normandii i zostanie z nami przez najbliższe tygodnie i miesiące. A to, Gisele, zaczynając od lewej, Aubine, Cosette, Halette, Emmeline, Winifride i Rilla. Dwie ostatnie pochodzą z dalekiej Germanii, gdzie nasza królowa również posiada zamki i włości.

Gisele zniżyła się w ukłonie, słysząc w zamian słowa pozdrowienia, które zlały się w jeden niewyraźny szmer. Nie była pewna, czy zasłyszane imiona potrafiłaby dopasować do właściwych osób, mimo że młode damy bardzo różniły się między sobą zarówno wyglądem, jak i ubiorem. Tylko patrzyły na nią tak samo, to jest uważnie i nieco podejrzliwie.

Wtem zadęto w róg i ci, co jeszcze stali, w pośpiechu zaczęli zajmować miejsca. Znamienne, że osoby, które siadały przy stole centralnym, czyniły to niespiesznie, jakby powolnością ruchów pragnąc podkreślić swoje dostojęstwo.

Usta Manette nie zamykały się:

- Spójrz, oto nadchodzi Brien Fitzcount, najwierniejszy z rycerzy królowej, choć mówi się powszechnie, że jest kimś więcej niż tylko jej wiernym rycerzem. A zaraz za nim kroczy Robert, earl Gloucester, brat przyrodni Matyldy, spłodzony na sianie bądź w krzakach, jako że zmarły król Henryk był krzepkim i pełnym wigoru mężem. A oto mamy purpurata, biskupa Winchester, papieskiego legata. Jego wielki brzuch to zamię jego pobożności, a bramowane gronostajami szaty to oznaka jego wyrzeczeń. Jest bratem Stefana, a mimo to zawarł sojusz z Matyldą. Jeżeli nie ma w tym żadnej rachuby, to jestem dziewczicą, którą jeszcze w tym roku wyniosą na ołtarze.

Na tym Manette musiała poprzestać, ponieważ zapowiedziano nadejście królowej, wymieniając wszystkie jej oficjalne tytuły.

Przy dźwięku trąb pojawiła się Matylda. Miała twarz pogodną, choć pozbawioną uśmiechu. Przechodząc obok Gisele zatrzymała się i utkwiała w nią spojrzenie. Przypartywanie się nowej damie dworu trwało wyjątkowo długo. Gisele zaczynała się już nawet obawiać, że królowa odkryła dziurę w pożyczonej sukni lub brudną plamę na jej twarzy.

W końcu jednak kącki ust Matyldy uniosły się w uśmiechu.

- Widzę, że nie szczędziłaś starań, lady Manette, bo efekt przechodzi wszelkie oczekiwania. Witamy na dworze, lady Gisele.

Manette i Gisele z szacunkiem pochyliły głowy i podziękowały królowej za te miłe słowa.

Matylda poszła dalej i zajęła przeznaczone dla niej miejsce. Gdy usiadła, usiedli też dworzanie. Krzesło po lewej ręce królowej pozostawało wciąż puste.

Wtedy w drzwiach pojawiła się męska sylwetka. Na widok spóźnionego biesiadnika Manette uśmiechnęła się szeroko.

- Mój wuj jak zwykle przychodzi ostatni. Popatrz tylko, Gisele, czyż nie jest najprzystojniejszym na świecie mężczyzną?

Lady de l'Aigle spojrzała i zobaczyła sztywnego jak drut i chudego jak żytni kłos szlachcica.

- Sądziłam, że to Wulfram jest dla ciebie wzorem męskiej urody.

- Wulfram, owszem, lecz tylko w odniesieniu do Anglosasów, których cenię za krzepkość i muskularność. Wuj, przeciwnie, łączy zalety ciała z zaletami umysłu.

Gisele przebiegł dreszcz niepokoju, Manette bowiem wypowiedziała ostatnie słowa osobliwie gorącym tonem.

Tak, Geoffrey de Mandeville był piękny, ale na sposób wijącej się żmii. Być może urodą dorównywał Lucyferowi, kiedy ten jeszcze nie wiedział, że zostanie strącony z niebieskich wyżyn w piekielną czeluść. Zafascynowana tym porównaniem, Gisele zaczęła się nawet obawiać, że gdy de Mandeville otworzy usta, wszyscy zobaczą rozwidlony język i usłyszą syk.

De Mandeville przeszedł przez hol i zajął miejsce przy królowej. Matylda spojrzała nań i przygryzła wargi. Najwidoczniej trudno jej było przejść do porządku nad tym spóźnieniem, jednak earl Essex zdawał się nie dostrzegać jej rozdrażnienia i gniewu.

Gisele zauważyła, że Manette i baron powitali się wesołymi spojrzeniami. Geoffrey de Mandeville uśmiechnął się.

A potem stało się coś bardzo zagadkowego, co również nie uszło uwagi Gisele. Manette wskazała lekko głową w jej kierunku, jakby w ten sposób przedstawiając ją wujowi.

Poczuła na sobie spojrzenie możnego pana. Gdy ośmieliła się podnieść wzrok, ujrzała czarne, jakby pozbawione powiek oczy. I zaiste, były to oczy węża, który próbował ją zahipnotyzować.

- Ach, już mam pewność, że spodobałaś się mojemu wujowi - powiedziała Manette rozradowanym głosem.

- Niczego nie rozumiem, Manette - rzekła Gisele, zmrożona słowami przyjaciółki. - Dlaczego ktoś tak po-
tężny i cieszący się wyjątkowymi łaskami królowej miał-
by zaprzętać sobie głowę kimś tak nieważnym jak ja?

W odpowiedzi przeszkodził Manette biskup Henry, który dźwignął się z krzesła i zaczął odmawiać stosowną modlitwę, a jej styl był górnolotny, szumny i zawiły. Kiedy skończył, służba zaczęła roznosić michy i tace z mię-
siwem, chlebem i owocami. Gisele, która na widok jedze-
nia znowu poczuła dojmujący głód, zapomniała o Manette i jej wuju i wyciągnęła rękę po ociekającego tłuszczem kapłona.

- Myślałem już, że będę musiał drapać się na górę z wyciągniętym mieczem, żeby cię uwolnić z opresji - warknął Brys, gdy jego giermek zeskokczył z ostatniego szczebla drabiny, która wiodła na stryszek, gdzie posługu-
jące w gospodzie dziewczki dostarczały gościom bardziej intymnych przeżyć.

- Wybacz, panie, ale trafiłem na nienasyconą czarnul-
kę - tłumaczył się z uśmiechem Maislin. - Powiedziała mi, że nieczęsto trafia się jej taki galant.

Brys mało co nie zakrztusił się piwem.

- Przysięgam, panie, że niczego tu nie zmyślam - ciągnął giermek z miną pokrzywdzonego. - Ta kotka pod-
rapała mi całe plecy! A jak się wiała, jakie pomysły przy-
chodziły jej do głowy! - Westchnął. - Gdybym dziś umarł, to pochowałbyś, panie, szczęśliwego człowieka. Będę korzystał z jej usług, dopóki nie trafię na przezna-
czoną mi damę.

- Przeznaczona ci dama nie będzie zachwycona franca, której niechybnie nabawisz się od tej swojej nienasyconej kotki - oświadczył Brys, nagle uświadamiając sobie, że mówi niczym zgorzkniały starzec. Czyżby zazdrościł giermkowi tych nektarów, do których wypicia sam go przecież namówił? - Zmitręzyliśmy tu trochę zbyt wiele czasu, niewiele już zostało dnia. Najpierw zamierzałem jechać prosto w kierunku Kentu, teraz jednak lepiej będzie przenocować w moim domu w Londynie i ruszyć w dalszą drogę o świcie.

- Czy odwiedzimy księżną panią, małżonkę Stefana?
Brys kiwnął głową.

- Myślę, że czas sprawdzić, co się dzieje u Matyldy Bulońskiej, gdy jej królewski małżonek przebywa w więzieniu. Nie należy ona do tych niewiast, które łatwo znoszą taką przymusową rozłąkę. Być może ma Ust, który chciałaby dostarczyć mu do więzienia w Bristolu... - Przerwał, widząc dwóch zbrojnych, którzy wchodząc do gospody, brutalnie zepchnęli na bok starca zamierzającego właśnie wyjść.

- Ej, oberzysto! Piwa, tylko migiem! - rzucił jeden z nich z wyraźnie obcym akcentem.

- Flamandzycy - rzekł ściszym głosem Brys.

- Ciekawe, co tu robią? - mruknął Maislin przypatrując się spod oka dwóm drabom, odwróconym do nich plecami. - Słyszałem, że księżna Matylda ściąga najemników z różnych krajów Europy, ale sądziłem, że trzyma ich ze sobą w swojej twierdzy w Kent.

- Tak i ja myślałem. Ale lepiej przestańmy gadać i posłuchajmy, co mają do powiedzenia te hałaburdy.

- Oto wasze piwo, zacni panowie - rzekł oberżysta, stawiając przed przybyszami dzbanki z piwem. - Kosztuje szeląga - dodał skwapliwie.

- Zapłacimy, gdy będziemy wychodzić - warknął żołądek z sięgającymi ramion tłustymi, konopiastymi włosami.

- Ależ ma się rozumieć. Piwo jest chłodne i smaczne. Rzadko kto kończy na jednym dzbanku. W razie czego, zacni panowie, obsłużę was Rose. - Kiwnął głową w stronę dziewczki, z którą Maislin był dopiero co na stryszku. - A jeśli pojawią się jakieś inne życzenia - lubieżnie łypnął okiem - wygodzi wam, że nie będziecie narzekać.

- Zbliź się tu, ślicznotko! - zawołał ten z tłustymi włosami, a gdy podeszła, wsunął dłoń w dekolt jej sukni.

Widząc to, Maislin chwycił za sztylet i porwał się z ławy.

- Nie bądź głupcem! - mruknął Brys przez zęby, kładąc ciężką dłoń na ramieniu giermka. - Nie będziemy wdawać się w burdę przez byle dziewczkę. Spójrz tylko, takie traktowanie wydaje się jej sprawiać przyjemność - dorzucił.

I faktycznie, dziewczka na obmacywanki zareagowała hałaśliwym śmiechem.

Maislin zazgrzytał zębami, lecz ku uldze Brysa opadł na ławę. Biedny młodzian - przed chwilą był dumnym kogucikiem, teraz zaś mógł tylko sięgnąć do kieszeni, by sprawdzić, czy nie ma tam kolejnego dukata, którym mógłby zaskarbić sobie łaski czarnulki.

- Witamy w naszej oberży, rycerze bez skazy - gruchała dziewczyna. - Jesteście z bogatej Flandrii, jeśli mnie oczy nie mylą, a słuch nie zawodzi. Powiedzcie za-

wsze ciekawskiej Rose, co tu porabiacie. - Odwróciła głowę i mrugnęła w stronę Maislina i Brysa.

Pięknie, Maislin musiał niejedno powiedzieć tej dziewczynie, pomyślał Brys. Może nawet zdradził cel ich misji. Jeżeli tak, to on, Brys, skreśli kark tej tępej pale. Najpierw jednak przysłucha się temu, co mają do powiedzenia żołdacy.

- Jesteśmy na służbie u Matyldy - rzekł jeden z zaciężnych żołnierzy, waląc się pięścią w pierś, jakby dla potwierdzenia prawdziwości swych słów.

- Królowej Matyldy?

- Tak, prawdziwej królowej, żony króla Stefana, a nie tej samozwańczej dziewczyny noszącej to samo imię.

- Słyszałam jednak, że królowa Matylda ukryła się gdzieś na wschodzie, miasto zaś otwarło swe bramy dla córki Henryka.

Żołdacy ryknęli śmiechem.

- Nie będzie tak zawsze. Królowa już wyruszyła w drogę z zamiarem spotkania się z tą Germanką. Jeśli tamta nie spełni jej żądań, poleje się krew.

Maislin cały się najeżył.

- Matylda wcale nie jest jakąś tam Germanką, tylko rodzoną córką króla Henryka. Powinienem wbić to pięścią do głowy tym łajdakom.

- Spróbuj to zrobić, a będziesz musiał szukać sobie innego pana, ty dumny osiłku - rzucił ściszym głosem Brys.

- A niech zaraza dotknie wszystkich władców - wybuchnęła Rose. - Cokolwiek by robili, oznacza to ucisk, nędzę i łzy dla zwykłych ludzi.

Rozmowa ciągnęła się jeszcze przez jakiś czas, lecz nie przyniosła już niczego nowego. Wreszcie Rose zdecydowała się pójść na stryżek z jednym z żołnierzy, nazywanym przez towarzysza Janem. Wtedy Brys uznał, że trzeba opuścić oberżę. Nie zamierzał już przedłużać udręki swojego giermka.

Zapadał już późny letni zmierzch. Odebrali nakarmione i napojone konie i wyjechali na gościniec.

- Pomyśl tylko, chłopcze - rzekł po chwili milczenia Brys. - Znaleźliśmy się we właściwym miejscu o właściwym czasie. Nie wdaliśmy się w żadną awanturę, tylko dowiedzieliśmy się co najmniej jednej ważnej rzeczy. Dlatego jutro nie musimy puszczać się w drogę do Kentu.

- Co zatem zamierzasz, panie?

- Dowiedzieć się, gdzie teraz dokładnie przebywa żona Stefana, która wedle słów tych żołdaków liczy na spotkanie z naszą Matyldą.

- A potem? - spytał Maislin, ściągając brwi, co zawsze oznaczało u niego namysł i skupienie. Musiał już zapomnieć o płochości i niewierności Rose.

- Przede wszystkim trzeba uprzedzić królową, że w Londynie zbiera się na burzę. Jeszcze tej nocy musi się o tym dowiedzieć.

Maislin nie był zachwycony. Ociężały po igraszkach z dziewczką, z przyjemnością myślał o czystym łóżku i dobrym jedzeniu w Londynie.

- Ależ panie - rzekł w nadziei, że i jego słowa mogą wpłynąć na bieg wydarzeń. - Czy to na końskim grzbiecie, czy łodzią, dotrzemy do Westminster i tak w środku nocy, kiedy królowa będzie już spała.

- Zatem będziemy musieli ją obudzić - odparł Brys, w pełni świadom, z jaką miną przyjmie władczyni taką bezczelność. - Kto wie, czy nie zaważą tu godziny. Królowa musi jak najszybciej dowiedzieć się o szykownych zamieszkach. Ale też nie mam zamiaru przebywać w Westminster dłużej, niż jest to konieczne. Opuścimy zamek przed świtem.

Maislin westchnął.

- Panie, zechciej mi powiedzieć, po co to wszystko robisz?

- Niby co, Maislin? Chyba już znasz powód naszego powrotu do Westminster.

- Idzie mi o co innego. Wiem, że musimy wracać, choć moim zdaniem moglibyśmy uczynić to po przespanej nocy. Co jednak zaważyło, panie na tym, że wybrałaś służbę u królowej Matyldy?

- Mój ojciec złożył przysięgę na wierność jej ojcu, królowi Henrykowi, przyrzekł również ze wszystkich sił służyć jego córce jako przyszłej królowej.

- Ale uczyniło tak wielu, włączając w to nawet Stefana, który zapomniał o swych słowach. Jednak nie jesteś, panie, swoim własnym ojcem. Co wiąże ojca, nie musi wiązać syna.

- Czyżbyś chciał, żebyśmy przeszedł na stronę Stefana, Maislin? - spytał Brys, bacznie przypatrując się swojemu giermkowi, który mówił tak, jakby żałował dotychczasowej służby u niego i chciał zmienić front.

- Ależ skądże znowu, panie! Próbuję tylko zrozumieć, co wpłynęło na twój wybór. - Strapiona mina giermka zdawała się potwierdzać jego szczerość.

Brysowi ulżyło na sercu.

- Są przysięgi, które wiążą również synów, bo świadczą o lojalności rodu wobec władcy - odparł Brys, w głębi serca żałując, że nie może podać giermkowi prawdziwej przyczyny swojego wyboru. Nie znały jej nawet jego siostry. Otóż sekretem jego życia było, że jest zaledwie ich bratem przyrodnim.

Jego matka była kochanką króla, jedną z wielu, jakie miał obdarzony niezwykłym wigorem i lubieżny Henryk. W odróżnieniu jednak od pozostałych upierała się, by ich związek pozostał w tajemnicy. Gdy w końcu stało się to, co nieuniknione, czyli gdy zaszła w ciążę, zażądała, aby koronowany kochanek znalazł dla niej męża wysokiego rodu. Wybór Henryka padł na barona de Balleroya.

Bycie królewskim bastardenem było zarazem błogosławieństwem i przekleństwem. Brys nie mógł wprawdzie poszczycić się wysokim tytułem księcia Gloucester, zarezerwowanym dla najstarszego prawowitego syna króla, Roberta, w zamian jednak miał wolny wybór w kierowaniu swymi losami. Mógł wybrać służbę u Matyldy nie ze względu na związki rodzinne, ale dlatego, że tak chciał.

Szczęśliwie jego matka wyszła za mąż na długo przed rozwiązaniem. Jako pierworodny syn de Balleroya, gdyż za takiego uchodził, odziedziczył baronostwo po śmierci przybranego ojca.

Brys pamiętał dzień, kiedy ośmielił się zadać swemu ojcu pytanie, dlaczego ten traktuje go tak szorstko i oziębłe. Miał wtedy siedem lat i był w wieku, w którym zgodnie z panującym zwyczajem wysyłano chłopców na służbę do któregoś z sąsiednich zamków, by jako paziowie przygoto-

wywali się do życia dworskiego. Niewątpliwie pytanie to uświadomiło baronowi, że najwyższy czas powiedzieć chłopcu prawdę o jego pochodzeniu. Wtedy Brys dowiedział się, że spłodził go król Anglii, a człowiek, którego dotychczas uważał za ojca, jest tylko jego opiekunem i wychowawcą. Następnie musiał przysiąc na świętą relikwię, że nigdy nie powie o tym swoim trzem młodszym siostram. To utajenie prawdy baron wytłumaczył mu troską o dobro i przyszłość rodu.

Gdyby wyszło na jaw prawdziwe pochodzenie Brysa, tytuł dziedziczyłaby Avelaine, najstarsza z córek barona, on jednak nie chciał narażać jej na to, by stała się celem zabiegów przeróżnych łotrów spod ciemnej gwiazdy, żądnych ziem i bogactwa. O wiele prostszą, gdyż uświęconą przez zwyczaj i tradycję sprawą było dziedziczenie przez najstarszego syna.

Baron nigdy nie wyjaśnił Brysowi, dlaczego powiedział mu prawdę, mimo że ten i tak miał przejąć po nim majątność i tytuł.

Rozmowa ta zrodziła w sercu chłopca nienawiść do przybranego ojca. Do tej pory czuł się bezpieczny, gdyż miał swoje miejsce w świecie, lecz teraz sekret pochodzenia zaciążył mu niczym kamień młyński uwiązany do szyi. Miał odziedziczyć baronostwo właściwie bezprawnie, jakby chyłkiem i po złodziejsku.

Jego nienawiść przybrała na sile, gdy urodził się Ogier. Brys poczuł się niczym kukielcze piskłę podrzucone przez matkę do innego gniazda. Był oszustem i szalbierzem, a mimo to musiał wziąć na siebie odpowiedzialność za pomysłne losy przybranego rodzeństwa. On musiał zadbać,

by jego siostry dostały dobrych mężów, czego zresztą były warte. Musiał też zapewnić przyszłość swemu młodszemu bratu, prawdziwemu dziedzicowi. Ponieważ przysięga, którą baron de Balleroy odebrał od Brysa, wciąż miała swą moc, będzie musiał również postarać się o dziedziców, by nie upadł ród.

Ale czy zdobędzie się na wyznanie umiłowanej kobiecie, że jej przyszły mąż nie jest tym, za kogo uchodzi?

Zastanawiając się nad tym wszystkim i robiąc kolejny rachunek swego życia, pomyślał o normandzkiej dziedzicze, którą zostawił na dworze Matyldy. Pewnie ze względu na późną porę nie uda mu się z nią zobaczyć, ale może przynajmniej dowie się, jak Gisele radzi sobie wśród wilków.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Biskup wstał i zakończył wieczerną modlitwą, równie rozwlekłą jak poprzednia. Gisele już od dawna morzył sen. Dzień był długi i męczący, a poza tym nie była przyzwyczajona do czystego wina, zawsze dotychczas rozcieńczała je wodą. Gdy więc zobaczyła, że królowa uniosła się z krzesła i w towarzystwie dostojników i rycerzy ruszyła ku drzwiom, Gisele uczyniła to samo. I już chciała powiedzieć Manette, że najchętniej wróciłaby do komnaty i od razu poszła do łóżka, gdy nagle ziewnęła i musiała przestronić dłonią, otwarte szeroko usta, jak nakazywało dobre wychowanie.

- Co to za obyczaje - skarciła ją Wilfride. -. W obecności królowej musisz być zawsze ożywiona, bo jej wysokość nie cierpi nudnych dam dworu. Wiedz też, że wieczorami towarzyszymy królowej aż do chwili, gdy uda się na spoczynek. Chodźmy więc, moje panie. - Kiwnęła na towarzyszkę i popłynęła niczym statek pod pełnymi żaglami w ślad za królową.

- Ta Wilfride rządzi się tu jak szara gęś. I tylko dlatego, że dłużej od nas zna Matyldę, bo jeszcze z Niemiec - sarknęła Manette, wygładzając pogniecioną spódnice. - Ale nie martw się, nie jest tu wcale tak źle. Teraz pewnie czeka nas spacer po ogrodzie, gdyż dzień był piękny, a wieczór

jest ciepły i nie ma rosy. Kiedy zaś odprowadzimy królową do jej sypialni, resztę czasu, to jest całą noc, będziemy miały dla siebie!

- Wszystko, czego pragnę, to położyć się i zasnąć - wyszeptała Gisele. - Pół dnia jechałam konno i czuję się bardzo zmęczona. - Chciała zamknąć oczy i w spokoju podsumować ten dzień, przypominając sobie zdarzenia i twarze, być może również szlachetne oblicze Brysa de Balleroya...

- Nie mów jak wieśniaczka! Jesteśmy na dworze i nie kładziemy się spać z kurami. Poza tym mój wuj chciałby cię poznać.

Gisele miała ochotę odpowiedzieć że ona sama, przeciwnie, wcale o tym nie marzy, lecz nie zamierzała sprawiać przykrości Manette. Nadto wiedziała, że spotkania z earlem Essex tak czy inaczej nie da się uniknąć.

Gdy przeszły do ogrodu, brzmiały już tam słodkie dźwięki lutni.

- Tego lutnistę przywiozła ze sobą Matylda z Angers, gdzie w tej chwili przebywa jej mąż Geoffrey Le Bel - wyjaśniła Manette, gdy szły po miękkim trawniku. - Czyż nie gra bosko?

Gisele skinęła głową, zastanawiając się, czy czasami lutnista, młode i piękne pachole, nie jest kolejnym kochankiem lady de Mandeville. Rozejrzała się wokół. Na otaczający ogród mur wspinały się czerwone róże i żółto ukwiecone pnącza lonicery, niżej pyszniły się ogromnymi kwiatami rododendrony. Trochę dalej, w listowiu grusz i jabłoni, zanosiły się śpiewem słowiki, jakby stając do konkursu z lutnistą. Odurzający zapach kwiecica sprawiał,

że rozkoszny bezwład napełniał ciało, a myśli szybowwały ku przestworzom.

Wzdłuż alejki stały kamienne ławy. Jedną z nich z myślą o królowej wyłożono poduszkami. Wilfride i Rilla pilnowały, by każdy otrzymał ciasteczka i wino. Biskup Henry usadowił się przy Matyldzie i od razu rozpoczął uczoną dysputę. Geoffrey de Mandeville wybrał sobie na towarzysza Roberta Glouceстера, przyrodniego brata królowej, słuchał go jednak tylko jednym uchem, gdyż przez cały czas kierował spojrzenie ku władczyni.

Służba wciąż donosiła flaszki i tace z poczęstunkiem. Po obfitej kolacji Gisele czuła się syta, lecz Manette zmusiła ją, by robiła to co pozostali, to znaczy piła wino i chrupała ciasteczka.

- Przyjechałaś z Rouen, Gisele? - spytała jedna z dam dworu, bodaj Halette, która usiadła na sąsiedniej ławce.

- Nie, z Risle Valley. Dolinę przecina rzeka, nad którą wznosi się nasz zamek.

Gisele wolałaby, by nie pytano o jej dom, natychmiast bowiem zaczynała tęsknić i snuć wspomnienia. Dwa tygodnie temu siedziała wraz z Fleurette w ogrodzie w l'Aigle i obrębiała suknię, w której miała pokazać się na angielskim dworze. Dziś jej starej niani nie było wśród żywych, suknia zaś dostała się zapewne kochanicy herszta bandy. W oczach Gisele zakręciły się łzy. Zaczęła mrugać, by nie pozwolić spłynąć im po policzkach.

- Widzę, że bardzo tęsknisz za domem - zauważyła Halette tonem pełnym współczucia. - Czyżbyś zostawiła tam ukochanego?

Gisele pokręciła przecząco głową, słowa jednak nie chciały przejść przez ściśnięte gardło.

- A więc matkę? Ojca?

Nie, stanowczo nie będzie obnażać przed tą pięknie ubraną damą swego zbolełego serca.

- Jestem tylko zmęczona - zaczęła i urwała, nie wiedząc, co powiedzieć dalej.

- Wybacz, że tak się dopytuję - rzekła uprzejmym tonem Halette. - Widzę, że moje pytania tylko pogłębiają twój smutek. Ale może pewna wiadomość wróci ci humor. Jutro z samego rana mamy wyruszyć do Londynu. Matylda już zażyczyła sobie na swoją koronację siwego wierzchowca z plecioną grzywą i ogonem. Mamy odwiedzić też słynne londyńskie targi. Jakie tam są sklepy! Złotnicy, kupcy bławatni, korzenni...

Gisele przysłuchiwała się tej paplaninie i faktycznie lżej się jej robiło na duszy. Chciała zobaczyć Londyn i nacieszyć oczy jego domami, ulicami i kramami, mimo że nie miała przy sobie nawet miedziaka, by kupić choćby najtańsze świece. Ciekawa też była, skąd Matylda weźmie pieniądze na siwego rumaka, skoro jej skarbiec świecił pustkami, tak iż nawet nie stać jej było na koronacyjną szatę!

Nagle poprzez muzykę ogrodu przebił się głos królowej:

- Mówię „nie”, księżę biskupie! To moja ostateczna decyzja. Tym samym sprawę uznajmy za zakończoną.

Lutnia umilkła, rozmowy urwały się. Mimo gęstniejącego mroku Gisele zauważyła, że biskup Henry zrobił się czerwony na twarzy. O jaki dar czy dobrodziejstwo prosił

królową, że ta odmówiła mu tak impulsywnie? Poderwała się nawet na równe nogi, wypuszczając z dłoni inkrustowany szlachetnymi kamieniami złoty puchar. Uderzył o kamienną ławkę, a metaliczny dźwięk echem rozniósł się po ogrodzie.

- Idziemy, moje panie! Czas odpocząć po męczącym dniu - rzuciła ostrym głosem i nie sprawdzając, czy ktoś idzie za nią, ruszyła aleją ku majaczącym w oddali drzwiom zamku.

- Ciekawam, co za giez ją ukąsił? - szepnęła Manette do ucha Gisele. Wraz z pozostałymi damami dworu posłusznie podażyły za królową.

Gisele nawet nie domyślała się przyczyny gniewu i oburzenia królowej, czuła tylko ulgę, że dziś już z pewnością nie dojdzie do rozmowy z wujem Manette.

Wilfride, która siedziała najbliżej królowej, pierwsza się z nią zrównała. Miała troskę wypisaną na twarzy i szybko oddychała. Powiedziała coś po niemiecku do Matyldy i otrzymała lakoniczną odpowiedź.

- Rilla, o czym one mówiły? - spytała wścibska Manette.

Nie zwalniając kroku, zapytana spojrzała przez ramię.

- Coś o synu Stefana, Eustace, bratanku Henry'ego, ale nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi.

W pałacu musiały przejść jeszcze całe mile korytarzy i pokonać dziesiątki stopni, zanim dotarły do apartamentów królowej. Damy dworu nie omieszkały zauważyć, że Matylda zdołała już odzyskać panowanie nad sobą i tylko z ułożenia jej Ust można było się domyślić, że jeszcze nie całkiem minęła jej złość. Z krótkich, jakby urywanych ru-

chów królowej przebijało napięcie. Wilfride i Rilla pomogły jej się przebrać do snu, Cosette rozesłała łożko, Aubine zaś wzięła szczotkę i zajęła się grubymi czarnymi włosami monarchini. Gisele, której nie przydzielono jeszcze żadnej funkcji, mogła tylko stać i obserwować. Zauważyła, że mimo trzech połogów Matyllda wciąż ma jeszcze bardzo zgrabną figurę, a żaden siwy włos nie rozjaśnia jednolitego hebanu jej spłotów.

Wreszcie królowa leżała w łożku, zaś Manette okryła ją obleczoną w jedwab puchową kołdrą.

- Dziękuję wam, moje drogie. Zostajesz ze mną tylko ty, Wilfride. Mam ochotę posłuchać niemieckiej poezji. Lubię zasypiać, gdy pieści me ucho język mego dzieciństwa.

Gdy opuściły sypialnię, Gisele zwróciła się do Manette:

- Gonię resztkami sił. Czy mogłabyś wytłumaczyć mi, jak trafić do naszego pokoju? Bez twojej pomocy zabłądzę w tej płataninie korytarzy.

Nim jednak tamta zdążyła odpowiedzieć, z półmroku wyłonił się Wulfram. Manette, wcale nie zaskoczona tym nagłym spotkaniem, powitała kochanka perlistym śmiechem.

- Obawiam się, że nie będę mogła oddać ci tej drobnej przysługi - powiedziała z nutką żalu w głosie, któremu jednak zaprzeczały jej błyszczące z podniecenia oczy. - Ja i mój luby musimy dokończyć coś, co zaczęliśmy kilka godzin temu. Myślę jednak, że w roli przewodniczki zastąpi mnie któraś z dam. Pamiętaj zostawić zapaloną świecę. - Zachichotała, furknęła spódnicą i chwyciwszy kochanka za rękę, pociągnęła go w głąb korytarza. Wulfram

oddalił się, żegnając Gisele nieśmiałym, przepraszającym spojrzeniem.

Gisele rozejrzała się, lecz nie zobaczyła żadnej z dam, które widocznie pospieszyły już do swych łóżek. Poirytowana i lekko odurzona winem, ruszyła korytarzem, starając przypomnieć sobie drogę. Stopy miała jak z ołowiu, bolały ją nogi, a powieki same się zamykały. Przewyciężyła słabość i zaczęła biec. Być może dogoni którąś z pańien.

- Ależ nie należy się bać, mademoiselle. Dokądkolwiek zdążasz, pani, odprowadzę cię tam z prawdziwą przyjemnością - dał się słyszeć męski głos, a równocześnie chłodna dłoń zacisnęła się na jej nadgarstku.

Drgnęła i odwróciła się ze ściśniętym niepokojem sercem. Tuż przy niej stał Geoffrey de Mandeville. Bił odeń kwaśny odór wina. Skąd tu się wziął? Mogłaby przysiąc, że na korytarzu prócz niej nie było nikogo, od kiedy Manette odbiegła z Wulframem.

- Nie ma powodu do obaw, mademoiselle. Pragnę tylko zaproponować ci swoje towarzystwo - mruknął.

- Ależ naprawdę nie ma potrzeby... śpieszę się, żeby dogonić inne damy... - Próbowała odzyskać swobodę, lecz uścisk jego dłoni okazał się bezlitośnie mocny.

- To nie jest konieczne. Jestem tu, by odprowadzić cię, pani, do twojej komnaty.

- Nie przedstawiono nas sobie, sir...

Była w rozpacz. Chciała czym prędzej znaleźć się poza zasięgiem hipnotycznego wzroku tego możnego pana.

- Ależ to żaden kłopot, jestem bowiem pewien, że moja siostrzenica, urocza Manette, poświęciła słówko mojej

osobie w rozmowie z tobą, pani. Chylił przed tobą głowę lord Geoffrey de Mandeville, earl Essex i najwyższy nadzorca Tower.

- Czuję się zaszczycona... - Zerknęła w głąb korytarza w nadziei, że może ktoś - ktokolwiek - właśnie nadchodzi, niosąc jej wybawienie. Właściwie nie miałyby nic przeciwko rozmowie z de Mandeville'em, gdyby nie byli sami. Wprawdzie do tego mężczyzny czuła instynktowną niechęć, lecz przecież nie wyrządził jej jeszcze żadnej krzywdy.

- Powiedziano mi już, że jesteś, pani, lady Gisele de l'Aigle. Podczas wieszki nie mogłem oderwać oczu od twej ślicznej twarzy. Chyba nie uszło to twojej uwagi? - spytał głosem słodkim jak miód.

Zrobiła wszystko, by jej zdziwienie wydało się szczere i naturalne, pragnąc w ten sposób uzmysłwić pewnemu sobie arystokracji śmieszność i niestosowność jego pytania.

- Sądziłam, mój panie, że patrzysz na kogoś siedzącego za mną. Jestem tylko jedną z dam dworu królowej, młodszą od twej siostrzenicy o rok lub dwa.

- Młodość wcale nie musi iść w parze z tak wielką skromnością, tym bardziej że towarzyszy jej olśniewająca uroda. Nieczęsto spadkobierczyni rodu łączą w sobie wszystkie te zalety - dodał z uśmiechem.

Przeszedł ją dreszcz lęku. Skąd earl o tym wszystkim wie? Manette nie odstępowała jej ani na krok od chwili, gdy się poznały. Nie ona więc powiedziała mu, że na niej, Gisele, ciąży obowiązki związane z dziedziczeniem.

Pozostawała zatem królowa. To było jedyne wytłuma-

czenie. Nagle Gisele poczuła mdłości. Powodem mogło być wypite wino, jak również, kto wie, niepokój związany z jej szczególną sytuacją ostatniej z rodu, która musi wyjść za mąż i urodzić następcę. A może de Mandeville jest kawalerem i szuka posażnej żony? No cóż, pomyślała z nagłym lękiem, nawet jeśli jest żonaty, dla niej nie stanowiło to żadnej gwarancji bezpieczeństwa.

Stanęli w miejscu, gdzie krzyżowały się dwa korytarze.

- Obawiam się, sir, że jestem zbyt zmęczona, by czerpać radość z pochlebstw. Zechciej więc, proszę, ale już bez dalszej zwłoki, odprowadzić mnie do mojej komnaty.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, pani - powiedział, wężowym ruchem ramienia obejmując Gisele w tali i przyciągając bliżej do siebie. - Nie, nie tędy, obrałaś złą drogę. Musimy skręcić na prawo, tam jest twój pokój. Żaden to jednak powód do wstydu, że zagubiłaś się, pani, w tej plataninie przejść i korytarzy. Wszak jesteś tu dopiero od południa, a na dokładne poznanie zamku trzeba co najmniej kilku dni. Moja siostrzenica nieładnie postąpiła, zostawiając cię samą.

Poszli ciemnym korytarzem. Z początku szła ufnie, nie opierając się. Mimo wszelkich instynktownych obaw nie miała powodu podejrzewać swego towarzysza o złe zamiary. Faktycznie mogła obrać złą drogę. Z każdym jednak krokiem jej niepokój wzrastał. Minęli właśnie okno wykuszowe, którego przedtem nie widziała. Całe otoczenie wydało się jej obce. Pragnąc stłumić strach, spytała:

- Czy jesteś pewien, panie, że idziemy w dobrym kierunku?

- Już niedaleko, pani, tylko kilka kroków - powiedziały i faktycznie niebawem zatrzymali się przed solidnymi drzwiami. - Jesteśmy, moja miła.

- Musiałeś pomylić się, panie. To nie jest mój pokój!

- Ale może stać się twoim na tę noc, moja mała Gisele. Co będzie potem, zobaczymy. Może ujrzysz w tym pewną korzyść dla siebie.

- Proszę natychmiast mnie puścić! - wykrzyknęła, próbując uwolnić się z jego objęć. Miał nad nią ogromną przewagę, więc kopnęła go z rozmachu w goleń, choć w istocie celowała w pachwinę.

Na jego twarzy odmalował się ból pomieszany ze zdumieniem.

- Ty podstępna dziewczko! - ryknął, chwytając się za nogę.

Była wolna. Zebrała spódnice i puściła się biegiem, byle dalej od tego kłamcy i lubieżnika.

- Nie łudź się, że mi uciekniesz! - doścignęły ją wściekłe słowa, a zaraz potem usłyszała odgłos jego kroków.

Zaczęło się polowanie. Każdy krok był dla Gisele męką. Była ranną sarną, która umyka pogoni. Biegła przed siebie, nie dbając o kierunek. I może powiodłoby się jej w tej rozgrywce, gdyby w pewnym momencie skręciła w prawo. Rzuciła się jednak w przeciwną stronę i ujrzała mur zamykający korytarz.

Dostrzegła drzwi. Ktokolwiek przebywał w środku, nie odmówi jej pomocy! Dysząc dopadła do tych wrót nadziei i zaczęła walić w nie pięściami. Żadnej odpowiedzi. Rzuciła się na drzwi całym swoim ciałem, lecz nie ustąpiły.

Była osaczona. Nie była wszak bezbronna. Bronią, którą posiadała, nie mogła wiele zdziałać, jednak musiała jej

użyć. Sięgnęła po krótki nóż, który nosiła umocowany do paska sukni, a którego zwykła używać podczas posiłków. Wyszarpnęła go z pochwy, ostrze zaś skierowała ku nadbiegającemu lordowi.

- Ani kroku dalej, bo przysięgam, zatopię go w twoim sercu, panie. Daj mi odejść, a nigdy nie wspomnę nikomu o tym wydarzeniu. - Wolno cofała się, dotykając plecami ściany i modląc się w duchu, by nie musiała spełnić swej groźby.

- Naprawdę myślisz, że zdołasz osiągnąć mego serca tą igłą? - spytał z zimnym szyderstwem, wciąż zbliżając się do niej.

- Właśnie pomyślałam, że może nie masz serca, mój panie - odparła, zerkając na rękę trzymającą nóż, by sprawdzić, czy drży. - Nie mówmy zatem o sercu, tylko o twoim policzku. Wytnę na nim literę „W”, jak Wszetecznik.

- Jeśli przedtem nie odbiorę ci tej zabawki. Pamiętaj, że ja również potrafię pisać, choć dotychczas jeszcze nie robiłem tego nożem - ostrzegł, przenosząc wzrok z jej twarzy na nóż i z noża na twarz.

Był już bardzo blisko. Skupił się, gotując do rozstrzygającego skoku.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gisele cofnęła się jeszcze o krok. Dalej była już tylko ściana.

Nagle zauważyła, że de Mandeville nieruchomieje i skręca głowę, jakby nasłuchiwał. Wstrzymała oddech i zamieniła się w słuch.

I usłyszała. Z głębi korytarza dobiegł wyraźny odgłos kroków!

Wybawienie! De Mandeville nie ośmieli się napastować jej w obecności kogoś trzeciego. Byleby był to ktoś, z kim lord musiał się liczyć. Ktoś równy mu urodzeniem, nie zaś sługa, który widząc potężnego pana, spuści oczy, udając, że niczego nie spostrzegł, albo wręcz się wycofa, nie chcąc narażać się na gniew earla.

Zza zakrętu wyłoniła się postać. Przybyły stanął, zaskoczony widokiem dwóch osób, których nie oczekiwał w tym miejscu. Najdziwniejsza jednak w tym wszystkim była zmiana, jaka zaszła w postawie de Mandeville'a. Earl błyskawicznie się wyprostował, przybierając niedbałą pozę, zaś z jego twarzy znikła agresywna przebiegłość. Zastąpił ją uprzejmy uśmiech.

- Witam, mój panie - rzekł tonem miłego zdziwienia.
- Nie przeczę, że jestem cokolwiek zaskoczony twoim wi-

dokiem, słyszałem bowiem, że koło południa opuściłeś Westminster w jakiejś ważnej misji.

- Jest w tym tylko część prawdy, jak bowiem widzisz, jestem tutaj. Czyżbyś miał coś przeciwko temu?

Gisele odniosła wrażenie, że jest świadkiem cudu: rozpoznała głos Brysa de Balleroya! A po chwili ujrzała jego oczy, które utkwiał w trzymany przez nią nóż.

- Ależ oczywiście, że nie! My zaś, jak widzisz, próbujemy znaleźć właściwą drogę do komnaty tej damy - rzekł de Mandeville, obrzucając Gisele przelotnym spojrzeniem.

- Dama ta zaś uznała za konieczne odpierać twoją pomoc nożem, panie - rzekł de Balleroy z nutką kpiny w głosie. - Założę się, że z jej ust usłyszę inną opowieść.

Nie uszło uwagi Gisele, że przesunął dłoń ku rękojeści miecza.

- Raczej skargę, panie - powiedziała, widząc, jak z twarzy de Mandeville'a spada maska ogłady, odsłaniając zimną wściekłość. - Ale to później. Teraz będę wdzięczna, jeśli zabierzesz mnie stąd, panie, i odprowadzisz do mojej komnaty. Nie chcę już dłużej patrzeć na tego rozpustnika.

- Uczynię to z prawdziwą przyjemnością, lady Gisele - rzekł Brys, po czym przeniósł spojrzenie na earla. - Oczywiście, za twoją zgodą, mój panie - pozwolił sobie na subtelną kpinę z obowiązujących zasad dobrego wychowania.

Oczy de Mandeville'a jeszcze bardziej ściemniały.

- Zyskałaś niebezpiecznego wroga, moja panno, a mogłaś zyskać wpływowego przyjaciela. - Powiedziawszy to, oddalił się sztywnym krokiem.

Gisele i Brys odprowadzili go spojrzeniem. Znikł, a oni wciąż milczeli. Ciszę przerwał de Balleroy:

- Chyba się domyślam, co tu się wydarzyło przed moim przybyciem, lady Gisele. Nie musisz mi o niczym mówić. Chyba że ten łotr zrobił ci krzywdę?

Gisele potrząsnęła głową, czując, że drży coraz mocniej, w miarę jak ustępował strach.

- Nie zdążył, bo ty nadszedłeś, panie, i odebrałeś mu sposobność. Jednak co tak szybko sprowadziło cię z powrotem do Westminsteru? O ile pamiętam, wyruszając stąd, uprzedzałeś o swojej dłuższej nieobecności.

- I tak miało być, lecz w drodze usłyszałem coś, o czym bezzwłocznie muszę powiadomić królową. Natychmiast więc zawróciłem, lecz jak się okazało, nadaremnie. Jedna z tych Niemek, które nie odstępują Matyldy ani na krok, akurat zaś ta przypominała bardziej smoka niż białogłową, odmówiła obudzenia swej pani.

Obraz Wilfride zionącej ogniem, cuchnącej siarką i wypełzającej na czterech łapach z jamy sprawił, że Gisele blade się uśmiechnęła.

- Bawi cię, pani, że błąkam się nocną porą po tych korytarzach? - zapytał, lecz migoczące w jego brązowych oczach isierki mówiły, że nie czuje się obrażony. - Pomyślmy zresztą o tej, która nie śpi, a winna być już w łóżku. Zechciej mi zatem, pani, wskazać drogę do swojej komnaty, a ja... Czym znowu cię rozbawiłem, lady Gisele?

Faktycznie, ramiona Gisele trzęsły się od niemego śmiechu.

- Mój panie, gdybym wiedziała, gdzie znajduje się moja komnata, nie znalazłbyś mnie tutaj walczącej z roz-

pustnym de Mandeville'em! Rzecz w tym, że zagubiłam się w tym labiryncie. Siostrzenica earla, z którą dzielę pokój, zostawiła mnie samą na korytarzu w pobliżu apartamentów królowej...

- I tak się przypadkiem złożyło, że niebawem pojawił się jej wuj z propozycją pomocy.... - dokończył Brys z ponurą miną. Nie mylił się, uważając, że była jagnięciem rzuconym między wilki. Nie przewidział tylko, że już pierwszej nocy te bestie złączą ją osaczać i obnażać kły.

- Tej propozycji nie mogłam się oprzeć, mimo że człowiek ów nie wzbudził mojego zaufania - rzekła ze smutnym uśmiechem.

- Jeżeli jednak zawierysz mi, pani, to, myślę, że uda się nam odnaleźć twoją komnatę - rzekł, zginając się w dworskim ukłonie.

- Mój panie, na moją wiarę i zaufanie zawsze możesz liczyć - odparła ze szczerym przekonaniem w głosie.

- Skap tego jednak innym, lady Gisełce. To przyjacielska rada.

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, po czym z powagą skinęła głową.

On zaś po raz kolejny miał okazję przekonać się, jak bardzo zmienny jest kolor jej oczu, zawsze jednak mieniący się barwami złota i nefrytu.

Brys stawił się w apartamentach królowej o tak wczesnej porze, iż miał pełne prawo spodziewać się, że zastanie Matyldę jeszcze w łóżku.

Ona jednak zdążyła już wstać. Ubrana wciąż w nocną koszulę, ziewająca i o zaspanych oczach, siedziała na oz-

dobnym stołku i poddawała się porannym zabiegom toaletowym, przywracającym świeżość i urodę. Otaczały ją damy dworu, a każdej przypadała inna rola w tym rozpoczynającym dzień rytuale. Jedna nakładała na twarz królowej jakąś złocistozieloną maść, która jednak po wtarciu w skórę stawała się bezbarwna; inna rozczesywała jej włosy; trzecia wreszcie kompletowała ubiór na dzisiejszy dzień. Wiele kręciło się bez widocznego celu, z ich min jednak można było wywnioskować, że są tu nieodzowne.

Pyszne kruczoczarne włosy Matyldy czesała Gisele. Spojrzała na Brysa, kiedy ten wszedł, i na moment ich oczy spotkały się ponad głową królowej. Gisele pierwsza spuściła powieki, Brys zaś odniósł wrażenie, że policzki dziewczyny rozkwitły delikatną czerwienią.

Zaciekawiła go ta reakcja, nie miał jednak czasu głębiej się nad nią zastanawiać. Musiał bezzwłocznie przejść do rzeczy.

- Przede wszystkim pragnę wyrazić swą wdzięczność, że zechciałaś przyjąć mnie tak wcześnie, miłościwa pani.

Matylda niecierpliwie machnęła ręką.

- Cóż może być tak ważnego, rycerzu, co upoważniłoby cię do szturmowania mojej sypialni jeszcze przed świtem? - Otuliła się szczerze podbitym kunami płaszczem, który Wilfride zarzuciła jej na ramiona.

Brys udał, że nie zauważył współczującego spojrzenia Gisele, wywołanego ostrym tonem królowej. Skupił się na obserwowaniu Matyldy, która, nie wiedząc o tym, była jego przyrodnią siostrą. Zastanowił się, czy gdyby poznała tę tajemnicę, jej stosunek do niego uległby gruntownej

przemianie. Prawdopodobnie nie. Jej ojciec spłodził cały zastęp bastardów.

- Proszę wybaczyć mi to najście. Nie zostało pomyślane jako szturm, tylko jako krok niezbędny do powiadomienia cię, miłościwa pani, o pewnej bardzo ważnej rzeczy.

- W takim razie przynajmniej staraj się zawrzeć w jak najmniejszej liczbie słów jak najwięcej treści - rzekła, wciąż nie mogąc opanować niecierpliwości. - Dzisiaj wyruszam do Londynu, gdzie odwiedzimy targ oraz jarmark koński.

Brys z chęcią powiedziała by swej przyrodniej siostrze, że planowane przez nią zakupy są nic niewartą błażostką w porównaniu z zagrożeniami, jakie wiszą nad jej głową, lecz z oczywistych względów zwalczył tę pokusę.

- Może powinniśmy zostać sami? - powiedział, rzucając krótkie, lecz wymowne spojrzenie na damy dworu, które nawet nie kryły, że przysłuchują się rozmowie. Tylko Gisele zdawała się pochłonięta rozczesywaniem poplątanych przy końcach włosów Matyldy.

Królowa pstryknęła palcami.

- Opuśćcie nas, moje drogie. Zostaje tylko Gisele. - Spojrzała przez ramię na swoją nową towarzyszkę. -+ Odpowiada mi twój dotyk. Jest delikatny, a zarazem zdecydowany i mocny. A poza tym - dodała na użytek wychodzących dam - znasz już lorda de Balleroya. - Zamknęła oczy i przez chwilę rozkoszowała się zabiegami wykonywanymi przez lady de l'Aigle. Przypominała w tej chwili głaskaną czarną kotkę.

Krótko i treściwie Brys powtórzył królowej, co usłyszał wieczorem w gospodzie.

Kiedy doszedł do słów flamandzkiego żołdaka o kłopotach, jakie spadną na królową, jeśli nie spełni żądań i warunków małżonki Stefana, Matylda uśmiechnęła się z politowaniem.

- Jeśli ona łudzi się, że uzyska zgodę na odwiedzenie tego sprośnego łajdaka w bristolskim więzieniu, to na próżno wybiera się do mnie z wizytą. Skoro ja już z górą półtora roku mogę żyć w rozłące z moimi synami, to ona tym bardziej wytrzyma bez swego małżonka.

Brys pomyślał, że Matylda, wspominając o dzieciach, nawet nie zająknęła się o mężu. No cóż, wszyscy wiedzieli, że ona i Geoffrey, książę Anjou, szczerze się nienawidzą.

- Nie wiem, czy z takim właśnie życzeniem pojawi się kró..., hmm, księżna Matylda. - Ujrzał zmarszczkę na czole władczyni, wywołaną niefortunnym przejęzyczeniem. Królowa wpadała w gniew na myśl o tym, że żona Stefana została już koronowana, podczas gdy ją dopiero to czeka. - Myślę o kłopotach, jakich gotowi są nam przysporzyć jej najemni żołnierze. Może słuszniej będzie, miłościwa pani, przełożyć podróż do Londynu do chwili, gdy Matylda wystąpi z konkretnymi żądaniami?

Zlekceważyła jego niepokój i stanowczo machnęła ręką.

- Dla wygody żony samozwańczego władcy nie będę odkładała przygotowań do koronacji. Londyńczycy już wiedzą, że ich wiara w Stefana była jedną wielką pomyłką. Teraz całą ufność pokładają w mojej osobie. - Dotknęła brody opuszką wskazującego palca. - Chyba już wiem, czego ona oczekuje ode mnie. Tak, to jasne. Wczorajszego wieczoru użyła Henry'ego do wybadania mnie w tej sprawie!

- O niczym nie wiem, miłościwa pani - rzekł Brys, oczekując na wyjaśnienia.

- Biskup Henry wielce mnie wczoraj oburzył - rzekła z wyzywającą miną. - Poprosił mnie o zatwierdzenie praw do dziedziczenia hrabstwa Boulogne dla syna Stefana. Oczywiście, odmówiłam.

- Odmówiłaś, pani? - powtórzył Brys i nie namyślając się powiedział: - Ale to hrabstwo należy do jego matki, a nie ojca.

Natychmiast zrozumiał, że posunął się za daleko. Królowa zacisnęła usta.

- Uważasz, że moja odmowa była bezprawna? Otóż nie potrzebuję nauk z twojej strony. Zegnam, de Balleroy!

A niechby jego zbyt prędki język pokrył się wrzodami! Matylda nie znosiła naginać swej woli do cudzych rad, żądań bądź rozkazów. Nie teraz, gdy wyzwoliła się spod władzy najpierw swego ojca, króla Henryka, następnie wiekowego małżonka, cesarza świętego Cesarstwa Rzymskiego, a teraz Geoffreya, który był jeszcze wyrostkiem, gdy zmuszono ją do poślubienia go. Sugestia, że słuszność jest po stronie osoby związanej ze Stefanem, oznaczała pewność, że królowa przerwie rozmowę. Brys westchnął i spuścił głowę na znak skruchy.

- Pani, pokornie błagam o wybaczenie. Moją jedyną powinnością jest ci służyć. Nie odsyłaj mnie, zanim do końca mnie nie wysłuchasz. - Patrzył na zgrabne i smukłe palce Gisele, zanurzone w czarnych włosach Matyldy, świadom, że królowa mierzy go wciąż gniewnym spojrzeniem.

- I cóż masz mi jeszcze do powiedzenia? - zapytała.

Wzjął głęboki oddech i spojrzał władczyni prosto w oczy.

- Jak już wspomniałem, wdzięczny byłbym za ponowne rozważenie decyzji wyjazdu do Londynu. Niech najpierw wyjaśni się sprawa księżnej i jej zaciężnego wojska. Jeżeli natomiast jakiś zakup jest niezbędny, wyślij, miłościwa pani, jedną ze swych dam dworu, uprzednio dokładnie wytłumaczywszy jej, o jaką rzecz chodzi. - Mimowolnie jego spojrzenie powędrowało ku Gisele, która natychmiast uczyniła taką minkę, jakby zawiązywanie wstążką końca warkocza było najważniejszą rzeczą pod słońcem.

Matylda poszła za jego wzrokiem i również zauważyła reakcję dziewczyny.

- A więc stąd wieje wiatr! Przypuszczam, że ty z kolei, panie, oczekiwałbyś rozkazu towarzyszenia tej damie w celu zapewnienia jej bezpieczeństwa?

Tak, Matylda była bystrą niewiastą!

- Źle mnie zrozumiałaś, miłościwa pani. Moim zamiarem było... - Nagle przypomniał sobie, że Gisele nic nie wie o jego podwójnej roli, i pomyślał, że najlepiej będzie, jeśli pozostanie w tej niewiedzy. - Mam inny plan, lecz zanim go wyłożę, wolałbym, żebyśmy pozostali sami. - Wiedział, że Gisele potraktuje te słowa jako policzek, lecz nie miał wyboru.

I faktycznie, lady de l'Aigle znieruchomiała, zeszywniała, a w jej oczach pojawił się wyraz bólu. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, lecz zaraz je zamknęła, nie wydawszy ani jednego dźwięku.

- Poczekaj na zewnątrz, Gisele.

- Już wychodzę, miłościwa pani. - Zebrawszy dłonią

spódnicę, skierowała się ku drzwiom i posłusznie opuściła komnatę.

Była wzburzona. O ileż lepiej byłoby, gdyby nienawidziła barona Brysa de Balleroya! Czyż nie przyrzekała sobie zachować niezależność na dworze i strzec się nawiązywania bliższych kontaktów z mężczyznami? A jeśli któregoś dnia zmieni zamiar i zdecyduje się oddać swe serce wybranemu rycerzowi, to tym bardziej powinna wypełnić wszystkie swoje cieplejsze uczucia do człowieka, który tyle ma do ukrycia!

Matylda cierpliwie czekała, aż pierwszy odezwie się Brys.

- Pani, zamierzałem odwiedzić dzisiaj księżnę Matyldę, gdy tylko dowiem się, gdzie przebywa. Być może uda mi się przy tej okazji poznać jej plany, bo na pewno coś postanowi, gdy dojdzie do niej wiadomość, że odmówiłaś zabezpieczenia dziedzictwa jej synowi.

- A jeśli zwróci się do ciebie z prośbą o doręczenie listu Stefanowi do więzienia? Jak wówczas postąpisz?

- Skwapliwie i z radością podejmę się tej misji. Oczywiście, najpierw zapoznam cię, pani, z treścią tego listu.

Wyprawa do Bristolu wskazana była również z innych, tym razem osobistych względów. Ochłodziłaby mianowicie gorączkę, jakiej nabawił się w pobliżu pięknej lady Gisele de l'Aigle.

Matylda pozwoliła sobie na zimny uśmiech.

- Zdarza ci się powiedzieć coś niezręcznego, polegam jednak na twojej lojalności, Brys.

Królowa wstała. Posłuchanie było skończone.

- Wdzięczny jestem za dar zaufania, miłościwa pani

- rzekł de Balleroy, dając tym dowód, że potrafi powiedzieć również coś gładkiego.

- Powiedz Gisele, by wróciła do mnie. Zbliży się pora porannej mszy, a ja wciąż nie jestem gotowa.

Wyszedł na korytarz. Wzburzona księżniczka de l'Aigle stała przy oknie i spoglądała na budzący się świat.

Przystąpił do niej i rzekł:

- Lady Gisele, wybac mi moje szorstkie i niegrzeczne zachowanie, są jednak rzeczy, o których nie powinnaś wiedzieć. Tak będzie lepiej ze względu na twoje bezpieczeństwo.

Odwróciła się, a jej spojrzenie parzyło niczym ogień.

- Pewnego dnia powiesz mi, żebym nie zaprzętała sobie mojej małej główki sprawami, które bezpośrednio mnie nie dotyczą. Nigdy jednak nie ośmieliłbyś się powiedzieć czegoś takiego tamtej k o b i e c i e - rzekła z naciśkiem, wskazując na drzwi wiodące do apartamentów królowej. - Kpię sobie z twoich sekretów, rycerzu, i niech diabli mają z nich uciechę. Gdzie bowiem jest dobro, tam nie ma tajemnic! — Ruszyła ku drzwiom, w które przed chwilą godziła wskazującym palcem.

- Lady Gisele, proszę zaczekać! - zawołał za nią, lecz ona zdążyła już wejść do środka.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Na zewnątrz spokojna i pogodna, wewnątrz ciągle wzburzona, Gisele pojawiła się w otoczeniu królowej w wielkim holu na porannym posiłku, który rozpoczął się zaraz po mszy. Wciąż myślała o Brysie, jednak bez cienia życzliwości. Cóż ją obchodziło, co de Balleroy robi ze swoim wolnym czasem? Mógł być sobie nawet kochankiem Matyldy. Ani ją to grzało, ani ziębiło.

- Trzeba się nam pośpieszyć, moje drogie - przypomniała Matylda, gdy raczyły się świeżo upieczonym chlebem i rozcieńczonym winem. - Ruszamy do Londynu, gdy tylko zaspokoimy głód.

- Czeka nas wiele radosnych chwil! - zapiszczała z uciechy Manette, zwracając się do siedzącej obok Gisele. - Wulfram jedzie razem z nami i obiecał kupić mi podarek!

- To miłe z jego strony - odparła z rezerwą Gisele, przypatrując się napuchniętym wargom towarzyszki i śladom ukąszeń widocznym na jej szyi i w obrysie dekoltu. Równocześnie zastanawiała się, jaki to podarek może sprawić prosty sługa szlachetnie urodzonej damie.

Gisele ubiegłej nocy leżała już w łóżku i usiłowała zasnąć, gdy Manette wślizgnęła się do pokoju po miłosnym spotkaniu z Wulframem. Czuła się zbyt wyczerpana, by

czynić Manette wymówki za to, że pozostawiła ją na łaskę i niełaskę Geoffreya de Mandeville'a. Rankiem też nie było sposobności poruszenia tego tematu. Manette przespała poranną toaletę królowej, jak również mszę, i dołączyła do królewskiej świty dopiero w drodze z kaplicy do wielkiego holu.

- Jesteś dziś wyjątkowo małomówna, Gisele - zauważyła z diabelskim uśmieszkiem na twarzy. - Czyżbyś myślała o moim czarującym wuju?

A więc temat sam wypłynął.

- Istotnie, myślę o twoim wuju, Manette, lecz obawiam się, że nie tak jak sądzisz. Nie przybyłam na dwór po to, by znaleźć kochanka - odpowiedziała dyplomatycznie.

- Najczęściej na skarb natrafiamy tam, gdzie najmniej się go spodziewamy - odrzekła Manette. - Dopisuje ci szczęście, spróbuj wyciągnąć z tego korzyść.

Wszystko wskazywało na to, że Manette nie widziała się dziś jeszcze z wujem, w innym wypadku znałaby przebieg wczorajszych wydarzeń. Gisele uznała, że musi wyrażać się jaśniej.

- Manette, twój wuj mógłby być moim ojcem...

- No i cóż z tego? Może to tylko oznaczać, że jest doświadczonym kochankiem!

Czyżby dla siostrzenicy de Mandeville'a nie było w życiu niczego ważniejszego nad miłość fizyczną i zmysłowe rozkosze? Złość, która tliła się w Gisele od ostatniej rozmowy z de Balleroyem, rozgorzała jasnym płomieniem.

- Manette, nie życzę sobie z jego strony żadnych do-

datkowych dowodów zainteresowania moją osobą. Możesz mu to powtórzyć.

Tamta zmrużyła oczy, a na jej policzkach pojawiły się drobne czerwone plamki.

- Sądzisz, że za dobra jesteś dla niego, ty parweniuszko z Normandii?!

Gisele zmartwiała. W ciągu kilkunastu godzin uczyniła sobie zaprzysięgłych wrogów z dwóch dopiero co poznanych osób. Zrozumiała też, że za wszelką cenę musi się postarać o inną komnatę dla siebie.

- Manette, proszę. Zgódźmy się, że na temat twojego wujka mamy inne zdanie. Przykro mi, ale musiałam być szczerą.

Lady de Mandeville przez dłuższą chwilę nawet nie rączyła na nią spojrzeć.

- Nawet najdumniejsza liszka w końcu tylko pełza po ziemi - syknęła i zmroziła Gisele nienawistnym spojrzeniem.

Ta zaś pomyślała, że dwór stał się dla niej z tą chwilą równie niebezpieczny jak ciemny las. Teraz musi zastanawiać się nad każdym krokiem i baczyć, by nigdy nie zostawać samej. Co jednak z dzielonym z Manette pokojem? Czyżby była ona zdolna posunąć się do największej niegodziwości i dać swemu wujowi klucze, po czym usunąć się pod pretekstem spotkania z Wulframem? Być może należy poprosić sir Talforda o inny? Nawet gdyby spała na sitowiu lub słomie, lecz z dala od Manette, czułaby się bardziej bezpieczna niż w puchach na szerokim łożu, mając ją za współtowarzyszkę.

Dlaczego dotychczas myślała o dworskim życiu jako

o niczym nie zmaconej radości? Czyż nie uczyniłaby lepiej, wychodząc za mąż za jednego z normandzkich baronów, zamiast dla tego gniazda żmij opuszczać l'Aigle?

- Idziemy, moje drogie - oświadczyła Matylda, unosząc się z pięknie rzeźbionego krzesła.

Gisele posłusznie ruszyła za innymi, starając się być jak najdalej od Manette, przy czym miało wyglądać to możliwie naturalnie, by umknęło uwagi wścibskich dam.

- Miłościwa pani! - dał się słyszeć męski głos, gdy już wychodziły z holu.

Gisele odwróciła głowę i zobaczyła śpieszącego ku nim marszałka dworu. Poruszał się niezgrabnie, a jego krótkie nogi jakby nie nadażały za myślą, która go tu przywiodła.

- O co chodzi, Talford?

- Miłościwa...

- Do rzeczy, Talford - rzuciła Matylda podrażnionym głosem. - Wybieramy się do Londynu i zależy nam, by jak najszybciej wsiąść na barkę.

- Przybyła właśnie księżna Boulogne, miłościwa pani. Czeka w sali audiencyjnej. Pragnie rozmowy z tobą. Pokornie uprasza, byś poświęciła jej trochę czasu.

Matylda cisnęła przekleństwem, którego nie powstydziliby się żołdak.

- Ta kobieta nie wie, co to pokora, a więc nie może „pokornie upraszać”! Niech czeka. Nie zamierzamy zmieniać dla niej naszych planów. Bołą nas uszy na samą myśl o wysłuchiowaniu jej skamleń i jęków.

Zmarszczki na czole Talforda pogłębiły się.

- Moim zdaniem lepiej będzie jej wysłuchać. Ma za sobą długą i męczącą podróż...

Matylda pociemniała na twarzy.

- Nawet gdyby przybyła prosto z Chin, ani myślę się z nią spotykać - powiedziała gniewnym głosem, w jej oczach jednak widać już było namysł i rozwagę. Westchnęła z rezygnacją. - W porządku, Talford. Idź i powiedz tej kobiecie, że wyłącznie przez grzeczność poświęcimy jej kilka naszych cennych minut.

Talford ponownie puścił koślawe nogi ruch, co wyglądało, jakby jechał na wielkiej żabie.

- Nic się nie stało, miłościwa pani - powiedziała Wilfride, próbując załagodzić sytuację. - Jest jeszcze dość wcześnie. W żadnym wypadku nie będzie za późno, gdy wybierzemy się do Londynu po rozmowie z księżną.

- Zobaczymy - rzekła Matylda z powątpiewaniem. - Żona Stefana nigdy nie powie niczego w kilku słowach, mogąc poświęcić temu godzinę. Będzie siedziała tu do wieczery, jeśli jej na to pozwolimy. Teraz zajmijcie się haftowaniem, moje drogie. Im mniej uszu chętnych do słuchania zobaczy Matylda, tym krócej, miejmy nadzieję, będzie mówiła.

Królowej nie było ponad godzinę. Gdy dołączyła do swoich dam dworu, na jej twarzy gościło ponure zadowolenie.

- Rozmowa miała dokładnie taki przebieg, jak oczekiwaliśmy - oświadczyła w odpowiedzi na nieśmiałe pytania. - Prosiła o gwarancje dziedziczenia Boulogne dla syna, czyli właściwie powtórzyła prośbę biskupa. Bezcelność tego żądania przechodzi wszelkie granice. Mam pozbyć się części moich ziem na rzecz kogoś, kto odebrał mi koronę. I na dokładkę myślała, że przestraszy mnie swoim

zaciężnym wojskiem, tymi flamandzkimi najemnikami, złodziejami i opojami!

Gisele nie miała pojęcia, do jakich celów mieliby być użyci Flamandzycy, jasne było jednak dla niej, że królowa nie przejęła się groźbą.

- A więc, moje drogie, co z naszą wyprawą do Londynu? O tej porze byłybyśmy już w mieście!

Jakby w odpowiedzi na to pytanie błysnęło i dał się słyszeć grzmot, a w chwilę później deszcz uderzył o szyby.

- To tylko letnia ulewa, gwałtowna, ale krótkotrwała - oświadczyła Matylda z wielką pewnością siebie. - Przechekajmy ją pod dachem, w pałacu. Żadna to przyjemność płynąć Tamizą, mając wodę pod stopami i nad głową.

Jednak deszcz nie ustawał. Rynny wypływały spienioną wodę, a w oknach co chwila rozbłyskiwały harpuny błyskawic. Niebawem stało się oczywiste, że z wyjazdem do Londynu trzeba będzie poczekać i spędzić ten dzień w Westminsterze.

- Wybierzemy się jutro, miłościwa pani - próbowały pocieszać królową damy dworu.

- Jutro nie będzie końskiego jarmarku! Będę musiała czekać równy tydzień z zakupem białego rumaka! - biadała Matylda, widząc w letniej ulewie osobistą zniewagę.

Brys i Maislin natrafili wreszcie na obóz Matyldy z Boulogne. Leżał nieco na południe od Southwark. Dowodzący wojskiem użyczył im w swoim namiocie schronienia przed deszczem. Tak doczekali powrotu księżnej z Westminsteru. Towarzyszył jej niewielki oddział konnych.

- Brys! Co za miła niespodzianka! - zawołała księżna na widok rycerza, zsiadając z konia. - Widzę również Maislina! Lubię, gdy się pojawiacie. Szkoda tylko, że tak rzadko.

Była młodsza i drobniejsza od królowej. Poza tym kiedy tamta Matyllda była kruczoczarna, ta miała włosy jasne jak len. Delikatna, prawie dziewczęca twarz urzekąca urodą. Jedyne skaza były zmarszczki na czole i w kącikach oczu, wyżłobione troską i zmartwieniami.

Dopiero gdy znaleźli się w namiocie, Brys przykleknął na jedno kolano, składając hołd niewiedzie szlchetnego rodu i równie szlchetnego serca. Ucałował z szacunkiem podaną mu dłoń i wstał.

- Brys, chlubo rycerstwa, czyżbyś zjawiał się tu z listem od mojego Stefana? - spytała z nadzieją w głosie. Krople deszczu lśniły jeszcze na jej rzęsach i brwiach.

Z chęcią dałby twierdzącą odpowiedź, czyniąc tym samym księżnę szczęśliwą. Jakkolwiek jej mąż był zwykłym łajdakiem i królem złodziei, bo ukradł koronę Anglii, jego małżonka nie zasługiwała na los, który stał się jej udziałem.

- Nie, miłościwa pani - rzekł, pamiętając, że zwraca się do osoby będącej w swym przeświadczeniu królową. - Od tamtego dnia, gdy przybyłem z ostatnim listem, nie było mnie w Bristolu. Ostatnio przebywałem w Tichen-den, sprawdzając, jak stoją sprawy w moich włościach. Myślę jednak, że nadarzyła się oto okazja, bym zawiózł twój list, pani, do miłościwego pana.

Posmutniała twarz Matylldy natychmiast się ożywiła.

- Przedni pomysł, natychmiast siadam i chwytam za

pióro! Niech mój mąż i pan dowie się, jakiej lekcji zamierzamy udzielić Matyldzie dzisiejszej nocy. - Rozejrzała się po namiocie. - Ale czy poznałeś już, Brys, Williama z Ypres, dowódcę moich najemników? - Skinęła na krzepkiego rycerza, który wcześniej pomógł jej zsiąść z konia. - Williamie, dopilnuj, by lord de Balleroy i jego giermek zostali nakarmieni i napojeni. - Gdy zaś kapitan gotował się opuścić namiot, o którego naciągnięte płótno wciąż bębniły krople słabnącego już jednak deszczu, dorzuciła: - Powiedz Brysowi o naszych planach, Will! Być może poznawszy je, odłoży wyjazd i zechce wziąć udział w naszej zabawie!

De Balleroy mierzył zaciękawionym wzrokiem szerokiego w barach, lecz dość niskiego mężczyznę o drapieżnych rysach twarzy, który cieszył się złą sławą nawet wśród najemników.

- I cóż to za plany? - zapytał.

Flamandczyk wyszczerzył w uśmiechu wilcze zęby.

- Dziś w nocy złożymy wizytę w Southwark. Spalimy, co jest tam do spalenia, i złupimy, co da się złupić. Nie obędzie się też bez gwałtów. W końcu londyńczycy pożąłują, że dali Matyldzie pozwolenie na wjazd do miasta. Dołącz do nas, panie! Nawet szlachetnie urodzeni lubią od czasu do czasu zmieniać się w grabieżców, zwłaszcza gdy tej przemianie przyświeca szczytny cel.

Brys wiedział, że musi dać odpowiedź jak kamrat kamratowi, inaczej wzbudzi podejrzenia. Przymusił się do uśmiechu.

- O, zaiste! Uciechą jest kaleczyć i łupić w imieniu króla! Byleby tylko deszcz nie zgasił wznieconych przez

nas pożarów. Bez obawy, nie wyrzeknę się tego za żadne skarby świata!

Tak, będzie tam wśród żołdaków Matyldy z Boulogne. Niech zobaczy go ten i ów, uwijającego się wśród pożogi, by William z Ypres miał dowód, iż należy do stronników Stefana. W pewnej chwili jednak zniknie, żeby ostrzec królową. Matylda będzie musiała uświadomić sobie zmienność i płynność sytuacji. Gdy Flamandzycy obrócą Southwark w perzynę, co ich powstrzyma przed rozprze-strzeniem gwałtu na całe miasto? Po Londynie przyjdzie zaś kolej na Westminster.

Nagle uświadomił sobie, że przebywa tam lady Gisele, i zląkł się o nią bardziej niż o królową. Matyldzie nie brakowało wiernych obrońców i jeśli wypadki wezmą zły obrót, rozważy ona możliwość zwolnienia Stefana za okupem. Kto jednak zatroszczy się o normandzką księżniczkę, która dopiero co przybyła do Anglii?

Mrok gęstniał, jednak królowa, mimo skarg dam dworu na mokrą trawę, od której przemokły doły ich spódnic, wciąż zwlekała z opuszczeniem ogrodu.

- Ba! Cóż znaczy trochę wilgoci, gdy przez cały dzień siedziałyśmy w pałacu jak w klatce? Zapowiada się jutro ładny dzień i myślę, że skorzystamy z tego, wybierając się do miasta. Musimy wynagrodzić sobie dzisiejsze uwięzienie. - Na chwilę pograżyła się w myślach. - Ciekawa jestem, gdzie przepadł nasz przyjaciel biskup. Widziałeś wielebnego, Geoffrey?

Gisele spuściła oczy, ponieważ widok earla napawał ją wstrętem. Pogodziła się z koniecznością przebywania w

tych samych miejscach co on, zdecydowana jednak była unikać jakiegokolwiek z nim kontaktu.

- Niestety, miłościwa pani. Obawiam się, że jeszcze nie przestał się dąsać.

Po chwili milczenia królowa rzekła spokojnym głosem:

- Wróci, gdy uświadomi sobie, że nie ulegamy jego humorom. Hmm... lecz cóż to za nieprzyjemny zapach? Czy również go czujecie?

- To woń spalenizny, miłościwa pani - dał się słyszeć głos od strony ogrodowej furty, głos, który sprawił, że serce Gisele zabiło żywiej i mocniej. Uniosła wzrok i zobaczyła Brysa w kolczudze i z mieczem u boku. Na jego prawym policzku znaczyła się czarna smuga.

- Płonie Southwark! Kilkanaście budynków już zostało doszczętnie wypalonych.

- Brys, o czym ty mówisz? Pożary w Southwark? Czy ktoś podłożył ogień?

- Niestety, tak. Flamandzycy na rozkaz małżonki Stefana.

- Co?! - wykrzyknęła królowa, blednąc i zrywając się na równe nogi. - Jak śmiała! Muszę to zobaczyć!

Po kilku minutach wspinali się już po krętych schodach kościelnej wieży, skąd rozciągał się rozległy widok. Dysząc i sapiąc stanęli przy kamiennej balustradzie i wszystkie twarze zwróciły się ku wschodowi. W gęstniejącej ciemności widać było wyraźnie krwawą łunę pożarów. Tam leżało Southwark, gdzie w tej chwili okrucieństwo święciło triumfy.

- Pędziłem stamtąd co koń wyskoczy - rzekł Brys. - Czego nie strawi ogień, zabuje chciwy najemnik. Mężczyznom podrzyna się gardła, niewiasty są gwałcone.

- Ta zbrodnia woła o pomstę do nieba! Głupie babsko! Na jaką korzyść ona liczy? Londyńczycy, widząc jej okrucieństwa, tym bardziej zwrócą się ku mnie jako do swej prawowitej królowej!

Gisele zauważyła, że Brys posepnie zmarszczył brwi.

- Miejmy nadzieję, miłościwa pani.

- W głosie twoim słyszę rezerwę i wątpliwość.

Rycerz westchnął głęboko.

- Londyńczycy są zmienni w swoich uczuciach. Kto wie, jak zareagują na ten pożar.

- Kraczesz jak kruk, de Balleroy - rzekł z szyderczą miną de Mandeville stojący u boku królowej.

- Zaiste, Brys! To prawdziwe szczęście, że deszcz przeszkodził nam dzisiaj w wyprawie do miasta. Wszystko układa się bardzo pomyślnie. Gdy jutro tam się pojawimy, powitani będziemy jako wybawiciele - oświadczyła Matylda. - Prawdziwy władca nie zwraca się przeciwko własnym poddanym, tym bardziej jeśli są oni bez winy. Okrucieństwa tej nocy ostatecznie przekonają mieszczan, komu powinni oddać berło i koronę,

Brys wysłuchał tej przemowy z kamienną twarzą.

- Miłościwa pani - rzekł w końcu - ośmielałem się być przeciwnego zdania. Ponawiam prośbę, byś odłożyła wyjazd na późniejszy termin, gdy nastroje cokolwiek się uspokoją.

- Bzdura. Mówisz jak stara wiedźma, która prorokuje same nieszczęścia.

Gisele zauważyła, że Brys zacisnął usta. Współczuła rycerzowi, któremu nie szczędzono urągliwych uwag. Choć jego słowa podyktowane były troską o dobro królo-

wej, ona była zbyt uparta i samowolna, żeby słuchać rad, które z jakichś względów nie odpowiadały jej w danej chwili.

- Czy może już masz to, o czym rozmawialiśmy dzisiejszego ranka? - spytała królowa, nagle ożywiona.

- Tak, miłościwa pani. - Sięgnął pod kolczugę, pod którą nosił kubrak, i wyjął zza pazuchy coś na kształt oprawnej w skórę bardzo cienkiej, gdyż prawie pozbawionej kart książki. Wręczył ją Matyldzie.

- Jest zbyt ciemno, bym mogła to przeczytać tutaj. Chodź ze mną, Brys, do moich apartamentów. Spodziewam się samych sentymentalnych ochów i achów i ciekawa jestem, czy pomyłę się w swoich przeczuciach.

Skłonił się i ruszył za królową. Ta jednak, gdy zauważyła, że Geoffrey de Mandeville czyni to samo, zatrzymała go uniesieniem ręki.

- Dobrej nocy, panie. Gdybyś przypadkiem natknął się na biskupa, przekaz mu, żeby się stawił u mnie jutro w południe po moim powrocie z Londynu.

Earl, któremu nie udało się ukryć rozczarowania, przyjął wyrok z ukłonem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Dziękuję, moje drogie. Teraz mam zamiar zasnąć. Wy również zadbajcie o to, aby odpocząć, gdyż jutro z samego rana płyniemy do Londynu.

Pamiętając o wczorajszym podstępie de Mandeville'a, Gisele wyszła razem z innymi. Gdy jednak znalazła się na korytarzu, zobaczyła nie earla, tylko swego rycerza, bo już tak myślała o Brysie de Balleroyu.

Musiał czekać właśnie na nią, gdyż od razu podszedł i rzekł:

- Jestem tu, by odprowadzić cię, pani, do twojej komnaty. - Nie była to prośba o pozwolenie. Oświadczył po prostu, że jest gotów wyświadczyć usługę, która w danej sytuacji wydawała się niezbędną. Gisele jednak nie była tym razem sama. Jej towarzyszki już coś szeptały między sobą i wymieniały znaczące spojrzenia. Gisele wiedziała, że jutro będzie musiała wysłuchiwać docinków na temat swego „kochanka”.

- Nie przeczę, że jestem zaskoczona twoim widokiem, panie - powiedziała lekkim tonem. - Sądziłam, że po rozmowie z królową i przeżyciach całego dzisiejszego dnia - uniosła ironicznie brew - odszedłeś szukać odpoczynku.

- Nie mogłem tego zrobić, nie wywiązawszy się

z ostatniego obowiązku. Muszę mieć pewność, że bezpiecznie dotarłaś do swojej komnaty.

Była wzruszona. Kto wie, może w niewygodnej kolczudze czekał tu na nią przez całą wieczorną toaletę królowej.

- Miło jest otrzymywać takie dowody troski, ale jak widzisz, panie, nie jestem sama. Moje towarzyszki uczynią dokładnie to samo, z czym ty się deklarujesz.

- Nie wiesz jeszcze, pani, iż rzeczy twoje przeniesione zostały do innej komnaty - rzekł, zrównując z nią krok.

- Pozwoliłem sobie dzisiaj powiedzieć Talfordowi o wczorajszym wydarzeniu. Zrozumiał, że przeprowadzka jest konieczna, ale oznajmił o niej dopiero przed chwilą, gdy zajęta byłaś przy królowej.

Stanęła raptownie, jakby ugodzona strzałą. Miejsce wdzięczności zajęła w jej sercu gniewna irytacja. Czyżby uważał, że nie potrafi sama zadbać o siebie?

- Panie, wzięłaś na siebie zbyt wielki ciężar odpowiedzialności...

Przerwał jej, unosząc dłoń.

- Lady Gisele, wiem już, że osoba, z którą dzieliłaś pokój, jest siostrzenicą i pupilką de Mandeville'a. Wiem też, że nie zasługuje na twoje zaufanie i przyjaźń. Spełni każde życzenie wuja, również to najbardziej nieczne. Earl zaś zapalał do ciebie nieodpartą żądzą i będzie próbował ją zaspokoić. Stąd pomysł, by przeprowadzić cię w, bezpieczniejsze miejsce, zakładając, oczywiście, że nie pragniesz żadnych nocnych wizyt de Mandeville'a. '-Patrzył na nią z napięciem, a po jego twarzy pełgały blaski rzucane przez palące się pochodnie.

- Oczywiście, że nie! - krzyknęła, patrząc przy tym na czarną plamę sadzy na jego policzku, której do tej pory nie zdążył jeszcze zetrzeć. Byli tak blisko siebie, że aż robiło się to krępujące. Wiedziała, że nie należy stawać na skraju urwiska, gdyż można spaść w przepaść, dlatego chciała się cofnąć. Zaraz jednak pomyślała, że nie musi zdradzać się z tym, jak przemożnie oddziałuje na nią jego bliskość. - Gdzie w takim razie znajduje się mój nowy pokój? I kogo będę miała za współtowarzyszkę?

- Trzeba wejść po tych schodach i dojść do końca korytarza - wyjaśnił, kładąc stopę na pierwszym stopniu. - Izba jest niewielka, ale masz ją, pani, do swego wyłącznego użytku. Gdybyś jednak zatęskniła za towarzystwem, to wiedz, że zaraz za ścianą mieszkają lady Cosette i lady Aubine.

Bez słowa wstąpiła nakręcone schody, po czym zapuściła się za swoim przewodnikiem w głąb korytarza. Zatrzymał się przed dębowymi drzwiami.

- Jesteśmy na miejscu - rzekł i otworzył drzwi, aby mogła zerknąć do wewnątrz.

Pokój był faktycznie niewielki, na oko o połowę mniejszy od poprzedniego, wystarczająco jednak duży jak na jedną osobę. Wąskie łóżko było świeżo zasłane i wyglądało na wygodne. Wstawiono miedziany kotlarz na wypadek gdyby pogorszyła się pogoda i trzeba było ogrzać wnętrze. W pobliżu łóżka stała komoda. Gisele z zadowoleniem zauważyła, że drzwi mają solidną zasuwę, którą można zamykać od wewnątrz.

- Wszystkie twoje rzeczy, pani, są w komodzie. Zadbaj o to Talford. Gdyby z jakichś względów ten pokój ci nie odpowiadał, zawsze możesz wrócić do lady Manette.

Czyż nie obawiała się nieszczerości i zdrady ze strony swej fałszywej, a teraz już byłej przyjaciółki? Mimo że tak pragnęła niezależności i nie chciała niczego zawdzięczać żadnemu mężczyźnie, musiała przyznać, że de Balleroy i marszałek dworu wyświadczyli jej wielką przysługę. Winna im była podziękowanie.

I właśnie chciała postąpić zgodnie z tym nakazem grzeszności, gdy odwróciwszy się, zobaczyła jedynie plecy Brysa. Zmierzał zdecydowanym krokiem ku schodom.

Wykrzyknęła jego imię, on zaś stanął i spojrzał przez ramię.

- Ja... - Uczyniła w jego kierunku kilka kroków. - Bardzo podoba mi się ten pokój i z ochotą w nim zamieszkać. Chciałabym podziękować za ten dowód troski. Zachowałeś się, panie, bardzo wielkodusznie, puszczając w niepamięć opryskliwe słowa, które dzisiejszego ranka padły z moich ust. Zapewniam cię, że będę czuła się tu bardziej bezpiecznie.

Odwrócił się i ruszył ku niej.

- Doprawdy? Nawet jeżeli ja zajmuję izbę na tym samym piętrze, tuż przy schodach? - Błysnął zębami w uśmiechu, widząc, że mimowolnie cofnęła się. - Nie obawiaj się, dziewczyno. Rzadko tu nocuję. Jestem szczęśliwy, że mogłem wyświadczyć ci, pani, tę drobną uprzejmość.

Pomyślała, iż nienormalną, a co najmniej osobliwą jest rzeczą odczuwać zawrót głowy tylko dlatego, że jakiś urodziwy rycerz akurat ma fantazję się uśmiechnąć. Było jednak niezaprzeczalnym faktem, że doznała czegoś takiego.

Chcąc ukryć zmieszanie, spytała szybko:

- A jutro rano będziesz tu, panie, czy też wyruszysz o świcie z kolejną misją?

Zaskoczyło go to pytanie.

- Na pewno zobaczymy się, lady Gisele, na pewno - mruknął i zanim zorientowała się, na co właściwie się zanoszą, musnął palcami jej policzek, po czym pochylił głowę i pocałował w same usta.

Z początku odniosła wrażenie, że to tylko jego szept osiadł na jej wargach, tak delikatne było pierwsze doznanie. Dopiero po chwili pocałunek nabrał zmysłowości, tak iż odczuła całą jego rozciągniętą w czasie intensywność i zaborczość.

W końcu jednak Brys oderwał wargi od jej warg, ona zaś otworzyła oczy. Wydało się jej, że w jego oczach widzi iskierki zdumienia. Trwało to jednak tyle co mgnienie.

- Dobranoc, dziewczyno - rzekł niskim, pieśczośliwym głosem i znikł w mroku korytarza.

Nazajutrz w godzinach przedpołudniowych jechały ulicami miasta na koniach, o które postarał się Geoffrey de Mandeville, a które czekały na nich na przystani.

Londyn jest miastem zapachów, pomyślała Gisele. W pobliżu rzeki ostry odór ryb mieszał się z egzotycznymi aromatami korzeni, które w beczkach wyładowywano ze statków - gałki muszkatołowej, cynamonu, imbiru i pieprzu. Wiatr nanosił dymy, które wciąż kłębiły się nad Southwark. Gryząca ich woń wywoływała kaszel, do którego dołączały się mdłości od odoru rozkładających się odpadków.

Lecz było to również miasto dźwięków. Sprzedawcy

kasztanów krzyczeli głośniejsze od sprzedawców ostryg, ci zaś szli o lepsze ze sprzedawcami wiśni. Słychać było wszystkie niemal europejskie języki, a nawet mowę dalekiej Arabii. Z kościelnych wież dobiegały dźwięki dzwonów.

Cosette wyjaśniała Gisele, pod jakim wezwaniem jest ten, a pod jakim tamten kościół.

Zatrzymały się przed straganem z wonnymi olejkami i leczniczymi maściami. Matylda wybrała dla siebie ambre i piżmo, po czym przeszła do kramu z obuwiami. Najbardziej spodobały się jej buty z hiszpańskiej koźlącej skóry. Wybrała sześć par, każdą w innym kolorze.

- Każcie przesłać je do pałacu, należność zapłacą moi poddani - oświadczyła szewcowi, przy czym były to te same słowa, które usłyszał z jej ust sprzedawca olejków. - Jestem pewna, że londyńczycy zrobią wszystko, bym nie przybyła bosą na koronację.

Szawc tylko nisko się skłonił, lecz gdy Matylda się odwróciła, splunął na jej spódnicę. Dostrzegła to Gisele i ogarnął ją niepokój. Wielu mieszczan patrzyło na królową krzywym okiem, była bowiem nienasycona w zawłaszczaniu pięknych i kosztownych przedmiotów. Większości z obecnych na targu nie stać było nawet na jedną taką rzecz, choćby pracowali na nią przez całe życie.

Czyżby królowa nie zdawała sobie sprawy, jak istotne było, aby na tych, którzy do niedawna byli lojalnymi poddanyimi Stefana, wyrzeć jak najlepsze wrażenie? Dlaczego nie rozmawia z nimi, nie zapytuje o ich troski i potrzeby, tylko goni za martwymi przedmiotami, pokazując, że niczym właściwie nie różni się od nich?

W pewnym jednak momencie Gisele poczuła wyrzuty

sumienia, że tak krytycznie ocenia swoją panią. Pomimo wszystkich słabości Matyldy, ona, Gisele, doświadczała od niej tylko dobra i łaskawości. A zresztą może było czymś ludzkim i naturalnym pragnąć tak wielu rzeczy po tym wszystkim, co monarchini przeszła w swym życiu?

Wiść o przybyciu królowej rozeszła się lotem błyskawicy i na trasie przejazdu gromadziło się coraz więcej ludzi. Niektórzy uśmiechali się i wydawali się szczęśliwi, że mogą cieszyć oczy widokiem córki Henryka. Uszu Gisele dobiegały angielskie słowa i okrzyki. Szkoda, że nie rozumiała tego języka.

Jakby lekceważąc zainteresowanie tłumu i niepomna znaczenia królewskiego majestatu, Matylda oświadczyła, że jest głodna, i zatrzymała się przed straganem sprzedawcy pieczonych kasztanów. Kazała podać porcję sobie, a także każdej z towarzyszącej jej dam. Po kasztanach przyszła kolej na naleśniki z mięsem, które, ma się rozumieć, trzeba było popić lombardzkim winem, przyniesionym przez Wulframa z pobliskiego składu win.

W Chepeside zabawili ponad godzinę, tu bowiem sprzedawano ubiory i materie. Królową interesowały płótna z Flandrii, jedwabie z Italii i futra z mroźnej Skandynawii. Lewantyńscy kupcy o migdałowych oczach rozwijali na jej życzenie bele brokatów i bawełny, ona zaś gładziła pyszne materie i wydawała się szczęśliwa.

Damy dworu nie ustępowały swej pani w szaleństwie zakupów. Wiele z nich z myślą o uroczystościach koronacyjnych wybrało stosowne stroje bądź materiały, które przez najbliższe dni szwaczki zamienią we wspianiałe kreacje.

Gisele poprzestawała na oglądaniu, nie stać jej było bo-

wiem nawet na kawałek najlichszego płócienka. Pożądliwie spojrzała na zwój ciemnozielonego jedwabiu przetykanego srebrnymi nićmi i nawet pozwoliła sobie dotknąć jego gładkiej i chłodnej powierzchni. Prędko jednak odwróciła spojrzenie, nie chcąc doświadczać udręk pokusy.

- To dla ciebie, pani. - Smagły weneccjanin wyciągał ku niej rękę ze zwojem przetykanego srebrem zielonego jedwabiu.

- Nie stać mnie na tak kosztowną materię - odparła, zagniewana na siebie, że zdradziła się przed kupcem ze swą pożądliwością. Potrząsnęła głową i cofnęła się o krok, chcąc tym mocniej podkreślić swoją odmowę.

- Ale signorina, to już jest zapłacone - nie ustępował kupiec. - Proszę, bierz.

Czyżby więc był to dar od Matyldy, która zauważyła jej zainteresowanie właśnie tym materiałem? Zaiste, okazała się niewdzięcznicą, myśląc o niej przedtem tak krytycznie. Rozejrzała się, a zobaczywszy królową, bezzwłocznie do niej podeszła.

- Ż całego serca dziękuję, miłościwa pani - zaczęła, lecz zmieszał ją wyraz zaskoczenia na twarzy Matyldy. - Więc to nie od ciebie, pani, ten materiał?

- Nie, moja droga. Być może, nie wiedząc nic o tym, masz jakiegoś tajemniczego wielbiciela. - Zachichotała. - W sukni tego koloru będzie ci bardzo do twarzy - dodała, lecz zaraz przykuł jej uwagę purpurowy płaszcz z Krety..

W takim razie może owym tajemniczym ofiarodawcą był de Mandeville? Na myśl o tym Gisele poczuła niesmak i lęk. Jeśli faktycznie to on takimi metodami próbował kupić jej łaski, będzie musiała zwrócić mu podarek.

Nie mogłaby cieszyć się suknią z tego materiału, pamiętając, że w każdej chwili dobroczyńca może się zjawić i zażądać dowodu wdzięczności.

Tyle że earl pozostał na przystani, tłumacząc się jakimiś pilnymi interesami. Od tamtej pory nie widziała go, a z pewnością zauważyłaby tę charakterystyczną twarz z przyklejonym drwiącym uśmiechem. Poza tym nie miała poczucia, że jest przez kogoś obserwowana.

Nagle coś ją tknęło. Odwróciła się gwałtownie, lecz zobaczyła tylko cień postaci znikającej za kramem z perskimi dywanami.

Chętnie by poszła za tym człowiekiem, lecz królowa oświadczyła, że ruszają dalej, a Gisele nie śmiała oddalać się od orszaku. Wyczuwała wrogie nastroje tłumu, a poza tym nie знаła miasta. Chcąc nie chcąc, włożyła więc jedwab do przytroczonej do siodła torby i używając strzemienia, wspięła się na konia.

Kolejnym etapem ich wizyty okazała się ulica złotników. Tutaj Matylda oddała się istnej orgii kupowania prezentów.

- To będzie dla mego najstarszego syna, Henryka, który w tym roku kończy osiem lat - oświadczyła z macierzyńską dumą, wskazując na złotą spinkę z rubinem do płaszcza. - A to dla małego Geoffreya - dodała, biorąc do ręki miniaturowy sztylet o rękojeści wykładanej macią perłową i bursztynami. - William jest jeszcze za mały, by docenić wartość i piękno tych arcydzieł sztuki jubilerskiej, dlatego zamierzam uradować go tylko tamtym złotym kubkiem. - Westchnęła, jakby przytłoczona smutkiem. - Nie mogę też pominąć mojego małżonka, bo ina-

czej dostanie napadu złego humoru. Geoffrey Le Bel jest jedynym znanym mi człowiekiem, który potrafi przelać swój ponury nastrój na pergamin listu. Och, a to pragnę mieć dla siebie - zagruchała, wypatrzywszy złoty pierścionek z artystycznym reliefem i ogromną perłą.

Stłoczone wokół królowej damy nie posiadały się z zachwytu na widok zgromadzonych w jednym miejscu skarbów, które lśniły i migotały w słonecznym świetle, jednak uwagę Gisele przykuła taca z wyrobami ze srebra, którą trzymał jeden z terminatorów złotnika. Szczególnie spodobał się jej celtycki spiralny ornament, który tak dobrze harmonizowałby ze srebrnym wzorem na materiale jej sukni, która prawdopodobnie nigdy i tak nie zostanie uszyta. Chyba że...

Spoglądała z zazdrością, jak Manette kupuje złoty naszyjnik na swą łabędzią szyję, płacąc dukatami otrzymanymi niewątpliwie od swego pobłażliwego i hojnego wuja.

Zająwszy dogodną pozycję obserwacyjną, Brys patrzył przez otwarte na oścież drzwi, jak Gisele najpierw dotyka srebrnego celtyckiego naszyjnika i przygląda mu się z rozmarzeniem, a potem zdecydowanym gestem odkłada spiralny ornament na trzymaną przez czeladnika tacę. Biedne dziewczę, tak szybko musiało się rozstać ze swymi marzeniami. Była wprawdzie dziedziczką ogromnych włości, lecz jej bogactwem były ziemie, nie zaś zgromadzone w skrzyniach monety. W rezultacie mając wiele, nie miała niczego, gdy przychodziło do kupowania najlichszej nawet drobnostki. On zaś miał wypchaną sakiewkę, wręcz-

na mu przez księżnę Boulogne. Wprawdzie nie czuł się w prawie wydawać tych pieniędzy na siebie, jednak nie budziła w nim oporów myśl o przeznaczeniu ich na prezenty dla Gisele.

Wiedział, że nawet gdyby lady de l'Aigle zaczęła baczniej przyglądać się twarzom w tłumie, nie rozpoznałaby go, przebrany był bowiem za brodatego sprzedawcę wieprzowiny z rusztu.

- Germańska nierządnicą - mruknął stojący obok niego mieszczanin, wyglądający na rzemieślnika. - Kupuje, co wpadnie jej w ręce, podczas gdy nasz król gnije w lochach Bristolu.

Prawda była trochę inna. Cela, w której więziono Stefana, była sucha, opalana i znajdowała się nad ziemią, jednak Brys nie chciał wdawać się w sprzeczkę zarówno co do warunków, w jakich przebywał król, jak i pochodzenia Matyldy, która była czystej krwi Normanką. Wolał nie ściągać na siebie powszechnej uwagi.

Szedł za orszakiem królowej od samej przystani. Powodowała nim ciekawość, jak po wypadkach minionej nocy Matylda zostanie powitana w Londynie. Jego niepokój wzrastał z każdą chwilą. Królowa lekkomyślnie oddawała się szaleństwu zakupów, zamiast próbować nawiązać kontakt z ludźmi, nad którymi pragnęła ustanowić swą władzę.

Brys zjawił się w Londynie, gdyż na prośbę księżnej Boulogne podjął się zbadania nastrojów londyńczyków. Przebrał się, by wtopić się w tłum, a także by nie rozpoznały go damy dworu, a w szczególności Gisele, która nie wiedziała, że gra podwójną rolę. Zachowując czujność

i wciąż obserwując otoczenie, w każdej chwili gotów był skoczyć na pomoc królowej, gdyby tylko zaistniała taka konieczność.

Księżna Matyllda z przyjemnością wysłuchałaby jego relacji. Londyńczycy żałowali, że pozwolili córce Henryka zamieszkać w Westminsterze i zgodzili się na jej koronację. Spalenie Southwark było widowym dowodem ich pomyłki. W miarę jak wciąż nienasycona Matyllda wchodziła do coraz to innego sklepu czy kramu, narzekania i sarkania stawały się częstsze i głośniejsze. Zaczęła krążyć pogłoska, że jeśli mieszczanie natychmiast nie przejdą córki Henryka, Flamandczycy zamierzają od południa przeprowadzić się przez Tamizę i zgotować Londynowi taki sam los, jaki stał się udziałem Southwark. Ten i ów zastanawiał się już, czy nie nastała pora, by odwołać wszystkie obietnice złożone królowej i pokornie przeprosić Matyldę z Boulogne, która tylko dopominała się o prawa należne jej mężowi. Wszyscy śmiertelnie bali się Flamandczyków.

Królowa i towarzyszące jej damy wyszły ze sklepu złotnika, lecz tylko po to, by przekroczyć próg sklepu konkurenta. Brys zauważył, że Gisele przesunęła po nim obojętnym spojrzeniem. Słuchała z uwagą mówiącej coś do niej lady Aubine.

Nie zwlekał ani chwili. Wszedł do środka i wytłumaczywszy zdumionemu złotnikowi, że nie jest wcale takim nędzarzem, na jakiego wygląda, dokonał zakupu.

Kiedy znalazł się na powrót na ulicy, królowa wraz z orszakiem gościła wciąż w drugim sklepie. Zauważył, że niechętne, a nawet wrogie jej nastroje niebezpiecznie

przybierają na sile. Prowodyrzy namawiali rzeszę do obrzucenia Matyldy końskim łajnem, ktoś nawet krzyknął: „Ukamienować ją!”.

Brys wyobraził sobie Gisełę padającą na ziemię z roztrzaskaną brukowcem czaszką i natychmiast przeszedł do działania. Udał się na tyły sklepu, w którym przebywała królowa, i tam się zaczął. Żałował, że nie ma przy sobie Maislina, którego wczesnym rankiem wysłał z listem księżnej Matyldy do Bristolu. Przydałby się ten dziarski osiłek, gdyby nagle miało rozpętać się piekło i trzeba było walczyć o życie królowej. Miał tylko nadzieję, że Matylda, jak to miała w zwyczaju, nie zatka uszów na jego argumenty.

Królowa, choć z opóźnieniem, zaczęła wreszcie uświadamiać sobie, iż robiąc większość zakupów na koszt miasta, rozsierdzi tym tylko miejskich rajców, którzy sarkali nawet przy nabywaniu koronacyjnych szat. Dlatego ze zrozumieniem wysłuchała słów Brysa i wzięła sobie do serca jego ostrzeżenie, że w każdej chwili tłum może się zwrócić przeciwko niej.

Nie zważając na zdumienie Gisele oraz innych dam, które nie potrafiły pogodzić znanego sobie dobrze głosu z jego odmienionym wyglądem, Brys wyprowadził gromadkę niewiast tylnymi drzwiami. Musiał jeszcze doprowadzić ją bezpiecznie do przystani.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Zrezygnować z tak ambitnych planów? To w ogóle nie wchodzi w rachubę, mój panie. Ani myślę wycofywać się w zacisze teraz, gdy mam być za kilka dni koronowana. Nie udało mi się kupić białego konia, więc wyślę Talforda, by wymusił go od rajców. - Królowa powiedziała to tak zdecydowanie i z tak głęboką wiarą, że siedząca w pobliżu Gisele prawie uznała jej racje.

Brys jednak obstawał przy swoim. Wydawało się nawet, że stracił cierpliwość.

- Czyż nie wyczułaś, miłościwa pani, nastrojów tłumu? Londyn jest w tej chwili dla ciebie pułapką i zagrożeniem. Nie ma mowy o rezygnacji z planów władania Anglią. Chodzi tylko o to, byś cierpliwie poczekała do momentu, kiedy nasze wojska wyrzną bądź przegnają Flamandczyków. Proszę, rozważ to raz jeszcze, jeśli nie dla swego dobra, to z myślą o ocaleniu tych, którzy są twymi lojalnymi sługami. Zginiemy, jeśli zostaniesz ujęta i uwięziona.

Brys mówił z tak namiętym przekonaniem, że Gisele zapragnęła wręcz udusić Matyldę za jej upór. Czyżby nie dostrzegła nienawistnych spojrzeń londyńczyków? Czy nie dowierzała Brysowi, gdy ostrzegał ją przed wrogim zachowaniem tłumu?

Na szczęście udało się im wymknąć tylnym wyjściem i dotrzeć wąskimi uliczkami do przystani, jednak Matylda uznała ten pospieszny odwrót za ujmę na swej monarszej godności.

- Pani, przynajmniej zwołaj radę przyboczną dla omówienia tego problemu - rzekł Brys błagalnym głosem, gdy dopływali już do Westminsteru.

Gisele wywnioskowała z jego ściągniętych brwi i napiętych mięśni szczęk, że wyczerpał już niemal cały zapas taktu i cierpliwości.

- Nie wydaje się to możliwe - rzuciła Matylda. - Teraz mam przymiarkę, a po niej trzeba będzie siadać do wieczerzy.

Paradna łódź przybiła do przystani. Brys nie rzekł więcej ani słowa. Pierwszy wyskoczył na pomost, po czym pomógł królowej i jej damom zejść na ląd.

Gdy orszak ruszył alejką w stronę pałacu, Gisele zwołała, by zrównać się z idącym na końcu de Balleroyem.

- Zauważyłam, że nikt nie podziękował ci, panie, za wybawienie nas z opresji - powiedziała. - Ja w każdym razie poczuwam się do wdzięczności. Wypadki mogły potoczyć się całkiem inaczej, gdyby nie twoja obecność.

- Twoje podziękowanie, lady Gisele, wynagradza mi wszystko - rzekł, lekko skłaniając głowę.

Uśmiechnęła się do niego. Nie wiedząc jednak, co powiedzieć, przyspieszyła kroku.

Chwycił ją za rękę.

- Lady Gisele, proszę być tak dobrą i pozostać ze mną. Chciałbym porozmawiać z tobą, pani, królowej zaś bę-

dziesz potrzebna dopiero po wieczery. Moglibyśmy przejść się po ogrodzie, o tej porze nie ma tam nikogo.

Rozważywszy rzecz, skinęła głową.

- Będę szczerą i powiem, że wolałabym gdzieś usiąść. Po tej wędrówce po londyńskich sklepach nasilił się ból w mojej skrzywanej kostce.

Uśmiechnął się i zdarł z twarzy sztuczną brodę. Znowu miała przed sobą prawdziwego Brysa de Balleroja.

Weszli przez furtkę do ogrodu. Owionął ich upojny zapach róż, lilii i naparstnic. Znaleźli kamienną ławę w cieniście zakątku i usiedli. Na pobliskim drzewie dawał znać o swojej obecności drozd śpiewak. Pszczoły uwijały się nad grządkami kwiatowymi, mignął motyl, przeleciała ważka.

Brys nie śpieszył się z rozpoczęciem rozmowy, więc niecierpliwa Gisele pierwsza przerwała ciszę:

- Czy mógłbyś powiedzieć mi, panie, jak to się stało, że zjawiłeś się tam w przebraniu, i to akurat w momencie, gdy gniew tłumu mógł stać się groźny? Czyżbyś śledził nas podczas całego pobytu w mieście? A jeśli tak, to z jakiego powodu, jeśli mogę zapytać?

Rozciągnął wargi w smutnym uśmiechu.

- A jeśli odpowiem, że jest to tajemnica?

Najwidoczniej drażnił się z nią. Uniosła dumnie głowę.

- Więc nie odpowiadaj. Nie jestem ciekawa cudzych tajemnic.

Spoważniał.

- Wybrałem się dziś do Londynu, by po nocnym pożarze w Southwark zbadać nastroje jego mieszkańców. Przebrałem się, by wtopić się w tłum. W obecności drób-

nego handlarza każdy mówi i zachowuje się swobodnie, a w obecności rycerza zaczyna zadawać sobie pytanie, komu on służy. W rezultacie usłyszałem dostatecznie dużo, by dojść do wniosku, że najrozsądniejszą rzeczą będzie iść za orszakiem królowej.

- Czyżby nastroje tłumu były aż tak złe?

- Są złe, a mogą się jeszcze pogorszyć. - Potarł dłonią policzek.

- Pewnie bolejesz nad tym, panie, że królowa głucha jest na twoje argumenty?

Spojrzał jej prosto w oczy i zachwycił się nimi. Były takie czyste i takie rozumne.

- Tak, z całego serca pragnąłbym przekonać tę niemądrą niewiastę, by wycofała się w bezpieczne miejsce i czekała tam przynajmniej do dnia, gdy Robert Gloucester zdobędzie Ypres i będzie mógł przerzucić wojska w pobliże Londynu.

Zaskoczyła ją gwałtowność, z jaką to powiedział.

- Czyżby niebezpieczeństwo grożące królowej było aż tak poważne? - spytała, a lęk spłynął falą po jej krzyżu. Trzymany dotychczas w ręku zwój jedwabiu położyła na ławce.

Skinął głową.

- Lecz królowa opętana jest myślą o czekającej ją koronacji i na wszystko inne jest głucha i ślepa. Tymczasem bez zdobycia serc tych, którymi zamierza rządzić, jej korona będzie takim samym przebraniem jak moja sztuczna broda.

- Ma szczęście, że zdobyła twoje serce, panie - powiedziała Gisele, poruszona jego szczerością.

Znowu zatopił spojrzenie w jej oczach, lecz tym razem miała wrażenie, że sięgnął dna jej duszy.

- Królowa ma tylko moją wierność - sprostował. - W każdym momencie gotów jestem oddać za nią życie, gdyż do tego zobowiązuje mnie przysięga. Serce jednak mam wolne i mogę podarować je wybranej osobie.

Zabrzmiało to jak wyznanie. Gisele przez chwilę zastanawiała się nad usłyszczanymi słowami, po czym zmieniła temat.

- Na targu w Londynie wydarzyła się pewna dziwna rzecz - rzekła. - Byłyśmy właśnie w sklepie z materiałami, gdzie zwrócił moją uwagę ten zielony jedwab. - Wskazała na leżący obok niej zwój materiału. - Po chwili dowiedziałam się, że jest mój, gdyż ktoś kupił go dla mnie.

- Matylda szczerze obdarowuje tych, których lubi - rzekł de Balleroy.

- Królowa nie kupiła tego materiału, pytałam ją o to. Z początku pomyślałam, i wcale nie przeczę, że z lękiem, iż kryje się za tym Geoffrey de Mandeville, lecz nie widziałam go na targu. Za to w jakiś czas po tym wydarzeniu ty się pojawiłeś, mój panie. Ośmielam się więc zapytać, czy to ty jesteś owym tajemniczym darczyńcą? Czyżbyś będąc w pobliżu dostrzegł mój zachwyt i postanowił sprawić mi przyjemność?

Spuścił na chwilę wzrok.

- A jeśli to rzeczywiście ja widziałem twoją rozmarzoną twarz, a potem malujący się na niej smutek?

- Nie każdy lubi być obserwowany z ukrycia - mruknęła, zła na siebie, że na targu tak łatwo ujawniła swe uczucia.

- W tym kolorze będzie ci bardzo do twarzy, lady Gisele - rzekł lekko zachrypniętym głosem. - Szczególnie jeśli ozdobisz dekolt takim oto naszyjnikiem - dodał, sięgając do kieszeni kubraka i wyjmując z niej celtycki srebrny wisior, ten sam, którym tak się zachwycała w sklepie złotnika.

Poczuła, że brakuje jej powietrza. Kilka razy głęboko odetchnęła.

- Doprawdy, nie mogę, panie...

- Mam na imię Brys - rzekł, rozbawiony jej zmieszaniem. Uniósł rękę i musnął dłonią jej policzek i szyję. - Lady Gisele, dla ciebie, pani, również poświęciłbym życie, lecz nie ze względu na złożoną przysięgę, tylko dlatego, że ofiarowuję ci moje serce. Czy przyjmujesz ten dar, piękna córo Normandii?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, był już wargami na jej wargach, sycąc się ich słodyczą. Ogarnęło ją rozkoszne odurzenie. Przestała myśleć i straciła kontrolę nad wolą. Nie opierała się, kiedy objął ją i przytulił do siebie. Przepływały przez nią uczucia, których nawet nie umiałyby nazwać. Brakowało jej słów, a także siły woli, by oporem odpowiedzieć na ten zaskakujący szturm. Teraz jego usta dotykały jej szyi, za każdym zaś razem, gdy otwierała swoje z zamiarem powstrzymania go, wydobywało się z nich tylko ciche westchnienie. W końcu przestała być panią samej siebie i całkowicie poddała się zachciankom gwałtownego rycerza. Otrzeźwił ją metaliczny brzęk naszyjnika, który wyslizgnął się z dłoni Brysa i upadł na kamienną ławę.

- Brys, ja...

W nim jednak już przebudziła się żądza. Sięgnął po jej pierś. Była wstrząśnięta, że dotyk może być aż tak przyjemny. Łagodna rozkosz przerodziła się w ekstazę. Krzyknęła, choć nie słyszała swojego krzyku. Głowę jej ogarnęła słodka pustka, podobna omdleniu. Poczuła bezwład w członkach.

Oddech Brysa stał się chrapliwy i urywany, a jego źrenice tak zogromniały, że brązowe oczy stały się wręcz czarne. Dotknął czołem jej czoła.

Teraz dał się słyszeć dźwięk rogu. Wzywano na wieczerzę. Gisele przedarła się przez spowijającą ją mgłę odużnienia.

- Chodź ze mną, moja słodka lady - poprosił gorącym szeptem Brys.

- Do twojej komnaty? Oczekują mnie na wieczerzy...

- Tak, do mojej komnaty. A potem do mojego zamku w Tichenden, a w końcu do Normandii, gdzie przysięgnę zawsze cię bronić, Gisele...

Jej umysł był już na tyle jasny i zdolny do oceniania sytuacji, iż nie umknęło jej uwagi, że ani słowem nie wspomniał o miłości i małżeństwie.

Cofnęła głowę, gdy znowu chciał ją pocałować.

- Pojechać z tobą do Tichenden? Tylko w jakiej roli, mój panie? Jako twoja kochanka? I taką mam się pojawić przed ojcem w Normandii - nałożnicą barona de Balleroy?

- Nie, Gisele...

Targnął nią gniew. Poderwała się na nogi.

- Już raz słyszałeś z moich ust, że przybyłam na dwór nie po to, by stać się własnością mężczyzny, nawet gdyby

w grę wchodziło zaszczytne małżeństwo! Ale ty nawet tego mi nie proponujesz! Chciałbyś uczynić ze mnie swoją zabawkę. W zamian nie otrzymam nawet twojej szczerości. Tak wiele skrywasz, ja zaś w twych oczach nie jestem godna, by dzielić z tobą twoje tajemnice.

Wyrzuciła z siebie to wszystko z pasją i oburzeniem. Była bardzo przekonująca. Ukazała się Brysowi od całym nową stroną.

- Gdybyś dała mi dokończyć, słodka dziewczyno...

Potrząsnęła głową. Czar prysnął. Trzeba było podjąć swoje obowiązki damy dworu.

- Muszę już iść. - Zebrała trzęsącą się ręką spódnice i ruszyła alejką w stronę pałacu.

Po kilku krokach poczuła w kostce ból tak ostry, że ugięły się pod nią nogi.

Podbiegł i podtrzymał ją.

Ogarnął ją lęk. Pomyślała, że chce siłą zmusić ją do pozostania, lekce sobie ważąc jej odmowę.

- Puść mnie, panie - rzekła ostrym, zimnym głosem. Nie chciała zdradzić się ze swoim strachem. Minał on w momencie, gdy spojrzała Brysowi prosto w oczy. Zobaczyła w nich jedynie troskę, czułość i niepokój.

- Dobrze, skoro nie chcesz wyjechać ze mną z miłości, przynajmniej pozwól mi zabrać cię stąd dla twego bezpieczeństwa - powiedział.

- Dla mego bezpieczeństwa? - powtórzyła, nie kryjąc zaskoczenia.

Brys kiwnął głową.

- Lękam się tak samo o ciebie, pani, jak o królową, z tym że jej nie brakuje wiernych stronników, którzy zasło-

nią ją swoją pierś. W mieście wre. Agenci księżnej podburzają mieszczan. Coraz śmieiej poczynają sobie jej stronnicy, siedzący dotychczas cicho. Tylko czekać, aż ktoś rzuci hasło uderzenia na Westminster.

- Kim jesteś, mój panie, że potrafisz przewidzieć zamiary tamtej strony i tak dobrze orientujesz się w sytuacji politycznej? Komu właściwie sprzyjasz? - zapytała.

- Jeśli wyjedziesz ze mną, wszystko ci wyjaśnię, pani. Teraz mogę cię tylko zapewnić, że jestem lojalnym lennikiem córki Henryka. Tymczasem niepokoję się o ciebie, dziewczyno. Przynajmniej pozwól, bym odwiózł cię do Normandii, do l'Aigle.

Nie, nie chciała wracać do ojca, któremu zależało tylko na wydaniu jej za męża, aby urodziła męskiego dziedzica. Wyobraziła sobie zimny uśmiech starego księcia i jego szydercze słowa komentujące jej panieństwo. Wszakże nie mogła tego wszystkiego wyznać Brysowi, nie pozwalała jej na to duma.

- To niemożliwe, mój panie.

Pomyślał, że wciąż nie udało mu się zdobyć jej zaufania, gdyż rzekł z uroczystym wyrazem twarzy:

- Lady Gisele, przysięgam na wszystko, co święte, że zwrócę cię twojemu ojcu w stanie nieskalanej czystości.

Zaskoczyło ją, że tak bezceremonialnie mówi o jej dziewiczym stanie.

- Źle mnie zrozumiałeś, panie. Nie chodzi o to, że ci nie ufam. Po prostu nie chcę opuszczać królowej. Jeżeli ma się stać to najgorsze, to tym bardziej powinnam być przy niej.

Brys cofnął się o krok i sztywno uklonił.

- Skoro tak, to pozostaje mi jedynie podziwiać twoją lojalność i pochwalać decyzję - rzeki. - Dodam, że zawsze możesz liczyć na moją pomoc, lady Gisele.

Kiwnęła głową. Czuła się, jakby były w niej dwie osoby. Pragnęła, by chwycił ją w ramiona i poniósł na kraj świata, a równocześnie musiała dbać o swoją godność.

- Dziękuję, lordzie Brys. Zapamiętam to sobie.

Ponownie ruszyła ścieżką, lecz po kilku krokach zatrzymało ją jego wołanie. Podbiegł i wręczył jej zwój jedwabiu, na którym srebrzył się naszyjnik.

- Zapomniałaś o moich skromnych podarkach, lady Gisele. Będę szczęśliwy, jeśli je przyjmiesz, bez względu na twoje do mnie uczucia.

Spojrzała na prezenty. Czy nie widzisz, pomyślała przenosząc wzrok na Brysa, że pragnę ciebie równie mocno, jak ty pragniesz mnie? I że najbardziej boję się tego, że mogę cię... pokochać?

- Przyjmuję jedwab i bardzo dziękuję. - Wiedziała, że nie powinna, lecz nie mogła się zdecydować na odmowę. Pokusa była zbyt silna; - Naszyjnika jednak nie mogę przyjąć. Taki prezent mężczyzna daje jedynie żonie lub niewieście, z którą się zaręczył.

Ty zaś, dodała w myślach, nie poprosiłeś mnie, żebym została twoją żoną. Zobaczyłeś we mnie jedynie swoją przyszłą kochankę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wcale nie była głodna, a ledwie trzymała się na nogach. Z największą chęcią udałaby się do swego pokoju i rzuciła na łóżko, lub przynajmniej ochłodziła rozpaloną twarz zimną wodą. Niestety, Matylda nie tolerowała spóźnień i każdego, kto zjawiał się po niej przy stole, mierzyła gniewnym spojrzeniem. Gisele nie miała więc wyboru i pospieszyła wprost do wielkiego holu.

Wpadła i zatrzymała się jak przed przeszkodą, ponieważ kapelan Matyldy odmawiał właśnie modlitwę. Nie przeszkodziło to jednak biesiadnikom obrzucić przybyłej zaciekawionymi spojrzeniami.

- Jak to miło, że wreszcie do nas dołączyłaś, lady Gisele - rzuciła cierpko królowa, gdy już wszyscy się przeżegnali i można było przystąpić do jedzenia.

Cała w paśach, zniżyła się w ukłonie.

- Proszę wybaczyć mi moje spóźnienie, miłościwa pani - rzekła ściszym głosem Gisele, gotując się do wysłuchania surowego napomnienia.

Matylda jednak miała większą ochotę na podroczenie się z nią niż na łajanie swojej nowej damy dworu.

- I już wiesz, kto ci to podarował? - spytała z filuterną wesołością, wskazując na zwój jedwabiu, który dziewczyna wciąż trzymała w ręku.

Rozległy się chichoty i śmiechy, a ci, którzy siedzieli z tyłu, dopytywali się o powód tego rozbawienia, gdy zaś poznali go, dołączali się do wspólnej zabawy.

Gisele srodze w tej chwili żałowała, że nie zginęła w lesie razem z Fleurette. Chciała zapaść się pod ziemię. Utkwione w nią spojrzenia wwierały się jej w duszę. Dobijała ją myśl, że może Brys zdążył już wejść za nią do holu i jest świadkiem jej upokorzenia, lub nawet śmieje się razem z innymi.

- Tak... nie... to jest... - wymamrotała w największym pomieszczeniu.

- Ależ oczywiście, że już zdemaskowała swego tajemniczego wielbiciela - dał się słyszeć syczący głos Manette. - Tylko spójrzcie na jej napuchnięte wargi! I na te płonące jak w gorączce oczy! Założę się, że już zdążyła podziękować mu w jakimś ustroniu!

Przerażona i skonfundowana Gisele spojrzała w kierunku królowej, lecz ta zajęta była właśnie wyborem potrawy i, ku wielkiemu rozczarowaniu lady Mandeville, nie usłyszała tej złośliwej uwagi.

Nie było sensu stać dłużej pomiędzy stołami. Gisele usiadła ze spuszczoną głową obok Halette.

- Schowałabyś swoje pazurki, Manette - tamta upomniała złośnie, po czym zwróciła się do Gisele: - Nie przejmuj się, moja droga. To miłe, że lord de Balleroy admiruje cię. Będzie z was dobraną parą. Taki urodziwy mężczyzna!

- Ale on nie jest... ja także nie... - mamrotała, nie wiedząc właściwie, co powiedzieć, bo wciąż czuła usta Brysa na swoich wargach i jego dłoń pieszczotliwie gła-

dzącą jej pierś. Skończyło się więc na tym, że jeszcze bardziej się zaczerwieniła.

- Och, nie próbuj przeczyć! Obojgu wam nie brakuje urody! - zapiszczała wesoło lady Aubine.

- Tak, nie ma się co wypierać - z tajemniczym uśmiechem dodała Emmeline. - Prawdę zdradzają twoje rozpalone policzki. To on podarował ci ten jedwab?

- Ciekawam, co Gisele musiała podarować mu w zamian - powiedziała Manette dostatecznie głośno, by wszyscy ją usłyszeli.

- Moje panie, dość już tej gorszącej rozmowy! - oświadczyła Wilfride, która wydawała się szczerze oburzona.

Damy pochyliły głowy, udając wielkie zainteresowanie zupą bądź pieczytym, żadna bowiem nie chciała narazić się tej gefmańskiej walkirii. Gisele pozostawiono więc wreszcie w spokoju, jednak w jej duszy nadal panował wielki zamęt. W głowie pulsowało, a pierś kurczęcia miała smak trocin.

Zdawało się jej, iż wieczerza ciągnie się bez końca. Odśunąwszy talerz i wytarłszy usta serwetą, prześlizgnęła się wzrokiem po twarzach, lecz Brysa de Balleroya nie było wśród biesiadników. Czyżby wyjechał z Westminsteru, zrozumiawszy, iż nie uda mu się uwieść normandzkiej księżniczki? Lub też udał się z jakąś kolejną tajemniczą misją?

Zabolało ją serce na myśl, że może nie do końca miała rację, odpychając miłość i pożądanie dzielnego rycerza. Czyżby zgodnie z powziętym w l'Aigle postanowieniem nieuchronnie zmierzała do tego, by spędzić życie w zatęchłym dziewictwie jak lady Wilfride?

Myśl Gisele przeniosła się na sprawy publiczne. Nieobecność Henry'ego, biskupa Winchester, miała w sobie coś złowieszczonego. Czyżby ten dostojnik Kościoła po raz kolejny zmienił front i stanął teraz po stronie brata, króla Stefana? Więc może Brys miał rację, że poparcie dla Matyldy maleje w oczach, rośnie natomiast zagrożenie?

Geoffrey de Mandeville był wprawdzie obecny, ale wydawał się pogrążony w zadumie. Nie spoglądał w jej stronę, co, musiała przyznać, stanowiło dla niej wielką ulgę. Być może, będąc pajakiem, złowił inną muszkę, która w odróżnieniu od niej nie sprawiała mu żadnych kłopotów.

Nie tylko Gisele dostrzegła zamyślenie de Mandeville'a. Matylda położyła dłoń na ramieniu earla i powiedziała doń kilka słów. Natychmiast rozpogodził się, jakby nalano mu do ucha nektaru. Odpowiedział coś, co wyraźnie zadowoliło królową.

Wreszcie wieczerza dobiegła końca. Matylda wstała i oświadczyła, że dziś nie będzie przechadzki po ogrodzie. Gisele odetchnęła z ulgą. Ciężko byłoby jej wrócić do miejsca, gdzie po raz pierwszy w życiu doświadczyła fizycznej rozkoszy. Być może tym razem uda się jej wcześniej położyć spać.

- Moje drogie, teraz udam się do kaplicy, gdzie będę błagała Najwyższego o opiekę i wsparcie - oświadczyła królowa. - Jesteście wolne, z wyjątkiem ciebie, lady Gisele, i was, lady Wilfride i lady Rilla, które będziecie towarzyszyły mi aż do spoczynku. Mam nadzieję, że jutrzejszy dzień nie będzie gorszy od dzisiejszego.

Gisele poczuła rozczarowanie i zawód, jednak posłusz-

nie udała się za władczynią. Była to bez wątpienia kara za spóźnienie.

Kątem oka dostrzegła, że de Mandeville podchodzi do jakiegoś zażywnego człeka, któremu, sądząc po jego ubiorze, nie brakowało dukatów w skrzyni. Powitał go wylewnie.

Matylda bardzo długo modliła się w kaplicy. Gdy w końcu zjawiła się w sypialni, Gisele z trudnością udawało się powstrzymać ziewanie, sumiennie jednak pomagała królowej w wieczornej toalecie i nie popełniła żadnej gafy. Nagle Matylda zaniepokoiła się i rzekła podniesionym głosem:

- Lady Gisele! Zostawiłam w kaplicy mój modlitewnik! Idź i przynieś mi go natychmiast!

- Miłościwa pani, czyż nie można odłożyć tego do jutra? - spytała lady Rilla, rzucając Gisele współczujące spojrzenie.

- W żadnym wypadku! Okładki modlitewnika inkrustowane są szlachetnymi kamieniami, a poza tym mój ojciec dostał go wraz z błogosławieństwem z rąk samego papieża! Nie chcę, by czyjaś złodziejska dłoń zabrała go tej nocy!

Gisele skłoniła głowę.

- Będę szczęśliwa móc ukoić niepokój miłościwej pani
- rzekła tonem bezgranicznie oddanej sługi.

Królowa jednak zdążyła krytyczniej przypatrzeć się całej sprawie.

- Droga do kaplicy i z powrotem zajmie ci trochę czasu, a ja tymczasem już się kładę do łóżka. Zróbmy więc

tak, że pójdziesz po modlitewnik teraz, ale wręczysz mi go jutro rano.

Rilla zrobiła minę, jakby chciała powiedzieć: „Och, te kaprysy uprzywilejowanych!”.

- Uczynię wedle twego życzenia, miłościwa pani. Czy mogę wziąć ze sobą świecę? - Matylda najwidoczniej nie uświadamiała sobie, że naraża samotną dziewczynę na długą wędrówkę ciemnymi korytarzami oraz na nocny spacer pomiędzy pałacem a kaplicą. Pomimo pokusy, by pójść po modlitewnik dopiero rano, Gisele postanowiła natychmiast wypełnić rozkaz królowej, obawiając się, że jutro może nie obudzić się dostatecznie wcześnie i tym samym narazić się na gniew Matyldy. Bała się nawet myśleć, co by się stało, gdyby bezcenny modlitewnik naprawdę zaginął, i to z jej winy.

Królowa łaskawie skinęła głową.

Kaplica okazała się budzącą podziw i lęk pieczarą, której mrok rozpraszały nieliczne płomyki świec. Panowała tu taka cisza że Gisele słyszała pulsujący szum krwi w uszach. Wydawało się świętokradztwem zakłócać majestatyczny spokój tego miejsca. Lady de l'Aigle starała się poruszać jak najciszej. Dotarła do miejsca, gdzie godzinę temu klęczała królowa, chwyciła leżący na pulpicie modlitewnik i chciała już się wycofać, gdy usłyszała czyjeś ściszone głosy. Wyrzała zza kamiennego filaru i zobaczyła dwie pogrążone w rozmowie ciemne postacie. W tej chwili w jednej ze świec zaskwierczał stopiony воск i jej płomień dał więcej światła. Gisele ze zdumieniem rozpoznała Geoffreya de Mandeville'a i bogato odzianego mieszczanina, na którego zwróciła uwagę pod koniec wieczerzy.

Chwycił ją strach, którego przyczyny właściwie nie znała. Ukryła się za filarem. Mężczyźni, dzięki Bogu, nie zauważyli jej i nie usłyszeli, za to ona słyszała ich bardzo dobrze, bo mówili coraz głośniejsze i z coraz większym gniewem, jako że rozmowa przeradzała się w sprzeczkę.

W pewnym momencie mieszczanin zaczął wygrażać pięścią.

- To nigdy się nie stanie! Zdemaskuję cię przed światem, panie, bo jesteś tylko podstępny wąż! Jeśli uważasz, że sprzedasz Londyn temu, kto najwięcej zapłaci...

- Zdemaskujesz mnie, powiadasz? - warknął de Mandeville. - Jakie to miłe z twojej strony, że raczyłeś mnie o tym ostrzec, Osgood! Wątpię tylko, czy starczy ci czasu, aby to zrobić... - Błyskawicznie niczym wąż, którym został nazwany, earl wyciągnął sztylet z rękawa i wbił go aż po rękojeść w pierś nieznanego.

Ten przeraźliwie krzyknął i chciał uciekać, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Był śmiertelnie ranny, a na dokładkę de Mandeville, chcąc rzetelnie dokończyć swego zbrodniczego dzieła i na zawsze uciszyć niewygodnego świadka, wyszarpnął sztylet z rany i chlasnął nim niefortunnie po gardle. Bluznęła krew. Mieszczanin zwał się na kamienną posadzkę kaplicy.

Gisele patrzyła na ten mord szeroko otwartymi oczyma. Sparaliżowana strachem, nawet nie poczuła, jak modliwemu wysunął się z jej zdrętwiałych palców. Odgłos upadku nie był głośny, aczkolwiek słyszalny.

Skuliła się za filarem, modląc się w duchu, by de Mandeville, którego z pewnością zaprzętała teraz myśl o ucie-

czce z miejsca zbrodni, nie zwrócił uwagi na tajemniczy hałas.

Stało się jednak inaczej.

- Kto tam? - spytał earl z groźbą w głosie. - Wiem, że tam jesteś. Wyjdiesz czy ja mam pójść po ciebie? Gotuj się na śmierć!

Gisele usłyszała odgłos zbliżających się kroków. Wiedziała, że nie ma żadnych szans na uratowanie życia, chyba że uda się jej zbiec. De Mandeville nie mógł pozwolić sobie na pozostawienie świadka swej zbrodni, dokonanej w kaplicy tuż przed ołtarzem, a więc będącej również straszliwym świętokradztwem!

Uniosła spódnicę, by w ucieczce nie plątała się między jej nogami, i puściła się biegiem ku wyjściu. Czuła mrowienie w karku, oczekiwała bowiem, że w każdej chwili zimne ostrze może utkwąć między jej łopatkami.

- Stój, dziewczko! Chyba nie sądzisz, że mi umkniesz! - dobiegły jej uszu słowa earla. - Wróć, a być może na pewnych warunkach pozwolę ci żyć! - Roześmiał się szatańsko, lecz w jego śmiechu, ustokrotnionym przez echo odbite od kaplicznych ścian i przez to tym bardziej niesamowitym, pobrzmiwały lęk i rozpacz.

Biegła co sił w nogach, nie zważając na ból w kostce. Ścigała ją śmierć, a przed nią było ocalenie. Jeśli uda się jej pokonać otwartą przestrzeń dziedzińca i wpaść do holu, na pewno natrafi na kogoś, kto pomoże jej samą choćby swą obecnością. Ostatecznie de Mandeville, mimo że tak potężny, nie ośmielił się zamordować jej przy świadkach. Do holu było jednak daleko, ona zaś już czuła oddech earla na karku. Boże, czyżby nie było już dla niej ratunku!

Jakby w odpowiedzi na ten niemy krzyk duszy usłyszała za sobą głuchy łoskot. Zerknęła przez ramię i już wszystko wiedziała. De Mandeville potknął się na schodach wiodących na podwórzec, stracił równowagę i upadł na kamienie.

Nie, jeszcze nie była ocalona, lecz dało jej to niewielką przewagę. Nadzieja uskrzydliła ją. Pokonała susami ostatnie jardy i wpadła do wielkiego holu. Zadyszana i z obłędem w oczach, rozejrzała się po ogromnej sali.

Wszędzie, jak okiem sięgnąć, na ławach i na zaścielającym posadzkę sitowiu, spali służący. Leżeli w różnych pozycjach, skuleni bądź na plecach z szeroko otwartymi ustami, z których wydobywało się chrapanie. Jeżeli nawet zdoła dobudzić któregoś z nich, jakiej pomocy będzie mogła się spodziewać od półprzytomnego sługi? Co najwyżej zabójca schowa sztylet i pomówi ją o zamordowanie Osgooda. De Mandeville cieszył się wyjątkowymi łaskami i zaufaniem królowej, co zresztą potwierdzone zostało podczas ostatniej wieczerzy, i Gisele nie mogła liczyć na to, że Matylda uwierzy w jej niewinność, jeśli oskarżycielem będzie pierwszy faworyt.

Nie, jej jedyną szansą było dopaść drzwi swojej komnaty, a potem ryglując je od wewnątrz, odgradzić się nimi od swego prześladowcy. Nie miała pewności, czy de Mandeville ją rozpoznał, wszak widział ją tylko z tyłu. Gdyby faktycznie tak było i gdyby udało się jej dopaść schodów, zanim on się tu zjawi, byłaby ocalona, gdyż łowca straciłby trop.

Strach dźgał ją ostrogami, jednak wyczerpała już niemal cały zapas sił. Trzęsły się pod nią nogi, w piersiach płonął ogień.

- Zatrzymać ją! Tę podstępną dziewczę! To morderczyni! - doleciał ją z tyłu ryk. De Mandeville znajdował się już w holu, a dzieliło go od niej tylko kilkanaście jardów.

Krzyk ten jednak obrócił się przeciwko niemu, bowiem słudzy zaczęli zrywać się na równe nogi i mimowolnie zastępować mu drogę. Jednego czy dwóch obalił uderzeniem pięści, kilku ominął, wszystkim jednak nie mógł poradzić. W końcu potknął się o kogoś, kto spał wyjątkowo głębokim snem, i upadł jak długi.

Opatrzność po raz kolejny ofiarowała Gisele sposobność ucieczki. Dziewczyna pojęła to i zebrała resztki sił. Wpadła na schody spiralnie wznoszące się ku górze. Pierwsze piętro! Stopnie migały jej przed oczyma. Drugie piętro! Płuca kłuły przy każdym oddechu. Gdy znalazła się na trzecim piętrze, była bez tchu, a musiała jeszcze przebiec cały korytarz, gdy tymczasem kroki de Mandeville'a znów się rozległy tuż za nią.

Nie zdoła już dobiec do końca korytarza, musiałaby chyba się czołgać, lecz to przesądziłoby o jej losie. Jednak tuż przy schodach znajdowała się komnata Brysa de Balleroja. Oby tylko drzwi nie były zaryglowane...

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Czy coś się stało, mój panie? Z jakiego powodu tak wykrzykujesz? - ozwał się męski głos, gdy Gisele dopadła wreszcie do drzwi komnaty Brysa de Balleroya i stwierdziła niemal z płaczem, że nie są zamknięte od wewnątrz.

Pchnęła je, zachowując wszelkie środki ostrożności i modląc się w duchu, by skrzyp zawiasów nie zdradził jej kryjówki. Na szczęście otworzyły się bezszelestnie. Błyskawicznie wślizgnęła się do środka i zasunęła rygiel.

Zamknęła oczy i przez jakiś czas chwytąta powietrze, próbując uspokoić oddech. Gdy już nieco doszła do siebie i rozejrzała się po wnętrzu, w słabym świetle pałacej się świecy zobaczyła leżącego na łóżku Brysa de Balleroya. Wydawał się spać głęboko.

Okryty był tylko do pasa i jego wspaniale umięśniony tors przyciągnął na chwilę jej spojrzenie, natychmiast jednak pomyślała o swoim prześladowcy. Przyłożyła ucho do drzwi. Ciekawa była, jakiej to odpowiedzi udzieli de Mandeville Talfordowi, bo to właśnie marszałek dworu przypadkowo pojawił się na schodach i zainteresował zachowaniem earla.

- Zejdź mi z drogi, człowieku! Ścigam morderczynię! Widziałem, jak zasztyletowała kogoś w kaplicy, a potem uciekła na górę tymi schodami!

- Mówisz „morderczynię”, panie, a zatem niewiastę. Czy jesteś aby tego pewien? Czy kobieta może zabić mężczynę, i to jeszcze w kaplicy? I z jakiego powodu? - dopypywał się marszałek dworu głosem zdradzającym silne podenerwowanie.

Widocznie Talford, zdumiony tym, czego przypadkiem był świadkiem i co przed chwilą usłyszał, chwycił earla za ramię, gdyż ten ryknął na cały pałac:

- Puść mnie, ty stary, głupcze! Skąd mam wiedzieć, dlaczego go zabiła? Wiem natomiast, że jeśli zaraz nie usuniesz się na bok, to ona zdąży się zaszyć w jakiejś kryjówce!

- Kim ona jest, ta morderczyni?

- To Gisele de l'Aigle - padła niecierpliwa i gniewna odpowiedź. - Miała na sobie czerwoną suknię. Dołącz do mnie, a razem ją ujmijemy.

Gisele poczuła, że zamiera jej serce. A więc rozpoznał ją!

- Gdzie jest jej komnata?

- Zaraz, niech pomyślę... już wiem. Na trzecim piętrze na końcu korytarza.

- Chodźmy! Wyważymy drzwi, jeśli zajdzie taka potrzeba!

Gisele wyprostowała się i spojrzała w kierunku łóżka. Regularny oddech Brysa świadczył o głębokim śnie. A swoją drogą było dziwne, że mimo tych wszystkich krzyków rycerz jeszcze się nie obudził, tym bardziej że de Mandeville wraz z Talfordem z hałasem wyważali już drzwi jej komnaty.

Gisele usiłowała zebrać myśli. De Mandeville był przeświadczony, że zabarykadowała się w swoim pokoju, a to

dawało jej trochę czasu. Mogła się postawić, by wyglądało na to, że to nie ona była w kaplicy, tylko jakaś inna niewiasta. Gdyby Talford święcie w to uwierzył, zdołałaby ocalić głowę.

Wiedziała, że postępuje źle, lecz miała nadzieję, iż zostanie jej to wybaczone. Nie namyślając się dłużej, prędko się rozebrała, a suknię, której kolor mógł ją zdradzić, wepchnęła pod łóżko.

- Kto tu? - rozległ się nagle zaspany męski głos, głos Brysa. - Gisele? Co tu robisz? - W tym momencie ściągnęła koszulę. Nie miała już nic na sobie. - Gisele, co to wszystko ma znaczyć?

Nie było czasu na tłumaczenie. Brys pozna prawdę, ale później. Zbliżyła się do łóżka, bezwstydna w swej nagości. Następnie, również dlatego, że nie mogła już dłużej ustać na nogach, usiadła na pościeli.

Brys z początku był przeświadczony, że postać nagiej lady de l'Aigle jest tylko dalszym ciągiem snu, właśnie bowiem śnił, że Gisele przychodzi do niego. Usłyszał jednak jej oddech, a to już nie pasowało do sennych marzeń. A potem, gdy usiadła na brzegu łóżka, on zaś wyciągnął rękę i dotknął jej ciała, poczuł, że jest pokryte rosą potu i ciepłe, a więc żywe. Och, ona była tu naprawdę, nie miał już żadnych wątpliwości.

- Gisele... co tu robisz, kochana? - powtórzył pytanie, obejmując jej drżące ciało.

- Ja... myliłam się, Brys - szepnęła, zmieniona na twarzy nie do poznania. - Wtedy... gdy usłyszałeś z moich ust odmowę. Pragnę cię, Brys. Chcę, żebyś mnie ko-

chał... tu i teraz! - Opadła na poduszki i wyciągnęła się u jego boku. Gdy poczuł jej obnażone piersi na swym torsie, zatracił zdolność logicznego i spójnego myślenia.

Jeżeli mimo wszystko był to tylko sen, nie chciał się z niego obudzić. Mógłby śnić tak do końca życia.

- Cieszę się, że zmieniłaś zdanie, kochana - rzekł, uznając, że jednak wszystko to dzieje się na jawie. - Nie pożałujesz, obiecuję, dziewczyno. Na pewno jednak nie musimy się śpieszyć. Może napijesz się wina?

Nietrudno było mu zauważyć, że Gisele jest roztrzęsiona. No cóż, przysłała nocą do pokoju mężczyzny, by ofiarować mu swe dziewictwo, zprzemiała więc, że jest zdenerwowana. Chciał ją uspokoić, uciszyć burzę, jaka w niej szalała. Musiał zrobić wszystko, by to pierwsze fizyczne miłosne doznanie okazało się dla niej wspaniałym przeżyciem, do którego chętnie będzie wracała pamięcią. Najpierw jednak musiał wziąć się w garść. Wrzała w nim krew, a widok nagiej dziewczyny pozwalał mu się skupić tylko na jednym.

Wprawdzie docierał doń hałas z korytarza, dość niezwykły jak na tę porę, nie poświęcił mu jednak najmniejszej uwagi. W tej chwili liczyła się dla niego cudowna Gisele, której gorące ciało dotykało jego ciała.

- Nie, Brys! Nie mam ochoty na wino! Przyszłam tu wyłącznie po to, żeby się z tobą kochać. Umrę, jeżeli zaraz nie obejmiesz mnie i nie pocałujesz! - Nie czekając na odpowiedź, dźwignęła się na łokciu i sama pocałowała rycerza ustami tak gorącymi i tak wonnymi, jak dopiero co wyjęty z pieca chleb.

Osunął się w czeluść bez dna. Był zgubiony. Z trudnością oderwał usta od warg Gisele.

- Gisele, jesteś równie popędliwa jak uparta. Skoro jednak chcesz miłości, dam ci ją, dziewczyno. - Oddzielną kwestią było dlań, jak zdoła wytrwać w tej ustawicznej huśtawce między odmową a niecierpiącym zwłoki żądaniem. Tymczasem czuł swoją męskość, stwardniała i pulsująca, spragnioną rozkoszy.

Być może Gisele chciała, by wziął ją brutalnie i spiesznie, bo tak właśnie wyobrażała sobie cielesną miłość. W takim razie on jej pokaże inną stronę kochania, które może trwać niczym pogodny bezwietrzny dzień, sycąc słodkim zamroczeniem i dostarczając rozkosznych zawrotów głowy. Nadal nie mógł zrozumieć, skąd się wziął ten gorączkowy pośpiech u Gisele, równocześnie jednak dziękował opatrności za ów niespodziewany dar.

Odpowiedział namiętnym pocałunkiem, drażąc językiem jej usta, dłonią zaś pieszcząc piersi. Fala żądy pchnęła jego rękę niżej, na jej napięty brzuch, a wreszcie między jej uda, gdzie palce zaplątały się w miękkim runie jej łona.

Wtedy rozległo się walenie do drzwi. Brys poczuł, jak Gisele sztywnieje i chwyta go za ramiona.

- Kto tam? Kimkolwiek jesteś, odejdz! Jest ciemna noc! - krzyknął Brys w stronę drzwi, przekonany, że to jakiś opity winem dworzanin stracił orientację w labiryncie korytarzy.

- To ja, earl Essex! Otwórz drzwi, de Balleroy! Przychodzę w bardzo ważnej sprawie.

Geoffrey de Mandeville w środku nocy u drzwi jego komnaty! Nie przypominał sobie, by byli przyjaciółmi. Nie ufał temu człowiekowi i był pewien, że de Mandeville wyczuwa to.

I już chciał go wysłać do diabła, gdy nagle pomyślał o nastrojach w Londynie i groźbie rewolty. Należało to wyjaśnić.

- Co się stało? Czy już szturmują pałac? - spytał podniesionym głosem.

- Nie! Rzecz w czym innym! Przeszukujemy wszystkie komnaty na tym piętrze - padła odpowiedź. - Mam powody sądzić, że morderczyni ukryła się w jednej z nich!

Brys odwrócił głowę i spojrzał na Gisele. Siedziała oparta o wezgielnie, zasłaniając piersi skrajem prześcieradła. Jej szeroko otwarte oczy wyrażały niemą prośbę.

- Morderczyni? - zapytał, nie odwracając spojrzenia od Gisele. - Co to za komedia?

- De Balleroy, jeśli natychmiast nie otworzysz drzwi, wyważę je lub porąbię siekierą! - ryknął earl, którego cierpliwość widocznie już się wyczerpała. - W kaplicy dokonano morderstwa! Byłem tego świadkiem! Na własne oczy widziałem morderczynię! To lady Gisele de l'Aigle! Najpierw wbiła temu człowiekowi w serce sztylet, a potem poderżnęła mu gardło!

Gisele gwałtownie potrząsnęła głową. Jej wargi zdawały się układać w słowa: „Nie, nie! To nie ja! On kłamie!”. Jej oczy błyszczały od łez.

- Mój panie, to ja, Talford. Zechciej otworzyć drzwi! Wszystko wskazuje na to, że earl zamierza spełnić swą groźbę. Drzwi zostaną wyważone!

- Doprawdy, nie ma potrzeby się trudzić! Zaraz wpuszczę was, lordowie! - Brys porwał z łóżka kapę i okręcił się nią wokół bioder. Nim jednak ruszył ku drzwiom, spojrzał raz jeszcze na Gisele. Jej twarz wyrażała błaganie.

Nagle wszystko zrozumiał. Znalazł przyczynę jej nocnej wizyty i osobliwej uległości. Jakby oblał go ktoś kubłem zimnej wody. Złudzenia przysły. Podszedł do drzwi i odsunął rygiel.

Wpadł de Mandeville z pochodnią, a tuż za nim z widocznym ociąganiem przekroczył próg komnaty marszałek dworu. Obaj zatrzymali się w pół kroku na widok Gisele, przerażonej i zasłaniającej swą nagość prześcieradłem. De Mandeville rzucił okiem na leżącą przy łóżku koszulę i jakby na chwilę pograżył się w myślach.

- Wyrażam nadzieję, że nie omieszkacie przeprosić, panowie, obecnej tu damy - rzekł Brys, cedząc słowa. - Wszystko wskazuje na to, że szukacie kogoś innego. Jak widzicie, lady Gisele nie mogła nikogo zamordować. Sądząc z waszych słów, zabójstwo miało miejsce mniej więcej pół godziny temu. Lady Gisele gości u mnie już od ponad godziny i zaprzątnięta jest przyjemniejszymi rzeczami od podrzynania gardła jakiemuś nieszczęśnikowi.

De Mandeville przenosił badawczy wzrok z Brysa na Gisele i z Gisele na Brysa. Zacisnęła szczęki tak mocno, iż groziło to, przynajmniej w przekonaniu Brysa, połamaniem zębów.

Talford, przeciwnie, rumienił się jak niewinna panna.

- Wybacz nam, panie. Upraszam o wyrozumiałość, pani. Bez wątpienia zaszła tu jakaś pomyłka. Pozostaje nam tylko życzyć wam dobrej no...

- Nie tak szybko, Talford! - warknął de Mandeville. - Łatwowierność jest przywarą głupców. Nadal uważam, że to lady Gisele dokonała tego zabójstwa. Zrobię wszy-

stko, by została wtrącona do lochu, na co w pełni sobie zasłużyła!

- A jeśli twoje starania okażą się daremne, lordzie? - spytał Brys, ale było to pytanie równoważne groźbie, gdyż jednocześnie sięgnął po wiszący na ścianie miecz.

DeMandeville znieruchomiał i obnażył kły jak wilk.

- Strzeż się, de Balleroy, bym nie musiał aresztować cię jako współnika. - Przez chwilę było słychać tylko ich chrapliwe oddechy.

Talford przerwał milczenie.

- Czyż nie uważacie, panowie - rzekł - że najlepiej będzie, jeśli sprawę rozstrzygnie królowa?

- Bardzo dobrze. Idź i sprowadź ją tutaj - warknął de Mandeville, nie spuszczając z Brysa uważnego spojrzenia.

Ale Talford potrafił być uparty, mimo iż nie zaliczał się do baronów królestwa.

- Nie, mój panie. Stosowniej będzie, jeśli ty ją wezwiesz. Ja zaś zostanę tu, aby przypilnować, by nikt nie opuścił tej komnaty.

Earl spojrzął, jakby chciał się temu sprzeciwić, lecz w końcu kiwnął głową i ruszając ku drzwiom, mruknął:

- Miej na wszystko oko, panie, inaczej spotka cię surowa kara.

Obecność marszałka dworu sprawiała, że Brys i Gisele nie mogli ze sobą swobodnie porozmawiać, Talford miał więc pewność, że nie uzgodnią między sobą wersji wydarzeń. Należało też przypuszczać, ku czemu skłaniał się Brys, że marszałek dworu nie wierzy w winę Gisele. Talfordowi nie brakowało rozumu. Musiał zakładać, że brak porozumienia uczyni ich świadectwo bardziej wiarygod-

nym. Natomiast Brys mógł tylko czekać i zastanawiać się, co naprawdę się wydarzyło, zanim obudził się i zobaczył nagą Gisele, która teraz kuliła się w jego łóżku, blada i śmiertelnie wystraszona.

- Czy moglibyśmy, Talford, wyjść na chwilę na korytarz, aby lady Gisele mogła się ubrać? - zapytał, pragnąc ulżyć dziewczynie w jej wielkim kłopotcie i zaoszczędzić upokorzenia w spotkaniu z królową.

I tutaj czekała go niespodzianka. To nie Talford odmówił pójścia im na rękę, miał zapewne swoje powody, ale Gisele przecząco potrząsnęła głową. Dlaczego nie chciała się ubrać? Czyżby do tego stopnia sparaliżowało ją oskarżenie de Mandeville'a, iż nie była w stanie podjąć żadnego działania?

Brys nie wierzył w oskarżenie. Nawet gdyby Gisele była osobą z: natury gwałtowną i impulsywną, których to cech u niej dotychczas nie zauważył, to i tak sprawcami zabójstw przy użyciu noża byli prawie wyłącznie mężczyźni. Wbicie noża w serce wymagało siły i specyficznego rodzaju odwagi, a już nie sposób było wyobrazić sobie niewiasty, która po czymś takim wyrывa nóż z rany i podrzyna ofierze gardło. Czy jednak Gisele była w kaplicy, a jeśli tak, to z jakiego powodu? I kim był człowiek, który padł ofiarą morderstwa?

Po półgodzinie wrócił earl w towarzystwie królowej. Matylda miała na sobie tę samą suknię, w której spędziła ubiegły dzień, ale pyszne czarne włosy swobodnie spływały na ramiona i plecy, ujmując jej lat i dodając wdzięku.

Ześlizgnęła się wzrokiem po nagim torsie Brysa na opa-

sującą jego biodra kape, po czym spojrzała na Gisele, która coraz bardziej przypominała zaszczute zwierzę.

- Oto ona, miłościwa pani - rzekł de Mandeville, godząc w Gisele palcem. - Kobieta, która na moich oczach zasztyletowała w kaplicy niewinnego człowieka.

- Widzę, mój panie, że choć wcześniej się wahałeś, teraz już jesteś pewien - rzekł Brys, postępując krok do przodu.

Królowa władczo uniosła dłoń.

- Wysłaliśmy już do kaplicy strażników, by zbadali wszystko na miejscu. Lady Gisele, co masz do powiedzenia w tej sprawie? - Z twarzy królowej nie sposób było czegokolwiek wyczytać.

- Królowo i władczyni - rzekł Brys - lady Gisele była razem ze mną, nie mogła zatem popełnić zbrodni, o którą oskarżają lord Geoffrey.

- Zadałam pytanie lady Gisele i od niej oczekuję odpowiedzi, mój panie - upomniała go Matylda.

Wszyscy patrzyli teraz na Gisele.

- Miłościwa pani, mogę tylko powtórzyć za Brysem... lordem de Balleroyem - odparła Gisele drżącym głosem - że byłam tu razem z nim w czasie, kiedy lord de Mandeville rzekomo widział mnie w kaplicy odbierającą życie jakiemuś człowiekowi.

- A jednak opuściłaś moją sypialnię z zadaniem przyniesienia z kaplicy modlitewnika - rzekła królowa podniesionym głosem. - Miałaś więc powód tam być. - Nagle królowa stała się przyjacielska, wręcz macierzyńska. - Gisele, co się stało? Czyżby ten człowiek zaczął cię i chciał zniewolić, ty zaś uznałaś, że musisz się bronić?

Gisele zwiesiła głowę.

- Nie, miłościwa pani. Nigdy nie widziałam tego człowieka, który został zamordowany w kaplicy, ponieważ... proszę mi wybaczyć, królowo... okazałam się nieposłuszna. Zamiast iść po modlitewnik, przyszłam tutaj, do komnaty lorda de Balleroya. Do kaplicy zamierzałam zająć z samego rana.

- Nie dość, że nie posłuchałaś mnie, to jeszcze poszłaś zażywać grzesznych rozkoszy z lordem de Balleroyem?

- Królowej trudno było uwierzyć w taką samowolę.

- Tak było, najjaśniejsza pani, i z tego powodu poczuwam się do winy. W związku z tym modlitewnik powinien wciąż być w kaplicy. Nie ma go ani w moim pokoju, ani tutaj.

- I nigdy nie rozmawiałaś z tym człowiekiem, który zdaniem lorda de Mandeville'a leży teraz martwy w kaplicy?

- Nie, miłościwa pani.

- Swoją drogą ciekawe, kim on był i co tam porabiał - powiedziała królowa po części do samej siebie, po części do słuchających ją osób.

Po twarzy de Mandeville'a przemknął cień niepokoju, co nie uszło uwagi obserwującego go de Balleroya.

- Czyżby moje świadectwo, że widziałem tę kobietę zadającą dwa śmiertelne ciosy tamtemu człowiekowi, miało zostać zlekceważone? - spytał zaczerwieniony z gniewu earl.

Królowa dumnie się wyprostowała, a ponieważ de Mandeville nie odznaczał się nadzwyczajnym wzrostem, mogła teraz patrzeć mu prosto w oczy.

- Miej się na baczności, mój panie. Zadając pytania,

próbuję dotrzeć do prawdy. W domu bożym zamordowany został człowiek! Zatem kolejne pytanie, tym razem skierowane do ciebie. Jak to się stało, że stałeś się świadkiem zabójstwa? Co cię sprowadziło do kaplicy o tak późnej porze?

De Mandeville się zawahał. Już nie unosił się gniewem.

- Ma się rozumieć, zawiodła mnie tam potrzeba modlitwy, miłościwa pani.

Matylda uniosła brwi.

- „Ma się rozumieć”, powiadasz. Tylko że nigdy nie sprawiałeś na mnie wrażenia szczególnie żarliwego w swej pobożności, lordzie de Mandeville.

Spuścił wzrok i zacisnął usta, a na jego czole ukazały się kropelki potu.

- Pobożność to sprawa bardzo osobista - zauważył.

Brys postanowił zmusić earla do bardziej obfitego pocenia się.

- Zastanawiam się, miłościwa pani, jak to się stało, że ubranie lorda Essex opryskane jest krwią, skoro, jak utrzymuje, był tylko świadkiem morderstwa?

De Mandeville'owi zrzędzła mina. Spojrzył na swój kubrak i zobaczył na nim plamy krwi, tworzące niesamowity wzór na jasnozielonym materiale. Poblądł jak ściana.

- Ja... - Przełknął ślinę i oblizał wargi. Widać było, że czyni wysiłki, aby wziąć się w garść. - Oczywiście, że jestem powalany krwią. Jak zresztą mogłoby być inaczej, skoro chwyciłem tamtego rannego biedaka w ramiona!

Brys zauważył, że oczy Gisele dziwnie rozbłyły i już

otwierała usta, żeby coś powiedzieć, lecz nagle zrezygnowała z tego zamiaru.

Zdaniem Brysa fakt, że de Mandeville nie zażądał, żeby z kolei Gisele pokazała swoją suknię, był niemal równoznaczny z przyznaniem się do morderstwa. Nie wysunął tego żądania, gdyż dobrze wiedział, że na sukni Gisele nie ma śladów krwi. Ale czy uświadamiała to sobie również królowa? Od niej tu bowiem zależało najwięcej.

Matylda długo milczała, pogrążona w myślach. A gdy wreszcie się odezwała, nie okazała w żaden sposób, co tak naprawdę sądzi o plamach krwi na kubraku earla.

- Zaiste, mój panie, religijność i związane z nią praktyki są prywatną sprawą, ale morderstwo wymaga znalezienia sprawcy. Dlatego rano przy pomocy kapitana straży przeprowadzimy dochodzenie, a ty masz być przy tym obecny.

- Stawię się na pewno - rzekł de Mandeville zduszonym głosem. - A lady Gisele?

- Lady Gisele była tej nocy zajęta zupełnie czym innym - oświadczyła królowa, ruchem głowy pokazując na łóżko. - Możesz teraz odejść, mój panie. Spotkamy się wczesnym rankiem - przypomniała mu, po czym odwróciła do niego plecami.

De Mandeville przez chwilę patrzył na plecy królowej z pełnym niedowierzania wyrazem twarzy, a widząc, że nic tu po nim, ledwie hamując wściekłość, opuścił komnatę, zatraskując za sobą drzwi. Talford natomiast pozostał.

- A teraz co się tyczy was dwojga... - zaczęła królowa, wbijając wzrok w Brysa i Gisele.

Brys podszedł do łóżka i opiekuńczym gestem położył dłoń na ramieniu dziewczyny. Czuł się boleśnie zraniony, że przyszła do niego powodowana strachem, nie zaś miłością, wiedział jednak z całą pewnością, że nie jest morderczynią.

- Lady Gisele, nie po to przysłał cię do mnie twój ojciec, byś dała się zwabić do przygodnej łóżnicy i utraciła część niewieścią.

Gisele spłonęła rumieńcem. Spuściła oczy.

- Nie, miłościwa pani.

- A co do ciebie, lordzie de Balleroy, to jestem przykro zaskoczona, że zdecydowałaś się wykorzystać taką niewinną dziewczynę do nasycenia swych żądz.

- Jak najdalszy byłem od uchybienia jej godności, miłościwa pani. - Zanim przerwało im walenie do drzwi, Brys zamierzał wyznać Gisele miłość, teraz jednak nie wiedział, co tak naprawdę do niej czuje. Postanowił zawiesić rozstrzygnięcie do momentu, gdy znajdą się sami i Gisele wyjaśni mu, co się kryje za tymi dziwnymi wydarzeniami.

- Czerpię z twoich słów pewną pociechę. Należy dbać o godność niewiasty, która z damy serca niebawem stanie się małżonką.

- Małżonką?! - wyrwało się Brysowi, przy czym zauważył, że Gisele jest nie mniej od niego zdumiona.

Królowa skinęła głową.

- Wasze małżeństwo jest już przesądzone. Lady Gisele de l'Aigle, która przybyła na nasz dwór niewinną panną, dzisiejszej nocy została znaleziona w twoim łóżu, tym samym wystawiłaś jej honor na szwank. Natychmiast trzeba

temu zaradzić, a można uczynić to tylko poprzez ślub. Udzielony on wam zostanie jeszcze tej nocy, gdy tylko panna odpowiednio się przygotowuje.

- Ale kaplica, miłościwa pani... - wyrzucił z siebie Talford, który wydawał się równie porażony błyskawicznym biegiem spraw jak Brys i Gisele.

- Masz rację, kaplica się nie nadaje, ślub odbędzie się więc w kościele. Idź i obudź mojego kapłana, niech za godzinę czeka przy głównym ołtarzu.

Marszałek dworu ukłonił się i opuścił komnatę.

- Ale... - zaczęła Gisele, lecz Matylda przerwała jej.

- Żadne z was nie jest zaręczone, prawda?

Brys i Gisele potrząsnęli głowami.

- Poślubisz lorda de Balleroya, lady Gisele. Zakładam, że wiąza cię z nim jakieś uczucie, inaczej nie byłoby cię tutaj. Wiele niewiast poznaje swoich mężów dopiero na ślubnym kobiercu, a wy jesteście w lepszej sytuacji, bo już się znacie. Ja zaś nie będę wysłuchiwała zarzutów, że na moim dworze praktykuje się uwodzenie dziewczyn.

- Będzie, jak sobie zyczysz, miłościwa pani - westchnęła Gisele.

- Mój panie, masz wyjść na korytarz, gdy twoja przyszła żona będzie się ubierać. Potem lady Gisele przejdzie do swojej komnaty, gdzie inne damy przygotowują do zaślubin. Nie omieszkaj być już w kościele, gdy panna młoda się pojawi. Pamiętajcie też, że obowiązuje was spowiedź, nie możecie zacząć, nowego życia ze zmazą grzechu pożądlivosti na swych duszach.

Brys kiwnął głową na znak zgody. Był ogłuszony jak po upadku z dużej wysokości. Za godzinę będzie mężem

lady Gisele de l'Aigle. Przez tę godzinę jednak mają się nie widzieć, a więc nie będą mieć sposobności porozmawiania ze sobą i wyjaśnienia wielu spraw. Weźmie ją za żonę, nie wiedząc, co ona myśli o nim i dlaczego zdecydowała się szukać schronienia w jego łóżu.

scandalous

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Godzinę później Gisele stała przed głównym ołtarzem, drżąc z zimna w swojej strojnej sukni.

- Normalną rzeczy koleją ślub może być udzielony dopiero po trzykrotnie ogłoszonych zapowiedziach, każda w odstępie tygodniowym - oświadczył kapłan. - Lecz miłosciwej pani - tu lekko skłonił głowę w kierunku stojącej razem z młodą parą Matyldy - udało się mnie przekonać, że zwłoka nie jest wskazana i należy natychmiast połączyć tych dwoje sakramentem małżeństwa, co niniejszym czynimy.

Gisele, zerkającej od czasu do czasu na Brysa, wydawał się on zupełnie obcym człowiekiem. Nie sposób było wyczytać niczego z jego twarzy, oświetlonej blaskiem świec. Czy podejrzewał ją o rozmyślnie schwytanie go w pułapkę małżeństwa, gdy wszystko, na co miał ochotę, to jedna lub kilka miłosnych nocy? Kto wie, może czuł do niej teraz urazę i nienawiść za te pęta, które nałożyła nań na całe nieszczęśliwe życie. Na pewno nie uwierzy jej, że pokochała go już dawno temu, chociaż postanowiła pozostać w wolnym stanie!

Boże, o ileż prościej byłoby, gdyby znalazła w sobie dość odwagi, by oskarżyć de Mandeville'a o morderstwo. Gdyby była mężczyzną, wyzwałaby go na pojedynek i los

by pokazał, kto jest winny śmiertelnego grzechu zabójstwa. Ponieważ jednak była kobieta, mogła przeciwstawić mu tylko swoje słowo, a kto uwierzy dziewczynie, mając potwierdzone przysięgą świadectwo potężnego barona?

Tymczasem stała obok mężczyzny, którego uroda jaśniała w tej chwili pełnym blaskiem. Tunika, którą miał na sobie, harmonizowała zielenią z jego kasztanowatymi włosami i brązowymi oczyma. Kołnierz, rękawy i dół tuniki obszyte były złocistą pasmanterią. Wyglądał okazale i młodzieńczo.

Podczas gdy łacińskie słowa ceremonii rozchodziły się po kościele, ginąc w bocznych nawach, Gisele wróciła pamięcią do wydarzeń w komnacie Brysa. Szczęśliwie earl nie zażądał pokazania sukni, którą tego wieczoru miała na sobie. Zapewne już wcześniej opisał królowej jej krój i kolor, zaś potwierdzający dowód skłoniłby Matyldę do przywiązania większej wagi do jego słów. Atak skończyło się na tym, że Geoffrey de Mandeville wyszedł jak niepyśzny. Właściwie nikogo nie przekonał do swojej wersji wydarzeń, a nadto wzbudził podejrzenia.

Szcście jej dopisało również w tym, że upuściła modlitewnik. Gdyby miała go przy sobie, byłby to niezbity dowód jej obecności w kaplicy, a także przesłanka, że jednak mogła dopuścić się zabójstwa. Och, jakże trudno udowodnić prawdę! Jak przekonać innych, że była jedynym świadkiem morderstwa, sprawcą zaś faworyt królowej?

Usiłowała wyobrazić sobie reakcję ojca na wieść o jej zamążpójściu. Na pewno ucieszy go, że jego zięć jest baronem posiadającym włości w Normandii i Anglii i że po-

piera królową w jej dążeniu do objęcia tronu Anglii. Było jednak również pewne, że nie poświęci ani chwili myśli, czy jego córka jest szczęśliwa w małżeństwie i czy męż ją kocha.

Fleurette właśnie to uważałaby za rzecz najważniejszą. Od śmierci matki tylko jej stara niania troszczyła się o jej szczęście i na pewno polubiłaby Brysa de Bałleroya, bo trudno było go nie darzyć sympatią. Z całego serca powinszowałaby Gisele, że znalazła sobie na męża dzielnego i silnego mężczyznę.

Wszystko byłoby inaczej, gdyby Fleurette była tu razem z nią. Jednak gdyby nie ten napad w lesie, w rezultacie którego zginęła jej stara niania, czy w ogóle ona, Gisele, kiedykolwiek spotkałaby Brysa de Bałleroya?

Lady Gosette i lady Aubine, stojące po lewej stronie pary młodej, były tymi spośród dam, które przygotowywały Gisele do uroczystości zaślubin. Ich zdaniem żadna z sukien będących w jej posiadaniu, a miała raptem dwie, nie nadawała się na tę uroczystość.

- Jaka szkoda, że ten kupiony ci w prezencie przez de Bałleroya jedwab jest tylko zwojem materiału, a nie gotową suknią - zauważyła Cosette. - Bardzo byłoby ci w niej do twarzy. Ale trudno, musimy się zadowolić tym, co mamy. Całe szczęście, Gisele, że jesteś tego samego wzrostu i tuszy co ja. Pomyślałam właśnie o jednej mojej sukni... poczekaj, za chwilę będę z powrotem - rzuciła i już jej nie było.

- Nie rozumiem, dlaczego ślub musi odbywać się w nocy - narzekała Aubine. - Kto słyszał, by niewiasta szła do ślubu bez stosownych ablucji i zachowania całego ce-

remoniału! Pozostaje mieć nadzieję, że jesteś w miarę czy-
sta - dodała, obwąchując Gisele niczym właścicielka pi-
wiarni swe świeżo uwarzone piwo.

Cosette niebawem wróciła, niosąc suknię w kolorze
wierzbowych liści w czas wiosny. Srebrzysty haft otaczał
dekolt i tym samym haftem zdobiony był pasek. Przynios-
ła ponadto welon z gazy, przymocowany do srebrnej opa-
ski.

- Tak, wreszcie ta suknia komuś się przyda. Ja nie mia-
łam jej na sobie ani razu, nie byłam do niej przekonana.
Ty zaś wyglądasz prześlicznie. - Patrzyła na Gisele ze
szczerym podziwem. - A teraz nie marnujmy czasu, trzeba
coś zrobić z twoimi włosami. Twój oblubieniec już pewnie
czeka przed ołtarzem, niecierpliwy i spragniony!

- Ze słów królowej mogłam wywnioskować, że nasz lord
de Balleroy uczynił ją już swoją żoną - wtrąciła Aubine we
właściwy sobie zgryźliwy i cierpki sposób.

- Uciszyć się, Aubine! W tej chwili nie ma to najmniej-
szego znaczenia - upomniała przyjaciółkę Cosette. - Je-
żeli nawet cokolwiek się pospieszyli, i tak ich związek
niebawem zostanie pobłogosławiony i zyska powszechną
akceptację. Gorąca miłość pokonuje czasem bariery oby-
czaju.

Słuchając tych uwag i komentarzy, Gisele rumieniła
się, nie ze wstydu jednak, tylko z powodu sprzeczności
pomiędzy pozorem a prawdą. Brys nie kocha jej. Nie mia-
ła z jego strony ani jednego sygnału, iż darzy ją głębszym
uczuciem. Mogła co najwyżej powiedzieć, że był wobec
niej troskliwy i rycerski... no i że lubi ją całować.

Z zamyślenia wyrwał ją głos kapłana:

- Lady Gisele, zjrzyj w głąb swojego serca i odpowiedz: tak lub nie. Czy chcesz, żeby lord Brys de Balleroy stał się twoim poślubionym małżonkiem, któremu winna będziesz miłość, uczciwość małżeńską i posłuszeństwo aż do śmierci?

- Tak, chcę - odparła, czując falę gorąca na szyi i policzkach i zastanawiając się, jak to się stało, że inna fala, fala losu, rzuciła ją, niewielką drobinę, przed ten ołtarz. Ośmieliła się spojrzeć na Brysa. Patrzył na nią z wyrazem jakby rozbawienia na twarzy. Nie zobaczyła pogardy w jego oczach, czego najbardziej się obawiała. Była tak przejęta, że nawet nie słyszała przysięgi de Balleroya. Musiał jednak ją złożyć, gdyż właśnie wsuwał na jej palec pierścionek, którego kształt i wzór ginął dla niej za zasłoną z łoża.

Już świtało, gdy wstali od stołu. Skromne weselne przyjęcie odbyło się w apartamentach królowej. Następnie Brys został odprowadzony przez Matyldę i jej marszałka dworu do swojej komnaty. Gisele udała się tam już wcześniej w towarzystwie Cosette i Aubine.

Normalnie zgodnie z obyczajem pana młodego odprowadzają do łożnicy, gdzie już czeka nań oblubienica, podpici i prześcigający się w sprośnych żartach weselni goście. Tym razem było inaczej i Gisele była za to wdzięczna losowi. Skrajnie wyczerpana wydarzeniami nocy, z nerwami napiętymi niczym struny lutni, nie zniosłaby grubych aluzji i hałaśliwych śmiechów.

- Mój panie, tym razem obiecuję, że nikt wam nie przeszkodzi! - dobiegły ją z korytarza słowa Matyldy. -

Oczywiście, nie spodziewamy się widzieć was wcześniej niż na wieczerzy, o ile taka będzie wasza wola - dodała królowa wesołym głosem, wpychając Brysa do środka. - A teraz idź i postaraj się uszczęśliwić swoją małżonkę.

Aubine i Cosette stanęły przy łożu, zakrywając Gisele przed oczyma Brysa.

- Gisele?

Wtedy dopiero, jakby to pytające zawołanie było kluczem otwierającym furtkę, damy rozstały się, odsłaniając oblubienicę panu młodemu. Siedziała oparta o poduszki, a wpadające przez wąskie okno światło poranka zalewało ją swoją mleczną jasnością. Mimo że ubrana w nocną koszulę, czuła się obnażona, tak przezroczyście był materiał. Włosy miała rozpuszczone i tylko one cokolwiek jeszcze zasłaniały.

Patrzył na nią jak na zjawisko. Chłonał oczyma jej kuszącą urodę, a im dłużej spoglądał, tym większego doświadczał nienasycenia. Poszła za jego wzrokiem i zobaczyła poprzez cienki materiał ciemniejsze plamy sutek. Zarumieniła się i włosami zasłoniła piersi. Było to śmieszne i niepotrzebne, lecz działała impulsywnie, choć przecież on już widział jej piersi, a nawet je pieścił. A teraz jako jej mąż miał prawo poznać każdy skrawek jej ciała. Była jego własnością.

- Czas na nas - szepnęła lady Aubine, ciągnąc towarzyszkę za rękaw.

Cosette, zgadzając się z tym w całej rozciągłości, obdarzyła młodą parę prawdziwie macierzyńskim uśmiechem.

- Tak, myślę, że należy teraz zostawić ich samych - wydała z siebie radosny trel, wciąż się uśmiechając. -

Niech najbliższe chwile uczynią cię szczęśliwą, droga Gisele - powiedziała i czule pocałowała ją w czoło.

Dziewczynę ogarnęło wzruszenie. Zdało się jej, że odnalazła na tym świecie siostrzaną duszę.

Damy odeszły i w komnacie zapanowało milczenie.

Nowożeńcy długo patrzyli na siebie.

- Mój panie - pierwsza odezwała się Gisele, ale zaraz musiała przerwać, gdyż Brys podszedł do okna i zamknął okiennice. Dzień zgasł, pokój utonął w półmroku.

- Moja droga małżonko, myślę, że winna mi jesteś pewne wyjaśnienie - rzekł Brys, wspierając się łokciami na oparciu krzesła.

Wzięła głęboki oddech.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało. Nie zamierałam obarczać cię moimi kłopotami.

- A jednak obarczyłaś mnie nimi, choć wciąż nic prawie nie wiem o ciężarze, który dźwigam. Ależ ze mnie głupiec! Gdy po obudzeniu ujrzałem cię, pomyślałem, że przyszłaś do mnie, bo zapragnęłaś się ze mną kochać. Tymczasem okazało się, że w moim łóżu szukałaś schronienia i obrony przed oskarżeniem o morderstwo! - Oczy płonęły mu gniewem.

- Nie zabiłam tego człowieka...

- Bardzom z tego rad - rzekł lodowatym tonem.

Przesłoniła oczy rękami. Nie chciała, by widział, że płacze.

- Wiem, że zasłużyłam sobie na twój gniew, panie. Godzę się z tym. Chcę jednak, żebyś poznał szczegóły. - Kilka razy głęboko odetchnęła, co dało jej siłę i odwagę, by spojrzeć na Brysa. - Jak już powiedziałam, nie zabiłam

tego człowieka, jednak byłam świadkiem jego śmierci. Mordercą jest Geoffrey de Mandeville, mój panie.

Zaniknął na chwilę oczy. Miał tedy potwierdzenie swoich podejrzeń.

- Ale z jakiego powodu?

Wzruszyła ramionami.

- Mogę tylko zgadywać ze słów, które podsłuchałam. Spełniając polecenie królowej, udałam się do kaplicy po modlitewnik. Tam zwrócił moją uwagę jakiś szmer, a potem usłyszałam głosy. Zobaczyłam earla i tego człowieka, wyglądał na rajcę albo nawet na burmistrza. Nie dostrzegli mnie, tylko się sprzeczali. W pewnym momencie mieszczanin zagroził earlowi zdemaskowaniem. „Skoro uważasz, że możesz sprzedać Londyn temu, kto zaproponuje najbardziej korzystną cenę”, tak powiedział. Wtedy earl ugodził go sztyletem.

Brys zeszytniał, co nie uszło uwagi Gisele.

- „Skoro uważasz, że możesz sprzedać Londyn temu, kto zaproponuje najbardziej korzystną cenę” - powtórzył. -I po tych właśnie słowach earl sięgnął po sztylet? - Było coś w jego głosie i spojrzeniu, co czyniło go w tej chwili bardzo niebezpiecznym.

Skinęła głową.

- I co wydarzyło się potem?

- Stałam schowana za kolumną, licząc na to, że earl mnie nie zauważy, jednak tak się przeraziłam, że modlitewnik wysunął mi się z ręki i upadł na posadzkę. To zwróciło uwagę de Mandeville'a. Wiedział już, że ktoś był świadkiem jego zbrodniczego czynu. Rzuciłam się do ucieczki, Brys... - Już nie mogła powstrzymywać łez. Ożyły w jej wyobraźni

tamte chwile, gdy biegła co sił w nogach, walcząc o życie. Każdy oddech wydawał się jej ostatnim. Czuła na karku tchnienie kata.

- To rozumiałe, że nie chciał pozostawić przy życiu świadka swej zbrodni. Gdyby mnie dogonił, już bym nie żyła. - Ukryła twarz w dłoniach.

Usłyszała szelest sitowia. Brys szedł ku niej, potem usiadł na łóżku i objął ją silnym ramieniem. Teraz dopiero jej szloch przemienił się w łkanie.

- Wyobrażam sobie, jak bardzo musiałaś być przerażona, moja biedna Gisele...

Złożyła głowę na jego ramieniu, niezdolna powiedzieć ani jednego słowa. Tamten strach jednak minął i powoli odzyskiwała panowanie nad sobą.

- Pomyślałam, że jeśli zamknę się w moim pokoju, to on wyważy drzwi i zabije mnie, lub też odda mnie straży pod zarzutem morderstwa. Wtedy byłabym zgubiona, albowiem nie udałoby mi się odeprzeć oskarżenia. Nie wiedziałam jednak, czy rozpoznał mnie, dlatego pomyślałam...

- Że najlepiej będzie schronić się u mnie pod pretekstem miłosnej nocy - dokończył za nią z wyrazem gorzkiego zrozumienia na twarzy. - Wtedy postronnym świadkom trudno byłoby uwierzyć, że byłaś równocześnie w dwóch miejscach: w łóżku ze mną i w kaplicy, by zabrać modlitewnik. - Odchrząknął. - Podziwiam twoją zdolność logicznego myślenia, moja żono. Wiele kobiet mogłoby pozazdrościć ci przytomności umysłu.

Nie ucieszyła jej bynajmniej ta pochwała, wciąż bowiem gnębiło ją poczucie winy.

- Lepiej by się stało, gdyby mnie tam zamordował. Nie byłbyś teraz obarczony żoną, której nie chcesz.

Wzdrygnął się, poderwał na nogi i kilka razy przeczeszał palcami włosy. Zdawał się szukać odpowiednich słów. Wreszcie opadł przy łóżku na kolana i wziął ją za rękę.

- Gisele, nie mów o śmierci. Czy nie domyślasz się, że gotów byłbym walczyć z całym światem, by obronić cię przed oskarżeniem o morderstwo?

Słyszała w jego głosie udrękę i żal, ale było tam coś jeszcze, jakby nuta miłości do niej. Poczowała się wzruszona. Łzy znowu napłynęły jej do oczu.

- Nie wiedziałam, czy jesteś w swoim pokoju - powiedziała. - Liczyłam się również z tym, że wróciłeś do Londynu w sprawach, o których nie mam nawet wyobrażenia. Gdyby cię nie było, de Mandeville w końcu by mnie dopadł.

Kiwnął głową.

- Widocznie pisane mi było cię uratować. Szkoda tylko, że nie powiedziałaś mi...

Zamilkł, lecz jej nietrudno było się domyślić, jakiego to słowa nie dopowiedział. Słowem tym była „prawda”.

- Wiem, że powinnam była, i bardzo tego żałuję. - Kiedy zaś wstał i puścił jej rękę, targnął nią niepokój. - Dokąd idziesz, Brys?

- Powiadomić królową, że mordercą jest de Mandeville. Trzeba bezzwłocznie go aresztować. Będę twoim szermierzem, Gisele, jeśli zażąda, by prawda rozstrzygnęła się w pojedynku.

Nagle zlekła się o niego i zacisnęła dłoń na jego nadgarstku.

- Och, Brys, bądź ostrożny... - Nie obawiała się, że

earl pokona jej rycerza w uczciwej walce, lecz de Mandeville był człowiekiem podstępny i nigdy nie kierował się zasadami honoru.

Brys uwolnił się z jej uścisku, czyniąc to możliwie delikatnie.

- Nie ma chwili do stracenia, już zresztą może być za późno. Nie zapomnij zasunąć rygla - rzekł i ruszył ku drzwiom.

- Ale wrócisz, prawda?

Potwierdził skinieniem głowy, lecz nie zatrzymał się i nie spojrzał na nią. Uczyniła, jak przykazał - zabezpieczyła drzwi od środka. Następnie otworzyła okiennice, by przegnać z komnaty cienie strachu. Gdy zaś z powrotem znalazła się w łóżku, zaczęła odmawiać modlitwę, z postanowieniem, że bę"dzie modliła się aż do powrotu męża.

Spała tak głęboko, że minęła dłuższa chwila, zanim oprzytomniała. Do drzwi ktoś gwałtownie się dobijał. Gisele wreszcie uświadomiła sobie, gdzie jest i co się stało. Pokój tonął w słońcu.

- To ja, Gisele. Otwórz drzwi - wołał na korytarzu Brys. Wyskoczyła z łóżka i odsunęła rygiel.

- Czy już jest pod strażą? - spytała, obrzucając Brysa uważnym spojrzeniem. Szukała ran, lecz ich nie spostrzegła.

Potrząsnął głową. Na jego twarzy malował się zawód.

- Obszukaliśmy cały pałac, zajrzeliśmy do każdego zakamarka. Uciekł, szczywany lis. Matylda wysłała pościg. Zbrojne oddziały udały się w różnych kierunkach. Najbliższy szuka go już w Londynie.

Poczuła równocześnie ulgę i strach. Brys na razie był bezpieczny. Nie musiał już stawać do pojedynku z de Mandeville'em, skoro earl swoją ucieczką sam przyznał się do winy. Niestety jej wróg był na wolności, a jako człek mściwy i pozbawiony zasad moralnych stanowił ogromne zagrożenie.

- Idę - rzekł niespodziewanie Brys. - Przyszedłem jedynie powiadomić cię o sytuacji.

Zauważyła, że mimo pozorów ożywienia jest bardzo wyczerpany.

- Zostań ze mną, mój panie - poprosiła, wracając do łóża i siadając na sienniku.

Zmrużył oczy.

- Nie, Gisele. To nie jest odpowiednia chwila...

Potrząsnęła głową.

- Miałam tylko na myśli, że trzeba ci wypoczynku. Proszę, prześpij się chociaż godzinę.

Spojrzał na nią badawczo, lecz w końcu poszedł za jej radą. W ubraniu, ściągawszy jedynie buty, wyciągnął się na pościeli i nic nie wskazywało na to, że pragnie przytulić ją do siebie.

To ona tego pragnęła. W wyobraźni widziała siebie otoczoną jego ramieniem, z głową złożoną na jego torsie. Po kilku minutach Brys zasnął, o czym świadczył jego regularny oddech. Gisele już nie myślała o swoich pragnieniach, tylko po prostu cieszyła się, że mąż jest przy niej.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kiedy się obudziła, jego już nie było. Nie czuła się tym specjalnie zaskoczona, ostatecznie ich związek był bardzo osobliwy. Nie oczekiwała od Brysa, że będzie odgrywał rolę zakochanego po uszy nowożeńca.

Sądząc z ukośnie padających promieni słonecznych, było już późne popołudnie. Niebawem nastanie pora wieczerzy. Nie wiedziała jeszcze, czy zejdzie razem z Brysem do wielkiego holu, czy też może posiłek przyniesiony im zostanie do pokoju. Z tych możliwości stanowczo wolała drugą. Nie chciała wystawiać się na ciekawskie spojrzenia dworzan. Wszyscy spodziewali się ujrzeć czule gruchającą parę, a tymczasem rzeczywistość była zdecydowanie inna. Spożywając wieczerzę w komnacie, uchodziliby jednak za szczęśliwych nowożeńców.

Tak czy inaczej Brys w końcu powróci, ona zaś nie chciała powitać go z rozczochranymi włosami i zapuchniętymi od snu oczyma. Nalała więc wody z dzbanka do miednicy i umyła się, a następnie zaczęła czesać.

Wtem rozległo się pukanie do drzwi.

- Kto tam? - spytała głosem, któremu starała się nadać spokojne brzmienie.

- De Balleroy.

Otworzyła mu z bijącym sercem, ciekawa jego nastroju.

- Och, to dobrze, że jesteś już na nogach - rzekł, obrzuciwszy ją krótkim spojrzeniem. Wciąż wyglądała na zmęczonego, choć może źródłem tego wrażenia był tylko całodobowy zarost. - Ja też muszę doprowadzić się do porządku, zanim wezwą nas na wieczerzę.

- Ale myślałam... Królowa powiedziała, że dzisiaj gotowa jest usprawiedliwić naszą nieobecność - rzekła z wahaniem.

- Wieczorem wydany będzie bankiet na cześć świętego Jana. Ta noc jest szczególna i myślę, że powinniśmy dołączyć do innych. Tym razem przy stołach będzie sporo wolnych miejsc. De Mandeville uciekł, biskup gdzieś się zapodział, znikło też pół tuzina pomniejszych baronów. Bóg jeden wie, gdzie się zawieruszyli i dlaczego.

Kiwnęła głową na znak zgody, mimo że w sercu utkwili jej cierni. Wróciła do rozczesywania włosów. Brys był jej mężem. Winna mu była posłuszeństwo.

Tym razem, witając dworzan w wielkim holu, królowa zdawała się odprężona i w jak najlepszym nastroju.

- Oto za chwilę będziemy mieć przedsmak uczyty koronacyjnej - rzekła, wskazując władczy gestem na stoły uginające się od potraw. - Jedzcie i pijcie i niech wam te boże dary pójdą na zdrowie. Potem do późnej nocy będziemy się bawić i weselić. A nie zapomnijcie powinszować lordowi de Balleroyowi i jego pięknej małżonce, lady Gisele, którym ten dzień przypadł jako noc poślubna wraz z jej szczęśliwością.

Brys uśmiechnął się zdawkowo, lecz objął zapłonioną Gi-

sele i pozdrawiał tych, którzy uśmiechami i okrzykami życzyli szczęścia młodej parze. Słowem, dobrze odgrywał rolę szczęśliwego i dumnego nowożeńca. Gisele była mu wdzięczna za tę grę pozorów, gdyż chroniło ją to przed upokorzeniem. Być może przez jakiś czas uda im się wytrzymać w tej roli. Każde na swój sposób będzie służyło królowej, a nocą wracało do zimnego łoża, jak to miało miejsce dzisiaj. Następnie, po kilku tygodniach czy miesiącach, być może zabierze ją do któregoś z zamków, tego w Normandii lub tego w Anglii. Tam już pozostanie, sama, chyba że Brys zechce, by urodziła mu potomka. A kiedy już spełni obowiązek żony, pewnie przestanie mu być potrzebna.

- Teraz czas na modlitwę - oświadczył kapelan i przystąpił do swych powinności.

Biesiadnicy zabierali się właśnie do jedzenia, gdy przez otwarte okna dotarło do ich uszu dalekie bicie dzwonów. Dzwoniły powoli i jednostajnie, ale jakby za długo. Nagle goście uświadomili sobie, że te dzwony bynajmniej nie wzywają wiernych na nabożeństwo.

- Co tam może się dziać? - spytała królowa z nutą niepokojem w głosie. - Czyżby dzwony biły na trwogę? A może to ta piekielnica żona Stefana na czele swych Flamandczyków szturmuje Londyn? Talford, niech ktoś się dowie, o co tu chodzi.

Zanim jednak marszałek dworu zdążył opuścić hol, wpadł zdyszany sługa.

- Najjaśniejsza pani, przynoszę wiadomość od kapitała oddziału, który dostał rozkaz szukania earla w mieście. Cały Londyn maszeruje na Westminster, a każdy jest uzbrojony w to, co wpadło mu w ręce! Idzie ich tak wielu,

że chyba zostawią tu jedną ruinę! Jesteś w śmiertelnym niebezpieczeństwie, królowo! Trzeba uciekać!

Z twarzy Matyldy odpłynęła cała krew. Poderwała się na nogi.

- Nie! Mamy uciekać jak zające? Jak śmieli obrócić się przeciwko swej prawowitej królowej? Robert - zwróciła się do przyrodniego brata, księcia Gloucester - zbierz naszych zbrojnych i daj nauczkę temu motłochowi! Talford, każ zamknąć wszystkie bramy! De Balleroy...

Przerwała, gdyż książe położył dłoń na jej ramieniu.

- Siostrze, nie mamy dość wojska, by przeciwstawić się pospólstwu! Oddziały, które wysłałaś w pościgu za de Mandeville'em, jeszcze nie wróciły, a nawet gdybyśmy je tutaj mieli, wciąż nasze siły byłyby za szczupłe! Nie! Czas, który jeszcze mamy, musimy wykorzystać na opuszczenie tego miejsca. Idzie przede wszystkim o ocalenie królowej Anglii!

Wszyscy obecni w wielkim holu baronowie, łącznie z ząsepionym Brysem, zgodzili się z tym stanowiskiem.

Matylda jednak nie ustępowała. Tłumaczyła zebranim, że jeśli raz pozwoli przepędzić się tłuszczy, stworzy tym niebezpieczny precedens i już nigdy, nawet gdy uda się jej wrócić, nie będzie pewna jutra. Tupała i upierała się, że woli raczej zginąć niż uciekać jak tchórz, gdy jednak nikt jej nie poparł, rozplakała się.

- Dobrze! - rzekła zmęczonym głosem. - Przenosimy się do Oxfordu. Lecz tylko na jakiś czas, zapamiętajcie to sobie. Talford, każ zaprzęgać i siodłać konie. Ci, którzy jadą ze mną, niech zastanowią się, jakie rzeczy będą im niezbędne. Pośpieszcie się!

Brys już chwycił Gisele za rękę i pociągnął ją ku wyj-

ściu. Rozpętało się istne pandemonium. W mgnieniu oka hol opustoszał, a na stołach zostały nietknięte potrawy.

Gisele na chwilę wpadła do swojej komnaty, by zabrać tę garstkę ubrań, która jej pozostała. Gdy wróciła do Brysa, stwierdziła, że ciska on na rozpostarty na łóżku płaszcz wszystko to, czego nie chciałby stracić. Dorzuciła do jego rzeczy swoje dwie suknie.

Spojrzał na nią i wyprostował się.

- Gisele, będę cię chronił, przysięgam. Pierwej sam umrę, niż pozwolę cię skrzywdzić.

Łzy stanęły jej w oczach. Patrzyła z wdzięcznością na jego poważną twarz. Został zmuszony do ożenku z nią, a jednak mówił jak człowiek pełen miłości. Boże, kogo ona właściwie poślubiła?

- Fatalnie się stało, że Maislin jest akurat w Bristolu
- rzekł. - Dałbym wiele, by móc wysłać go z tobą do Tichenden.

- Ale jak Maislin cię odnajdzie, skoro wyjeżdżamy?
- zapytała.

Brys nieznacznie się uśmiechnął.

- Nie martw się o niego, potrafi odnaleźć igłę w stogu siana. Poza tym chyba nie będzie mu trudno się dowiedzieć, że dwór przeniósł się do Oxfordu, myślę więc, że odpocząwszy w moim domu w Londynie, ruszy prosto tam.

Nie wiedziała, że ma dom w Londynie. Czego jeszcze nie wiedziała o swoim mężu? Jeśli zaś chodzi o Maislina, to istotnie nie obawiała się o niego.

- Trzeba być więcej niż głupcem, by zdrzeć z takim olbrzymem - powiedziała i uśmiechnęła się.

Nie minęła godzina, a całe otoczenie królowej siedziało już na koniach i orszak mszył gościńcem wiodącym do Oxfordu. Tam miano zastanowić się, jak odzyskać Londyn.

Na pierwszym rozdrożu Matylda wezwała do siebie Brysa i Gisele.

- Mój panie - rzekła - jak sądzisz, czy żona Stefana nadal traktuje cię jak sojusznika?

Gisele zarumieniła się, a chcąc ukryć zmieszanie, poklepała po szyi swojego wierzchowca. Brys przyjmowany był w obozie wroga jako sojusznik?

- Miłościwa pani, wszystko zależy od tego, czy Geoffrey de Mandeville po ucieczce z pałacu udał się wprost do Matyldy z Boulogne - odparł Brys. - Jeżeli tak, to bez wątpienia nie omieszkał jej donieść, że zaliczam się do twoich baronów, i tamta strona już wie, komu winny jestem lojalność oraz wierną służbę. Earl jednak mógł schronić się gdzie indziej. Jest to mniej prawdopodobne, lecz nie sposób tego wykluczyć.

A więc Brys szpiegował wśród stronników Stefana! To tłumaczyło jego tajemniczy sposób bycia i różne niedopowiedzenia. Gisele nie uspokoi się jednak, dopóki nie pozna całej prawdy.

Matylda popadła w zadumę, lecz wyrwał ją z zamyślenia niecierpliwy ruch jej narowistego konia.

- De Mandeville jako morderca jest człowiekiem wyjętym spod prawa, a choć stronnicy Stefana to nasi wrogowie, nie są to złoczyńcy i bandyci. Poza tym problem panowania nie jest jeszcze rozstrzygnięty w tym kraju. Earl musi to sobie uświadamiać i dlatego myślę, że posta-

nowił przeczekać w jakiejś kryjówce. Oczywiście, życzy teraz zwycięstwa Stefanowi, gdyż wie, że nie może już liczyć na moją przyjaźń. - Rzuciła okiem na Gisele, po czym ciągnęła: - Brys, chcę, żebyś wroczył do Londynu i zorientował się w sytuacji. Wejź w kontakt ze stronnikami księżnej, poznaj wszystkie ich zamierzenia. Z niecierpliwością będę czekała na ciebie w (Mordzie. Muszę mieć wśród nich kogoś, komu ufają. Bez informacji o przeciwniku czuję się jak ślepiec bez kija.

Gisele z każdym słowem królowej stawała się coraz bardziej niespokojna, aż wreszcie ogarnął ją dojmujący strach. Matylda posyłała Brysa do obozu wroga jedynie na podstawie domysłu, że de Mandeville jest gdzie indziej. A jeśli się myliła?

- Ależ, miłościwa pani, ryzyko z tym związane... - zaczęła, lecz nie dokończyła, gdyż Brys powstrzymał ją uniesieniem ręki.

- Podejmę się tej misji, miłościwa pani - rzekł. - Jeżeli de Mandeville nie oczernił mnie jeszcze wśród stronników Stefana...

- A co będzie, jeśli już to zrobił? - spytała Gisele.

- ...to niebawem wrócę z wieściami o przeciwniku - dokończył Brys, jakby Gisele w ogóle się nie odezwała. - Pragnę tylko mieć pewność, że moja żona będzie w Oxfordzie całkowicie bezpieczna.

- Daję ci na to moje słowo - rzekła Matylda. - Możesz mi zaufać, o czym zresztą dobrze wiesz;

Gisele zdecydowała, że nie może być tylko milczącym świadkiem tej rozmowy.

- Miłościwa pani, czyż godzi się oddzielać męża od

świeżo poślubionej małżonki? - odezwała się ze śmiałością, która samą ją zdumiała. - Pragnę pozostać z nim! Oczywiście, za twoim przyzwoleniem, miłościwa pani - dodała śpiesznie, widząc głęboką zmarszczkę między brwiami królowej. - Nie oznacza to, że nie pragnę nadal ci służyć, tylko...

- Dość, moja żono, absolutnie nie wyrażam zgody na ten pomysł - rzekł Brys z pociemniałą z gniewu twarzą.

Królowa jednak, ku zaskoczeniu obydwójga, stanęła po stronie Gisele.

- Nie gniewaj się na nią, Brys. Taka pełna poświęcenia miłość godna jest tylko najwyższej pochwały. A jeśli to nawet tylko rozbudzone w noc poślubną zmysły domagają się zaspokojenia, to i tak najdalsza jestem od rozdzielania kochających się współmałżonków. Możesz pozostać razem z lordem de Balleroyem, lady Gisele. Powrócisz do mnie, gdy uznasz, że jest po temu odpowiednia chwila.

Gisele spojrzała na grupkę dam, które w pewnej odległości oczekiwały na królową, i zadała sobie pytanie, czy kiedykolwiek jeszcze je ujrzy. Była wśród nich również Manette de Mandeville, ponura i milcząca, ale nawet jej zrobiło się Gisele żal. Na drodze do Oxfordu mogły przydarzyć się im jeszcze różne niebezpieczne przygody, zresztą podobnie jak na drodze, którą wybrała w imię miłości do Brysa.

Orszak konny ruszył i niebawem znikł za zakrętem. Wtedy dopiero Gisele ośmieliła się spojrzeć na męża. Serce jej struchlało, gdyż na jego twarzy malował się gniew.

- Co ty w ogóle sobie myślisz? - spytał przez zęby.

- Jak mogłaś w obecności królowej przeciwstawić się mojej woli?

Jednak w jej żyłach też nie płynęła woda.

- Bo nie mogłam się zgodzić, by odkładano mnie na bok jak jakąś niepotrzebną rzecz, mój mężu! - odparta podniesionym głosem. - Jestem przecież twoją żoną! I jeśli zachciało ci się iść w paszczę lwa, bo niby tak wypada rycerzowi...

- To ty, jako moja żona, chcesz dzielić ze mną mój los - dokończył za nią, mrużąc oczy. - Nie jest to przykład rozwagi i mądrości, gdyż w (Mordzie byłabyś dużo bezpieczniejsza.

Dotknęła ją ta krytyka.

- Mój panie, możesz czuć do mnie urazę za to, co uczyniłam ubiegłej nocy, ale...

Po raz kolejny jej przerwał i tym razem wydawał się szczerze zdumiony.

- Wcale nie czuję do ciebie urazy, Gisele. Widzę tylko wszystkie niebezpieczeństwa, jakie łączą się z misją, której się podjąłem. Sam o siebie potrafiłbym zadbać, ale teraz, gdy muszę troszczyć się również o ciebie...

- Mój panie, doprawdy żałuję, że nie jestem mężczyzną. Przez całe życie wytykano mi, że urodziłam się dziewczyną. Może faktycznie pod pewnymi względami nie jestem nic warta, ale naprawdę mogę ci się przydać, gdy niebezpieczeństwa, o których mówimy, staną się realne. - Łzy napłynęły jej do oczu.

- Być może nie uwierzysz mi, Gisele, ale pragnąłem cię od tamtego spotkania w lesie. Powiedziałaś jednak, że chcesz pozostać w stanie wolnym. Zresztą, myślałem, że

nawet gdybyś zmieniła zamiar, to i tak zasługiwałaś na kogoś lepszego ode mnie. - Uciekł spojrzeniem w bok. - Jednak nie mogłem odmówić sobie kupienia ci tych drobiazgów, które wzbudziły na targu twój zachwyt, jak też nie mogłem w ogrodzie zapanować nad swą pożądlivością. Jak widzisz, słaby ze mnie człowiek.

- Uważałeś, że zasługuję na kogoś lepszego od ciebie? - spytała, nie kryjąc zaskoczenia. To po prostu nie mieściło się w głowie! Był mądry, urodziwy i odważny, miał włości w Anglii i w Normandii. Czy opatrność mogłaby ofiarować jej lepszego męża? - A może myślałeś tak z powodu swoich tajnych misji? Pewnie obawiałeś się, że uznam je za niezgodne z zasadami honoru. Myliłeś się. Tylko najodważniejsi mogą sprostać takiemu wyzwaniu.

Wszystko jednak wskazywało na to, że Brys nie ma ochoty ciągnąć tego wątku.

- Być może, Gisele. Teraz jednak musimy jechać. Niebawem zapadnie zmierzch.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Była już głęboka noc, gdy dotarli do West Chepe i zsiadli z koni przed domem o wąskiej fasadzie, wciśniętym pomiędzy sklepem złotnika a sklepem rzeźniczym.

- Wejdz do środka - rzekł Brys, biorąc od Gisele wodze - a ja tymczasem wprowadzę twojego konia do stajni w podwórzu i nasypię mu obroku.

Spojrzała nań ze zdumieniem w oczach.

- Mojego konia? A co z twoim, Brys? Nie zostajesz?

- Po jej skapaniej w świetle księżycy pobladłej twarzy przemknął niepokój.

Niczego bardziej nie pragnął, niż zostać, pokazać jej dom i spędzić z nią tę noc jak mąż z żoną. Lecz jeśli postąpi wedle swoich zachcianek i położy się z Gisele do łóża, to może zasmakować w rozkoszy i odstąpić od obowiązku, a przynajmniej osłabi to jego siły i determinację, uczyni mniej dzielny. Czegoś takiego nie mógł zaryzykować.

- Nie, jadę, by się dowiedzieć, co wydarzyło się w pałacu po naszym wyjeździe i dlaczego londyńczycy odwrócili się od królowej, mimo że to księżna Matylda przy pomocy swych najemnych żołdaków puściła z dymem Southwark. Dobrze byłoby też dowiedzieć się czegoś o de Mandeville'u. Kto wie, może już zdążył zmienić skórę i głosi się teraz stronnikiem Stefana.

Na wzmiankę o earlu Gisele wstrząsnęła się. Nawet nie próbowała ukryć strachu.

- Och, Brys...

- Niczego się nie obawiaj, Gisele - pocieszał ją. - Wtedy w rozmowie z królową rozpatrywałem tylko wszystkie możliwe warianty. Wiele, a nawet wszystko na to wskazuje, że nie uciekł do obozu wroga. To szczwany lis, który poczeka na rozwój wydarzeń. Jest obecnie w bardzo trudnej sytuacji i nie zaryzykuje przejścia na stronę, której zwycięstwo wciąż nie jest pewne. - W istocie wcale nie był o tym przekonany, ale nie chciał pozostawiać Gisele w smutku i trwodze.

Spojrzała przez ramię na ciemne okna domu.

- Czy tam ktoś mieszka? Masz służbę, Brys?

- Nie. Bywam tu rzadko i służba nie jest mi potrzebna. Pewna stara kobieta o imieniu Gytha przychodzi tu co dwa tygodnie, żeby posprzątać, a jej mąż wyrzuca gnój ze stajni. - Nagle spojrzał na uliczkę oczyma Gisele i miejsce to wydało mu się ponure i nieprzyjazne. - Wiesz, jednak wejść na chwilę. Zapalę świece i pokażę ci, co gdzie się znajduje. - I niech wspierają mnie moce anielskie, by udało mi się wyjść nie dotknąwszy ciebie, dodał w myślach.

Rankiem obudził Gisele okrzyk sprzedawcy owoców: „Dojrzałe brzoskwinie z Normandii! Soczyste hiszpańskie pomarańcze!”, zmieszany z turkotem kół na bruku uliczki. Przez szpary w okiennicach wsączało się do wnętrza przygnione światło. Zapragnęła spojrzeć na świat i opuściła wygodne posłanie. Spojrzawszy na niebo, uznała, iż zanośli się na deszcz.

- Brys! - zawołała, odwracając się od okna. Być może powrócił w nocy, a nie chcąc jej budzić, wybrał łożę za ścianą. Nie otrzymała jednak żadnej odpowiedzi, zajrzawszy zaś do sąsiedniej izby, zobaczyła, że nie ma tam nikogo.

Poczuła głód. Ochlapała twarz zimną wodą, ubrała się, zašlała łożko i zeszła na dół w poszukiwaniu jedzenia. Wprędce przekonała się, że w tym domu nie może liczyć nawet na okruszynę chleba, znalazła tylko w świetlicy flaszkę napełnioną do połowy lekkim stołowym winem. To było stanowczo zbyt mało, by uciszyć burczenie w brzuchu.

Do tylnych drzwi ktoś zastukał. Pobiegła, dotykając bosymi stopami zimnej kamiennej posadzki. Przez wąską szczelinę w deskach zobaczyła starą kobietę. Trzymała sporych rozmiarów tobołek. Gisele nawet przez drzwi mogła poczuć cudowny zapach świeżego chleba.

Zwolniła rygiel. Była przeświadczona, że otwiera kobiecie o imieniu Gytha, tej, o której wspomniał wczoraj Brys.

Kobieta powiedziała coś w języku angielskim, czego Gisele nie zrozumiała, dając temu wyraz gestykulacją i mimiką. Wtedy tamta, położywszy tobołek na stole* rozwinęła go i wyłożyła na blat chleb, ser, masło oraz skopek mleka. Dotykając palcem ust, dawała do zrozumienia, że to ma być śniadanie.

Gisele podziękowała, tyleż słowem, co uśmiechem.

- W południe przyniosę zupę - rzekła Gytha w łamanej francuszczyźnie - a Alf wkrótce się zjawi z gorącą wodą. - Gestami przedstawiła kąpiel.

Gisele raz jeszcze jej podziękowała. A zatem Brys za troszczył się o jej potrzeby. Niech Bóg pozwoli mu wrócić szczęśliwie.

Gdy kobieta odeszła, Gisele nie zwlekając odkrajała pajdę chleba i posmarowała ją masłem. Odwijiała właśnie z płócienska ser, gdy pojawił się stary człowiek z nosidłami, na końcach których wisiały kubły z parującą wodą. Miał brzydką twarz i nie zdradzał najmniejszej ochoty do rozmowy.

Godzinę później Gisele siedziała przed kominkiem, syta i odświeżona, i suszyła włosy. Ogień szumiał, polana miło trzaskały. Było jej tak dobrze, że poczuła nawet z tego powodu wyrzuty sumienia. Kto wie, jakim niebezpieczeństwom Brys musi stawiać w tej chwili czoło.

Znowu pukanie do tylnych drzwi. Do południa zostało wprawdzie jeszcze sporo czasu, lecz być może Gytha postanowiła pośpieszyć się z przyniesieniem zupy.

Gisele nie zapomniwała ostrzeżenia Brysa, że Londyn stał się dla stronników królowej niebezpiecznym miastem. Dlatego przed odsunięciem rygla postanowiła sprawdzić, kto to się dobija. Nie ujrzała jednak nikogo, tylko wycinek podwórza z budynkiem stajni w tle.

Dziwne. Być może przesłyszała się. Tak bardzo pragnęła powrotu Brysa, że mogła ulec omamowi. Rozstrzygnawszy, że taka właśnie jest prawda, wróciła do izby z kominkiem.

Pięć minut później stukanie się powtórzyło, jak również cała sytuacja, gdyż za drzwiami znowu nikt nie stał. Tym razem jednak usłyszała tupot nóg i śmiechy. Odsunęła rygiel i wyjrzała na dwór. Puste podwórze.

To pewnie dzieciarnia stroi sobie żarty, przemknęło jej przez głowę. Samej zresztą w dzieciństwie zdarzało się droczyć w ten sposób z drzemiącą smacznie Fleurette.

Teraz, jeśli ponowia żart, pomyślała z chytrym uśmiechem na twarzy, przyłapie ich na gorącym uczynku. Nie

zasunęła rygla i nie wróciła przed kominek suszyć włosy. Czekała oparta o framugę.

O swym zbliżaniu się dały znać chichotami. Otworzyła drzwi jednym szarpnięciem dokładnie w chwili, gdy rozległo się pukanie.

Powitała je z uśmiechem. Lecz im bynajmniej nie było do śmiechu. Z piskiem i krzykiem rzuciły się, dziewczynka i dwóch chłopców, do uciezki. Chwila i znikły za węglem domu.

Wybiegła za nimi. Co nią powodowało? Po trosze chęć zabawy, do której poczuła się zaproszona, po trosze zaś nadzieja na nawiązanie przyjaźni. Nie wiedziała, kiedy wróci Brys, a pragnęła z kimś porozmawiać. Przepadała za kontaktem z dziećmi, choć, oczywiście, nie miała żadnej pewności, czy te urwisy mówią po francusku.

Niestety, przepadły w ulicznym dumie i trzeba było wracać. Dochodziła już do drzwi, gdy usłyszała jakiś ruch za plecami. Zanim zdążyła się odwrócić, opasały ją czyjeś ramiona, a zimne ostrze sztyletu nacisnęło skórę gardła i niemal ją przecięło.

- Bachory śmiesznie łatwo przekupić - usłyszała syk Geoffreya de Mandeville'a.

Zmartwiła, a krew zakrzepła jej w żyłach. W panice rozejrzała się po podwórzu. Próżna nadzieją a! Któż mógłby tu zejść prócz Gythy, ta zaś miała pojawić się dopiero w południe! Na dzieci nie mogła liczyć, de Mandeville na pewno sowicie je wynagrodził za wywabienie jej z domu. Chyba że intuicja podpowiedziała im, iż to zły człowiek i chodzi mu o zrobienie komuś krzywdy. Dzieci potrafią wyczuć fałszywe intencje na milę!

Jakby czytając w jej myślach, warknął jej do ucha:

- Nie wróć. Powiedziałem im, by uciekały, gdzie pieprz rośnie, inaczej zabiorę im szelaga. A teraz - dodał, wracając do sedna sprawy - dobrze byłoby wejść do środka i porozmawiać o celu mojej wizyty.

Gisele bezwolnie skierowała się ku drzwiom, nie miała zresztą wyboru. Najstraszniejsze było to, że wiedziała, co spowodowało do niej de Mandeville'a.

- Jak mnie tu odnalazłeś, panie? - spytała, gdy znaleźli się w domu i earl zamknął już za sobą drzwi. Chciała sprowokować go do rozmowy. Gdy człowiek mówi, wtedy nie robi czegoś naprawdę złego. Poza tym potrzebowała czasu, by znaleźć jakieś wyjście z tej, wydawało się, zupełnie beznadziejnej sytuacji.

Earl nieprzyjemnie zachichotał.

- Och, nietrudno było mi dowiedzieć się o tym azylu de Balleroya, gdzie chroni się czasem po trudach dworskiego życia. Kiedy zaś znikł z pałacu wraz z całą bandą tchórzy, nietrudno było mi zgadnąć, że Matylda wysłała go do Londynu dla zbadania aktualnego stanu rzeczy... i że pewnie nie pojechał sam, tylko ze swoją połowicą.

Dotychczas bała się o siebie, teraz złękła się o tego, którego kochała.

- On tu już nie wróci - skłamała, pragnąc ochronić przynajmniej Brysa, bo sama nie miała prawie żadnych nadziei na ocalenie. - Do poślubienia mnie został zmuszony przez królową, lecz tak naprawdę nie chce mnie znać. Mam tutaj radzić sobie sama.

- Więc twój mały podstęp, dzięki któremu wymknęłaś mi się z rąk, kosztował de Balleroya wolność! - Rozę-

śmiał się, czym wzbudził w Gisele jeszcze większą nienawiść. - Tylko że ty kłamiesz, lady de Balleroy. Ten człowiek jest rycerski aż do przesady i wcale nie aż tak głupi, by porzucić taki smaczny kąsek jak ty - rzekł, gładząc płaską stroną sztyletu jej policzek.

Zebrała całą swoją dzielność, by nie okazać strachu. Nie chciała dawać mu tej satysfakcji.

- Tak, on wróci - powtórzył earl. - Za pewną cenę mogę go oszczędzić.

Zmieszała się tak mocno, że aż łzy stanęły jej w oczach.

- Co masz na myśli, panie?

Wykrzywił wargi w uśmiechu, który zmroził jej duszę.

- Nasz lord prowadzi podwójne życie, nieprawdaż? Uduje stronnika Stefana i brata się z jego zwolennikami, podczas gdy w rzeczywistości jest wiernym sługą Matyldy.

- Kto jak kto, ale ty, panie, nie masz najmniejszego prawa wytykać innym dwulicowości - oburzyła się Gisele. - Na moich oczach z zimną krwią zamordowałeś niewinnego człowieka!

Zmrużył oczy.

- Radziłbym schować pazurki, ty fukająca kotko, bo chcę zaproponować ci układ. Przyniesie korzyść nam obojemu. Taki układ nazywa się kompromisem.

- I czegoż ów kompromis ma dotyczyć? - spytała, chociaż właściwie znała już odpowiedź. Pełen poządliwości wzrok earla, którym ślizgał się po jej ciele, nie pozostawiał Co do tego żadnych wątpliwości.

- Po ucieczce z pałacu zadałem sobie pytanie, które każdy postawiłby na moim miejscu: czy związać swój los z partią Stefana, czy rozpocząć życie niejako na własny

rachunek? Nie rozstrzygnąłem jeszcze tego dylematu, lecz gdy przyjdzie mi połączyć się z królem i jego małżonką, będę musiał zdemaskować de Balleroya jako zdrajcę. Chyba że... - Uczynił gest, który starczał za wszystkie słowa.

- Skoro wierzysz w szczęśliwą gwiazdę Stefana, dlaczego miałbyś zrezygnować, panie, z wkupienia się w jego łaski demaskując Brysa? - spytała głosem nabrzmiałym pogardą.

- Lady de Balleroy, wierzę tylko w swoją szczęśliwą gwiazdę - odparł z cynicznym uśmiechem na wąskich wargach, które przypominały Gisele wypełzłe po deszczu dżdżownice. - Gdy jednak otrzymam od ciebie to, czego od dawna pragnę, będę, moja czarująca lady, milczał jak grób. Stefan i jego małżonka nigdy się nie dowiedzą, kto jest prawdziwym suwerenem de Balleroya. I co ty na to, kochanie? - Jakby przez przypadek ostrze noża osunęło się teraz na jej dyszącą pierś.

Gisele była prawie chora z pogardy i strachu.

- Chcesz, bym zapłaciła za twoje milczenie swoim ciałem?

- Prawda jest taka, że rozporządzasz jego życiem. Od twojej decyzji wszystko zależy. Nie chcesz przystać na moją propozycję, a jeszcze dzisiaj małżonka Stefana i jej notable poznają zdradę de Balleroya, jutro zaś zajmie się nim kat. Okażesz chęć współdziałania, a pozostawię was w spokoju. Odjadę wiedząc, i to byłby ów drugi warunek, że zapomniawsz i nigdy już sobie nie przypomnisz o tamtym przykrym wydarzeniu w kaplicy. Musiałem uciszyć tego przekłętogo mieszczucha. Chciał mi pokrzyżować plany!

- Jesteś diabłem! - zawołała Gisele. - Raczej umrę, niż pozwolę się dotknąć! - I nie namyślając się wiele, splunęła mu w twarz, trafiając śliną w samo oko.

- Ty przeklęta samico! - Uniósł wolną rękę, by się wytrzeć, tracąc tym samym kontrolę nad sztyletem.

Wykorzystując ten krótki moment, Gisele uskoczyła w bok i rzuciła się do ucieczki. Pędziła ku frontowym drzwiom, modląc się w duchu, by starczyło jej czasu na odsunięcie rygla i otworenie drzwi. Ulica była zatłoczona, a przez to dawała jej ochronę.

Dopadł ją w chwili, gdy właśnie poradziła sobie z rygłem, i przewrócił na wysłaną sitowiem posadzkę. Rzucił się na nią niczym zgłodniała bestia, jedną ręką drąc na niej suknię, drugą zaś zatykając jej usta, bo krzyczała. Ona jednak nie zamierzała się poddawać i zatopiła zęby w jego dłoni. Podrwał się ze straszliwym przekleństwem na ustach. Wywinęła się spod niego i zaczęła czołgać, byle dalej od tego diabła w ludzkiej skórze. Wtedy natrafiła dłonią na sztylet, który widocznie wypuścił, rzucając się na nią. I już zaciskała palce na rękojeści, gdy otrzymała silny cios pięścią w szczękę.

Uderzyła głową o coś twardego. Poczowała bezwład w członkach, a spojrzenie zasnuła jakby krwawa chmura. Nie czuła bólu, przerażała ją tylko ta widziana przez mgłę postać pochylonego nad nią mężczyzny, który chciał jej odebrać to, co zamierzała podarować Brysowi.

Wtedy drzwi frontowe otworzyły się z trzaskiem i jakiś niewyraźny kształt, bardziej plama niż coś konkretnego, rzucił się na de Mandeville'a i cisnął nim o ścianę.

- Ty pomioście trędowatej żebraczki! - ryknął earl. - Zaraz skonasz, a ja i tak będę ją miał! - Błyskawicznie schylił się i chwycił leżący na posadzce sztylet.

Był to fatalny błąd. Nie powinien nawet na sekundę odwracać się plecami do rycerza Matyldy. Gdy bowiem się

odwrócił, Brys de Balleroy już trzymał obnażony miecz w ręku. Pchnął. Szeroki brzeszczot utknął między żebrami de Mandeville'a.

Earl jęknął i zwał się z nóg, błysnęły wywrócone białka. Po chwili znieruchomiał.

Brys wyszarpnął miecz z ciała i wytarł okrwawioną głownię o wiszącą na haku szmatę.

Na wszystko to Gisele patrzyła szeroko otwartymi oczami.

- Czy on... - Trudno jej było wypowiedzieć to jedno właściwe słowo.

- Tak, nie żyje - odparł Brys, wciąż dysząc po walce.
- Czy nic ci się nie stało? Nie, zrobił ci krzywdy?

Potrząsnęła głową. Próbowwała się uśmiechnąć, lecz bez rezultatu. Nagle uświadomiła sobie wyraźnie potworność tego, co zaszło. Patrzyła na nieruchome ciało, a łzy zamywały wszystko.

- Zabiłeś go - szepnęła. - Zabiłeś earla Essex! Och, Brys... - Zaszłochała i nowy strach chwycił ją lodowatą dłońią za gardło.

Ukląkł przy niej i przytulił do swej szerokiej piersi.

- Uspokój się. Zabiłem niegodziwca i mordercę, który dybał na twoją cnotę, a gdyby osiągnął cel, bez chwili wahania poderznąłby ci gardło. Nie płacz, wszystko będzie dobrze.

Uspokajał ją i tulił, jakby była dzieckiem. Rozkoszowała się jego ciepłem, gdyż było jej przeraźliwie zimno.

- Walczyłam z nim, Brys... Teraz już cię nie wyda przed stronnikami Stefana... Groził, że to zrobi, jeśli nie będę mu powolna... - Wstrząsnęły nią dreszcze.

Gładził ją po głowie.

- Nie dbam już o to, co ktoś myśli o mnie - tchnął słowami w jej włosy.

- Co? - Cofnęła głowę i spojrzała mu w oczy. Czyżby Brys nie zrozumiał? Śmierć de Mandeville'a była dla niego jakby gładem bezpieczeństwa. Tamci już nie dowiedzą się, że jest szpiegiem.

Winny był jej kilka słów wyjaśnienia. Przycisnął ją mocniej do piersi.

- Tamto już przestało się liczyć. Nie będę już dłużej szpiegował dla Matyldy. Wyjechałem z zadaniem zdobycia informacji i o mało co nie straciłem żony. Coś takiego nie może się już powtórzyć. Zamierzam odwiedzić cię w bezpieczne miejsce, a potem, jeśli Matyldzie będzie zależało na moim mieczu, wyciągnę go z pochwy w jej sprawie. Jeżeli nie... - Wzruszył ramionami.

- Chcesz zabrać mnie do Oxfordu, zwrócić królowej? - spytała.

Potrząsnął głową.

- Nie, tam jest zbyt niebezpiecznie. Stefan zapewne zdecyduje się oblegać Oxford, a ja nie chcę widzieć ciebie przymierającej głodem. Zabieram cię do mojej siostry.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Do twojej siostry? - powtórzyła za nim jak echo. Jej orzechowe oczy wydawały się ogromne na tle bladej twarzy.

- Tak, do Avelaine, która mieszka w Tichenden w North Downs - potwierdził Brys, zastanawiając się, czy Gisele nie zaprotestuje. - Będzie ci tam jak u Pana Boga za piecem, bezpieczniej niż z Matyldą, która niebawem zamieni się w myszkę uciekającą przed kotem Stefanem.

Zdumiała go jej reakcja, zamknęła bowiem oczy i odetchnęła z wielką ulgą. To, co następnie powiedziała, było równie zaskakujące.

- Dzięki Bogu! Myślałam, że zamierzasz odwiedzić mnie do ojca, do Normandii.

- Byłoby to takie straszne? Nie ma lepszego schronienia, jak być pod okiem ojca. W Normandii bez obaw mogłabyś doczekać dnia, aż tutaj sytuacja się wyklaruje.

- To już lepiej zamknij mnie w klasztorze, mój panie.

W porywie czułości przygarnął ją do siebie, bacząc, by nie mogła widzieć leżącego ciała. Z początku wyczuł jej opór, lecz zaraz wtuliła się w niego jak ptak, który wreszcie znalazł gniazdo.

- W ten sposób bylibyśmy rozłączeni, Gisele. Przysięgam, że w żadnej sprawie, która ciebie dotyczy, nie podejmę decyzji bez twojej zgody.

- Dziękuję - szepnęła głosem wciąż pełnym łez.
- A teraz musimy możliwie szybko opuścić ten dom
- powiedział. - Założę się, że w południe, czyli zaraz, Gytha przyniesie coś do jedzenia. Ma nas tu nie być, gdy odnajdzie ciało.

Wstrząsnęła się, co oznaczało, że przynajmniej na chwilę udało się jej zapomnieć o de Mandeville'u. Odchyliła się cokolwiek do tyłu i spojrzała Brysowi prosto w oczy.

- A może powinienes go... pochować?

Wzruszył ramionami.

- Nie możemy zostać tu tak długo, a poza tym nie mam czym wykopać grobu. Zresztą nawet gdybym miał i zdecydował się na pogrzebanie ciała, ryzykowałbym, że Gytha lub ktoś inny mógłby mnie przy tym zobaczyć.

Rzuciła okiem na zastygłą w spazmie bólu twarz de Mandeville'a. Wstrząsnął nią dreszcz.

- Idę na górę spakować rzeczy - rzekła i wbiegła na schody.

Odprowadził ją wzrokiem. Następnie zajął się ciałem. Okręcił je w stare prześcieradła i zaniósł do piwnicy. Nie był to najlepszy pomysł. Miał opuścić swój dom, zostawiając w nim trupa, który już jutro zacznie cuchnąć. Gdyby był jakiś inny sposób rozwiązania tego problemu, wybrałby go. Niestety, nie miał żadnego wyboru.

- Jazda do Tichenden zajmie nam dwa dni, jeśli nie spotkają nas w drodze jakieś przygody - rzekł Brys, gdy już zostawili za sobą Southwark.

Gisele do tej pory zachowywała milczenie. Jadąc uliczkami Londynu, rzucała co jakiś czas na boki ukradkowe

i lękliwe spojrzenia, jakby sprawdzając, czy już ich gonią. A kiedy Brys zatrzymał się na chwilę przed straganem, by kupić coś do jedzenia na drogę, zachowywała się niespokojnie jak kotka osaczona przez sforę psów. Teraz jednak spojrzała na męża i rzekła zadziwiająco opanowanym głosem:

- A gdzie spędzimy noc? Czy też w klasztorze, jak wtedy?

Potrząsnął głową.

- Mam nadzieję, że uda się nam przed zmrokiem dotrzeć do Hawkswell Castle. To zamek i posiadłość mojego przyjaciela, lorda Alaina Hawkswella, i jego żony Claire. Powitają nas z otwartymi ramionami. Obawiam się tylko, że będą nalegać, abyśmy zabawili u nich dłużej.

Spodziewał się, że Gisele obruszy się i nastroszy, i tak też się stało.

- Mam przyjąć gościnę u człowieka, który mną wzgardził? Nigdy! - orzekła i wyprostowała się, jakby nagle zaczęło zależeć jej na tym, by głową dosięgnąć zawieszonych nad gościńcem konarów.

Wrócił pamięcią do dnia, kiedy natknął się na nieznaną dziewczynę, leżącą bez zmysłów na leśnym trakcie. Tak, była to ta sama normandzka księżniczka, którą Matylda zamierzała pierwotnie wydać za Alaina.

- Gisele, lord Alain nie czuje do ciebie żadnej urazy. Przecież on cię nie zna, nigdy nawet nie widział cię na oczy. Pomysł połączenia was węzłem małżeńskim zrodził się w głowie Matyldy, która nie orientowała się, że lord Alain kocha lady Claire. Kiedy ich poznasz, zrozumiesz, że są dla siebie stworzeni.

Westchnęła, po czym na jej twarzy pojawił się pełen skruchy uśmiech.

- Przemawia przeze mnie zraniona duma. Bez wątpienia to ty masz rację. Nie wiem, czy o mnie i lordzie Alainie można by powiedzieć, że narodziliśmy się dla siebie.

Zaintrygowała go nutka rozmarzenia w jej głosie. Mimo dumnego poczucia niezależności, Gisele tęskniła za tym, by być docenioną, podziwianą i kochaną. Czy kiedykolwiek uda mu się ją przekonać, że tak właśnie jest? Czy żona mu zaufa? Czy zdolna będzie odwzajemnić jego uczucia, czy też zawsze będzie jak ten skowronek w klatce, który chętnie je z ręki, ale wciąż tęskni za otwartym przestworzem?

Na* dolinę spływał już mrok, gdy dotarli do Hawkswell River. Zaraz za rzeką piętrzyły się czerwone mury zamku.

Gisele spojrzała na szeroki i rwący nurt z bojaźnią w sercu. Czarna, groźna woda zdawała się czeluścią, w której zamieszkiwały przedziwne, niesamowite istoty. Już i tak lady Balleroy czuła się fatalnie na myśl, że baron Hawkswell zobaczy ją zmęczoną i brudną po całodniowej jeździe, a teraz trzeba było jeszcze przepłynąć na koniu rzekę i ukazać się lordowi Alainowi i jego żonie w przemoczonym stroju!

Brys musiał się domyślić jej strapienia, gdyż powiedział:

- Nie martw się, Gisele. Niedaleko jest bród, który o tej porze roku można przejść, nie mocząc nawet butów.

Mówił prawdę. Rzeka w wybranym do przeprawy miejscu okazała się tak płytką, że dziewczyna nie musiała

podkulać nóg w strzemionach. Wprawdzie bliżej brzegu, gdzie woda podmywała skarpe, dno obniżało się, lecz konie kilkoma skokami wy dostały się na twardy grunt. Gdy podjechali do solidnych wrót w murze obronnym, Brys osłonił usta dłońmi i krzyknął:

- Hej, straż! Lord Brys de Balleroy i jego małżonka ogłaszają swoje przybycie i proszą o gościnę na jedną noc!

Na szczycie muru na tle pociemniałego nieba ukazała się jakaś postać.

- Słyszę cię, panie - dobiegła ich uszu odpowiedź. - Pamiętam dobrze lorda de Balleroya. Zaraz spuścimy zwodzony most i otworzymy wrota. Gdzież jednak twój zbrojni, panie? Jest was tylko dwoje?

- Tak, jest nas tylko dwoje! - odrzyknął Brys. - Wyjaśnienia z moich ust otrzyma lord Alain. Ufam, że jest na miejscu?

- Jest i nigdzie się ostatnio nie rusza, gdyż wielką jest jego radość z powodu narodzin syna.

- Nas również cieszy szczęście lorda Alaina i lady Claire! - odrzyknął Brys i dał znak Gisele, by jechała za nim.

- Wybacz, że kazałem ci czekać, Brys! - rzekł baron Hawkswell, serdecznie klepiąc de Balleroya po ramionach.

Gisele wykorzystała ten moment, by dokładnie przyjrzeć się człowiekowi, z którym miano połączyć ją na całe życie. Wzrostem równy niemal Brysowi, przypominał go też swą rycerską postawą. Był ciemnowłosym, o wyrazis-

tych rysach twarzy i ładnie wykrojonych wargach, przystojnym mężczyzną. Szybko jednak uznała, że daleko mu do jej męża. Rozbawiło ją to ostatnie porównanie, więc kiedy tamci dwaj odwrócili się ku niej, zobaczyli śmiejącą się młodą kobietę.

- A kim jest ten anioł, który zawitał tu razem z tobą, Brys? Czyżby mój stary przyjaciel dał się wreszcie ugodzić strzałą Kupidyna?

Ostatnie pytanie wprawiło Brysa w zakłopotanie, szybko więc przedstawił baronowi Gisele:

- Alain, pozwól, to moja żona, lady Sidonie Gisele de l'Aigle.

Alain już rzucał się witać istotę, którą dopiero co nazwał aniołem, gdy nagle uświadomił sobie, kim jest ta piękna kobieta. Stanął jak wryty z otwartymi ustami, aż wreszcie wybąkał:

- Lady Sidonie de l'Aigle? Ależ to nie może być ta sama.

Gisele uznała, że ma prawo cieszyć się tą chwilą. Po tężny baron, po usłyszeniu jej imienia i rodzowego nazwiska, zmieszał się i osłupiał jak jakiś młokos. Naprawdę, pyszna zabawa!

- Tak się składa, że może być - rzekł Brys z psotnym uśmiechem na twarzy. On również dobrze się bawił. - To ta sama dama, którą wzgardziłeś. Tłumaczy cię tylko to, iż uczyniłeś tak, nie widząc jej wprzód na oczy. Ale nie gryź się, stary przyjacielu, twoja strata bowiem przemieniła się w mój zysk.

Lord Alain miał taką minę, jakby chciał zapaść się pod ziemię.

- Lady Gisele - rzekł, podchodząc i biorąc ją za rękę.
- Nie wiem, jakimi słowami mógłbym prosić o wybaczenie czegoś, co mogło się wydawać jedynie najgorszym grubiaństwem. Liczę tylko na zrozumienie z twojej strony, bo powodem mojej odmowy była miłość do innej niewiasty, która niedługo potem została moją żoną... Proszę, czuj się w moim domu jak w swoim własnym.

Za piękne i serdeczne słowa odwzajemniła mu się uśmiechem.

- Dziękuję za zaproszenie, wybaczenie zaś nie jest tu konieczne. Jak sam powiedziałaś, panie, twoja odmowa nie miała nic wspólnego z moją osobą.

- Alain! - dał się słyszeć kobiecie głos i wszyscy spojrzeli ku schodom. Schodziła po nich niewiasta w czerwonej sukni, trzymająca zawiniątko, z którego wystawały miniaturowe rączyny. - Właśnie go usypiałam, gdy wpadła Annis i powiedziała, że mamy gości.

Gisele nietrudno było się domyślić, że idzie ich powitać lady Claire, kobieta, która skradła serce lordowi Alainowi. I nic dziwnego. Okazała się bowiem złotowłosą pięknoscią o niebieskich oczach i gibkim ciele.

- Ależ to Brys de Balleroy! - wykrzyknęła radośnie, rozpoznawszy stojącego przy mężu rycerza. - Brys, bardzo się cieszę! Tyle czasu minęło od twojej ostatniej tu wizyty!

- Rzeczywiście, lady Claire. Widzę, że obdarzyłaś mojego przyjaciela synem - odpowiedział, wskazując ruchem głowy niemowlę.

Lady Claire zarumieniła się z zadowolenia i dumy, po czym odgięła brzeg kocyka, ukazując twarzyczkę dziecka.

- Czyż nie wspaniały chłopak? - spytała zalotnie. - Ma na imię Verel. To po giemku mojego męża, pamiętasz, który umarł tak młodo. - Po jej urodziwej twarzy przemknął cień smutku, lecz zaraz rozpogodziła się, widząc, że Brys ciekawie przygląda się dziecku.

- Dorodny malec - przyznał Brys. - Oby urodę odziedziczył po matce, nie po ojcu.

Lord Alain odchrząknął.

- Mój źle wychowany przyjaciel nie przyjechał sam, kochanie - zauważył, czyniąc gest w stronę Gisele. - Oto jego świeżo zaślubiona małżonka, lady Sidonie Gisele de l'Aigle.

Jeżeli kiedykolwiek lord Alain wspominał o niej swojej małżonce, nie sposób było tego się domyślić z promiennego i szczerego uśmiechu, jakim lady Claire obdarzyła Gisele.

- Serdecznie witam, lady Sidonie. Nie, nie zapomniałam o tobie, pani. Po prostu spieszno mi było pokazać synka Brysowi.

- Naprawdę nic się nie stało, lady Claire. Jeśli tylko nie sprawi ci to różnicy, pani, proszę nazywać mnie drugim imieniem. Mój mąż nie myli się, dziecko jest śliczne - rzekła, z tęsknotą w oczach patrząc na śpiącą kruszynę. Chłopiec miał około trzech miesięcy, pucołowate policzki i czarne włoski, jak ojciec.

- Czy mogę...?

Uśmiech lady Claire swoją jasnością mógłby rywalizować ze słońcem, gdy wręczała Gisele swoje dziecko.

- Ależ oczywiście! Mały najadł się do syta i tak łatwo się nie obudzi. - Przeniosła wzrok na Brysa. - Cieszę się,

że wreszcie znalazłeś miłość swojego życia, panie. Obojgu życzę wam szczęścia. - Podeszła do męża, on zaś objął ją i przytulił. Patrząc na nich, nie można było mieć najmniejszych wątpliwości, że bardzo się kochają.

- Kochanie, nasi goście mają za sobą długą i męczącą podróż - przypomniał Alain żonie.

- Och, wybaczone mi! - zawołała lady Claire. - Musicie być zmęczeni i głodni. Annis - zwróciła się do służącej, która stała w pobliżu schodów - biegnij i obudź kucharza...

- Ale już późno i przyjechaliśmy całkiem niespodziewanie - próbowała ją powstrzymać Gisele. - Proszę tylko wskazać nam komnatę na tę noc, innych bowiem potrzeb nie mamy.

- A jutro rano ruszamy w dalszą drogę - dodał Brys. - Podróżujemy do Tichenden...

- Nonsens! Nie miewamy tu często gości, a twoje wizyty, Brys, są coraz rzadsze - oburzyła się Claire. - Nie chcę słyszeć o żadnych wyjazdach. Pobędziecie z nami przynajmniej kilka dni. Przez ten czas musicie przekonać mnie o konieczności waszego wyjazdu. Nie mogłabym zasnąć, gdybym posłała was do łóżka o pustym żołądku. Kucharz w mig przygotowuje wieczerzę, a tymczasem my dowiemy się, jak się poznaliście. Annis, nie zapomnij, by Frisa przygotowała największą komnatę!

Serdeczność połączona z zapałem młodej pani domu były jak deszcz dla spragnionej wody rośliny.

- Zanim moja żona weźmie was na spytki - rzekł lord Alain, uśmiechem i spojrzeniem prosząc Claire o wybaczenie - ja ograniczę się tylko do jednego pytania. Jak sto-

ją twoje sprawy, Brys? Bo przyjechałeś tu bez eskorty, nawet bez tego olbrzyma, twojego giermka.

- Maislina wysłałem do Bristolu z listem do Stefana - odparł Brys. - Mam nadzieję, że dołączy do mnie w Tichenden.

- A więc nadal grasz swoją podwójną rolę? To niebezpieczne.

- Skończyłem już z tym - odparł krótko Brys, po czym opowiedział o niepokojach w Londynie, podsycanych przez ekscesy zaciężnych Flamandczyków, oraz o ucieczce dworu z Westminsteru do Oxfordu.

- Więc Matylda ponownie została banitką - rzucił lord Alain ze smutkiem. - Tym razem wypędziło ją pospólstwo. Biedna niewiasta, królowa bez korony i władzy. Jej życie od początku nie należało do łatwych. Dobrze choć, że udało ci się wyrwać żonę z tej politycznej zawieruchy. - Zwrócił się do Gisele: - A teraz, milady, czas chyba na historię waszej znajomości. Inaczej moja żona nie da mi spokoju.

Chcąc nie chcąc, Gisele podjęła opowieść. Zaczęła od początku, czyli od napadu w lesie, rzezi i upadku z konia.

Lady Claire nie kryła przerażenia.

- Miałaś ogromne szczęście, pani, że żyjesz. Dzięki Bogu, że to Brys pierwszy cię odnalazł, a nie tamci bandyci.

Jej piękna twarz rozpogodziła się jednak szybko, gdy Gisele przeszła do dalszych etapów historii, to znaczy wspólnej podróży do Londynu i pobytu na dworze w Westminsterze. Gisele przyznała, że ona i Brys są małżeństwem dopiero od dwóch dni, pominęła jednak milczeniem wszystko to, co bezpośrednio poprzedziło ich ślub.

- Czyż to nie wzruszająca historia, Alain? Skazani na miłość od dnia, kiedy się spotkali! - Lady Claire była pełna radosnego zapału.

- Żono, gdyby to od ciebie zależało, uczyniłabyś świat jednym wielkim ogrodem dla zakochanych... i dla ich dzieci, ma się rozumieć - rzekł Alain, czule gładząc lady Claire po policzku.

- Nie ma większej siły na tym świecie od miłości - odparła. - Nawet najgorsze zło musi ustąpić jej pierwszeństwa. Mówiąc jednak o ogrodzie miłości, przypomniałeś mi o miodowym miesiącu. Twój najlepszy przyjaciel i jego żona spędzą go tutaj, w Hawksweł!

Okazało się, że Gisele nie zna ani znaczenia słów „miesiąc miodowy”, ani też samego obyczaju.

Lady Claire aż promieniała, że może ją w tym względzie objaśnić.

- Anglosasi wierzą, że pierwszy miesiąc małżeństwa jest najszczęśliwszy i najśłodszy. Wiem jednak z własnego doświadczenia, że słodycz i rozkosz nie kończy się bynajmniej wraz z upływem pierwszych czterech tygodni. Życzę wam, żebyście również dokonali takiego samego odkrycia.

Gisele spuściła wzrok na swoje splecione na podołku dłonie, mając nadzieję, że wygląda jak nieśmiała młoda żona, jednak w rzeczywistości próbowała ukryć trwogę. Była gotowa zostać z przyjaciółmi Brysa na tę jedną noc, lecz teraz pojawiła się perspektywa dłuższego pobytu, Brys zaś nie odrzucił prośby czy też raczej żądania lady Claire.

Wiedziała już, że nie będzie w stanie znieść bliskiej obec-

ności namiętnie kochających się ludzi, gdy jej związek z Brysem nie wykroczył i zapewne nigdy nie wykroczy poza formalne ramy małżeńskiego kontraktu. Gdyby lady Claire odkryła jej sekret, ona, Gisele, umarłaby ze wstydu i upokorzenia. Równocześnie tęskniła za taką miłością, jaka stała się udziałem lorda i lady Hawkswell. Czy kiedykolwiek ona i Brys będą się cieszyć takim samym ciepłem i wzajemnym zrozumieniem? Tak wielkim... uczuciem?

Gdy zadawała sobie to pytanie, do holu weszła Annis i jeszcze jakaś służka. Niosły talerze z potrawami. Dopiero na widok jedzenia Gisele i Brys poczuli dojmujący głód.

Wieczera, która składała się z zimnej, pokrajanej w plastry szynki, chleba, masła i ciasta owocowego, była smaczna i pożywna. Rozmowa nadal toczyła się wartko, nie poruszano już jednak politycznych tematów. Lord Alain i lady Claire mówili o swoich dzieciach. Gisele dowiedziała się, że baron Hawkswell jest wdowcem i z poprzedniego małżeństwa ma syna i córkę. Lady Claire od dnia ślubu matkowała im, by wreszcie tej wiosny sama stać się matką.

Po wieczerzy lady Claire zabrała Gisele ze sobą na górę. Już na schodach odwróciła się i zawołała w stronę mężczyzn:

- Mam nadzieję, że trafisz do swej żony, Brys. To ta sama komnata, w której zawsze śpisz, gdy nas odwiedzasz. Kiedy się wygadacie, życcie sobie dobrej nocy i spać.

Niewiasty odeszły, a lord Alain popatrzył uważnie na Brysa.

- Mam wrażenie, że jest coś więcej w tej waszej historii - rzekł.

Brys uśmiechnął się smętnie.

- Zawsze wyczujesz tajemnicę, stary przyjacielu. W rzeczy samej, jest coś więcej. - Więcej, niż mogę ci powiedzieć, dodał w myślach. - Zapewne już słyszałeś, że Geoffrey de Mandeville, earl Essex, przystąpił do obozu królowej. Zamieszkał na dworze w Westminsterze i tam też Gisele go poznała. Co jednak pominęła milczeniem, to że od pierwszej chwili zapałał do niej cielesną żądzą. Zapewne myślał, że moja przyszła żona będzie łatwą zdobyczą, ona jednak nie chciała mu się oddać. Ostrzegąłem go, by raz na zawsze zrezygnował z prób zdobycia lady de l' Aigle, on jednak puścił moje słowa mimo uszu. W rezultacie dzisiaj przed południem w Londynie musiałem go zabić.

Alain w jednej chwili spowaźniał.

- O ile cię znam, przyjacielu, po prostu nie miałeś wyboru - rzekł. - Kilka razy spotkałem tego człowieka i zawsze wydawał mi się fałszywcem i intrygantem. Pewnie wyje teraz w piekielnych czeluściach.

Brys kiwnął głową, po czym opowiedział przyjacielowi o morderstwie w kaplicy, pomijając wszakże to wszystko, co tyczyło się nocnej wizyty Gisele w jego komnacie. Zakończył opisem sceny, którą zobaczył po otwarciu drzwi swojego domu w Londynie, kiedy to earl próbował siłą pojąć Gisele.

Alain słuchał z wielką uwagą, od czasu do czasu potrząsając głową.

- I wszystko to wydarzyło się za ledwie przed kilkun-

stoma godzinami! Nie winń siebie, Brys. Zrobiłeś, co musiałeś zrobić. Pewnie, że odnajdą ciało i będą cię szukać. W moim zamku możesz jednak czuć się całkowicie bezpieczny. Lepszego azylu nie znajdziesz.

- Dziękuję - odparł Brys, wdzięczny za ten dowód przyjaźni. - Nie obnosiliśmy się z naszą przyjaźnią, dlatego też wie o niej niewiele osób, jeśli w ogóle ktokolwiek. Bardzo więc możliwe, że pościg nie zjawi się pod murami tego zamku.

W Londynie tymczasem, w domu, który Brys i Gisele opuścili tak pośpiesznie, Gytha zmywała zakrzepłą krew z piersi earla.

Geoffrey de Mandeville jęknął i próbował odepchnąć starą kobietę, lecz okazało się, że ma nie więcej sił niż małe dziecko.

- Ostrożnie, ty stara wiedźmo, bo rozszarpie cię na sztuki! Gdzie masz ten wywar z makowin, który osłabia ból? Jesteś pewna, że dałaś mi do wypicia wystarczającą ilość? Chcę więcej!

Gytha nie wszystko rozumiała z tego, co mówił do niej ów wielki pan, jednak wielu rzeczy się domyślała. Cierpiał i przeklinał ją za swój ból, a dodatkowa porcja wywaru mogła zatrzymać pracę jego serca... co zresztą miałyby też dobre strony!

Kiedy przyszła tu w południe z gorącą zupą dla żony lorda de Balleroya, natknęła się na zakrwawione ciało normandzkiego szlachcica. Najpierw krzyknęła, a potem o mało co nie umarła z przestachu, gdyż człowiek ów, którego już uważała za trupa, poruszył się i jęknął.

Było to kilka godzin temu. Od tamtego czasu robiła wszystko, by uratować życie rannemu i ulżyć mu w cierpieniu. Mogła się tylko domyślać, co wydarzyło się między lordem de Balleroyem, człekiem uprzejmym i szczerym, a tym baronem, który leżał teraz na łożu swego pogromcy i bez przerwy obrzucał ją przekleństwami.

Nie знаła przyczyn, dla których lord Brys użył miecza, lecz z pewnością były one słuszne i prawe. Skoro ten tchórz dostał bolesną nauczkę, to widocznie na nią zasługiwał. Szkoda, że ostrze miecza nie przeszło mu serca, tylko przeszło obok! Chciałaby wiedzieć, gdzie też teraz mogą być lord de Balleroy i jego piękna małżonka. Oby Bóg miał ich w swojej opiece.

- Niechaj twój stary pobiegnie natychmiast do obozu Flamandczyków w Southwark! - ryknął de Mandeville. - Niech im powie, powołując się na mnie, że de Balleroy jest zdrajcą. Macie to zrobić, inaczej biada wam!

Gytha nie przejmowała się tym, kto zasiądzie na tronie Anglii, chciała tylko żyć w spokoju. Równocześnie domyślała się, że człowiek leżący na łożu jest kimś ważnym, obdarzonym siłą władzy i pieniądza. Na pewno mógłby kazać powiesić Alfa, gdyby ten nie wykonał jego rozkazu. A gdyby umarł, Normanowie mogliby z zemsty zrównać z ziemią całe West Chepe. Nie pozostawało jej więc nic innego, jak tylko posłusznie wykonać rozkazy tego możnego pana, a raczej diabła w ludzkiej skórze.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Obudziwszy się, Gisele stwierdziła, że jest sama w łóżu. Nie było to dla niej żadną niespodzianką. Gdy jednak zeszła do holu, tam również nie było Brysa, podobnie zresztą jak lorda Alaina. Przy stole siedziała tylko lady Claire. Obok, po obu jej stronach, stali chłopiec i dziewczynka. Były to bardzo miłe i ładne dzieci. Ich ciemne główki tworzyły interesujący kontrast z jasnymi i pełnymi blasku włosami macochy.

Niewiasty pozdrowiły się, po czym lady Claire spojrzała na pasierbicę i pasierba.

- Peronelle, Guerin, przywitajcie się z lady Gisele, żoną lorda Brysa.

Dziewczynka, na oko czteroletnia, wykonała wdzięczny, aczkolwiek dość niezgrabny dyg, podczas gdy chłopiec, który nie mógł mieć więcej niż sześć lat, ukłonił się wedle wszelkich reguł i rzekł głosem będącym dziecięcą imitacją głosu lorda Alaina:

- Lady Gisele, cieszę się, że mogę poznać cię, pani, i życzyć ci miłego dnia.

Było coś takiego w tym chłopcu - być może chodziło o siłę woli widoczną w wykroju i układzie ust - co przywodziło na myśl nie tylko Brysa, lecz, rzecz dziwna, również królową Matyldę. Odpowiadając na grzeczne powi-

tanie dzieci, Gisele uznała, że jej niezwykle skojarzenia najpewniej są wynikiem zmęczenia po wczorajszej podróży.

Odprowadziła wychodzące dzieci czułym spojrzeniem.

- Piękne małe istotki - powiedziała. Zastanowiła się przy tym, czy lady Claire trudno było po ślubie wejść w rolę ich matki.

- Dziękuję. I mają złote serca, za co wdzięczna jestem ich ostatniej niani. Przyznam, że nic nie wiedziałam o macierzyństwie, gdy tu zamieszkałam. Nie mogę się pogodzić z myślą, że za rok będziemy musieli wysłać małego na wychowanie i naukę. Oczywiście, jeśli nadal będzie trwała wojna domowa, Guerin zostanie z nami. Tak twierdzi mój mąż.

Wynikał z tego wniosek, że lord Alain stawiał na pierwszym miejscu bezpieczeństwo syna, a dopiero na drugim przysposobienie go do dorosłego życia. Gisele poczuła, że wzrasta jej sympatia do gospodarza domu.

- Na pewno ciekawa jesteś, gdzie jest Brys - rzekła Claire. - O świecie wybrał się z moim mężem na polowanie. Ponoć trzeba było uzupełnić zapasy świeżego mięsa, ale tak naprawdę to Alainowi chodziło o pokazanie swoich psów myśliwskich. No i, jak wiesz, mężczyźni lubią uganiać się za zwierzyną.

Gisele skinęła tylko głową. Zbyt krótko znała swego tajemniczego męża, by móc powiedzieć coś konkretnego o jego rozrywkach i zamiłowaniach.

Wydawało się jednak, że lady Claire miała większą ochotę mówić, niżli słuchać.

- Nie przejmuj się, niech sobie szukają szczęścia w le-

sie. Wcale nam tu nie są potrzebni. Tak długo już nie wypuszczałam się poza mury tego zamku, że jestem spragniona wieści ze świata. Poza tym Brys powiedział mi, że masz kilka łokci pięknego jedwabiu, który aż się prosi, by zrobić z niego suknię. Potrafię szyć, więc jeśli nie miała-byś nic przeciwko temu, pomogłabym ci.

- Ależ oczywiście, przyjmę pomoc z wdzięcznością - rzekła Gisele, już podniecona myślą, że będzie wreszcie mogła się ubrać w coś naprawdę ładnego. Do tej pory chodziła stale w jednej sukni.

- Zatem po śniadaniu możemy wziąć się do roboty. Verel na razie sobie smacznie śpi, mam nadzieję, że obudzi się dopiero koło południa. - Uważniej przyjrzała się twarzy Gisele. - Och, jakie ty masz piękne oczy! Zielona suk-nia wydobędzie cały ich blask.

Niebawem przeszły do zalanej słońcem komnaty na pię-trze. Gdy już wzięły wymiary Gisele i skroily materiał, Verelowi zachciało się jeść, więc Claire musiała oderwać się od szycia, by nakarmić dziecko. Dała krzykaczowi pierś i jego wrzask umilkł w jednej chwili, a na twarzyćce zagościła błogość. Gisele robiła wszystko, by nie patrzeć na wielką da-mę karmiącą pierśią własne dziecko, lecz widok był tak uro-czy, że spojrzenie samo biegło ku tej scenie tkliwego macie-ryństwa. Jednak było to spojrzenie przez łzy.

Niemowlę ssało, Claire zaś nie ustawała w zadawaniu pytań. Interesowało ją życie dworskie, a więc osoby ota-czające królową oraz wydarzenia ostatnich dni. Gisele sta-rała się opowiadać możliwie plastycznie, nie szczędząc szczegółów i nader dokładnie formułując oceny.

Poniekąd zazdrościła siedzącej przed nią kobiecie.

Miała wszystko - dzieci, wspaniały zamek, liczną służbę i męża, który ubóstwiał ją do tego stopnia, iż zaryzykował nawet utratę łask Matyldy, byleby tylko związać się z nią na całe życie.

- Podejrzewam, że dworki byłyby zgorszone, że karmię własne dziecko i nazwałyby to gminnym obyczajem - powiedziała Claire z nutką samokrytycyzmu, widząc spojrzenie Gisele, która starała się patrzeć na wszystko z wyjątkiem Verela. - Mogłabym się bronić w ten sposób, iż żadna niewiasta w okolicy nie przeszła ostatnio połogu, ale nie byłaby to prawda. Prawdą jest natomiast, że chcę tego. Chłopcy tak prędko dorastają i tak szybko się ich traci, że staram się cieszyć każdą chwilą spędzoną z moim synkiem.

- Ależ naprawdę nie musisz się usprawiedliwiać! - zaprotestowała Gisele, przerażona tym, że Claire może ją wziąć za obrończynię obyczaju najmowania mamek. - Myślę, że to jest wspiania! - I po policzku popłynęła jej łza, co nie uszło uwagi Claire.

Szybko wyciągnęła rękę i uściśnięła dłoń lady de Baleroy.

- Och, na pewno pragniesz mieć własne dziecko. Bądź dobrej myśli, na takiego bobasa jak Verel czeka się tylko dziewięć miesięcy. Zatem w maju, a może nawet już w kwietniu zostaniesz matką. O ile znam Brysa, nie zasypia gruszek w popiele - dodała z miną spiskowca.

Gisele przygryzła dolną wargę i nagle z wielkim zainteresowaniem zaczęła przyglądać się wiszącemu na ścianie gobelinowi, lecz nie zwróciła tym Claire.

- Och, ten mój niewyparzony język! Proszę, wybac

mi, Gisele! Nie chciałam cię obrazić. Alain zawsze powtarza, że jestem niepoprawna trajkotka. Po prostu poczułam się tak, jakbyśmy znały się od lat, a nie dopiero od kilkunastu godzin.

- Doprawdy, nie masz za co przepraszać, Claire. Chodzi o to... - Nie wiedziała, jak dokończyć zaczęte zdanie. Problem był w tym, że o ile Claire nigdy nie miała wątpliwości, iż lord Alain chce zostać jej mężem, o tyle ona...

- Gisele, moja droga, wybac mi moją bezpośredniość, ale nie ma nic niezwykłego w fakcie, że mężczyzna i kobieta doświadczają tuż po ślubie pewnych... trudności, jeśli idzie o cielesne współżycie. - Policzki Claire stanęły w ogniu, wszak dotknęła bardzo intymnych i wstydliwych spraw.

Gisele czuła na sobie spojrzenie lady Hawkswell i nie wiedziała, co powiedzieć. Czyż miała nadal odgrywać rolę świeżo poślubionej żony, zawstydzonej dopiero co poznaną tajemnicą małżeńskiej alkowy?

- Co się dzieje, Gisele? Nie jesteś szczęśliwa z Brysem? Nie poślubiłaś go z własnej i nieprzymuszonej woli? Dobry Boże, czyżbyś nie mogła mieć dzieci?

Z jakichś przyczyn to ostatnie pytanie wprowadziło Gisele w stan histerycznego uniesienia. Prawie wybuchnęła szalonym śmiechem, lecz zdołała w porę wziąć się w garść. Zapragnęła zwierzyć się tej miłej i dobrej kobiecie, bo od śmierci Fleurette czuła się przeraźliwie samotna. Musiała wreszcie komuś zaufać i na kims się wesprzeć.

- Nie mogę urodzić dziecka, Claire, i to z bardzo pro-

stej przyczyny. Ja i Brys nie jesteśmy jeszcze mężem i żoną... w pełnym tego słowa znaczeniu.

To płynące z głębi duszy wyznanie zawisło w powietrzu niczym rzecz materialna, którą można było ogarnąć spojrzeniem. Zaskoczona Claire próbowała delikatnością i taktem złagodzić zbyt ostrą wymowę słów.

- Dopiero trzy noce upłynęły od waszego ślubu, a Brys jest najlepszym i najtroskliwszym ze znanych mi mężczyzn, oczywiście poza moim mężem. Nie sposób mi sobie wyobrazić, że siłą narzuca się swej młodej małżonce. Miłość z dziewczycą zawsze ma w sobie coś brutalnego, czego dowodem jest krwawa plama na prześcieradle. Ale jak zawsze, tak i teraz trochę się zagalopowałam. Myślę jednak, że skoro znacie się jeszcze tak krótko, Brys zamierza uwodzić cię powoli, abys pewnej nocy sama mu się oddała. Wczoraj musieliście być zbyt zmęczeni podróżą, by nawet pomyśleć o...

Ostatnie słowa trafiały w sedno. Gisele już spała, gdy Brys, po rozmowie z przyjacielem, wrócił do komnaty. Wprawdzie słyszała, jak się kładzie, lecz wszystkie doznania docierały do niej przez opary snu. Nawet nie próbował jej obudzić. Nie chciała jednak, by Claire wyrobiła sobie błędne pojęcie o sytuacji, bardzo bowiem pragnęła poradzić się swej tak czułej i mądrej przyjaciółki.

- To nie to, co myślisz - rzekła, odważnie patrząc lady Hawkswell w oczy. - Zgoda, Brys jest dobry i troskliwy, ale ożenił się ze mną pod przymusem. To królowa pchnęła go do tego małżeństwa.

Claire milczała, Gisele zatem nie pozostawało nic innego, jak mówić dalej. Potrzebowała szczerzej, oczyszczającej duszę spowiedzi.

- Och, nie oznacza to, bym była mu obojętna. Sam mi wyznał, że chce się ze mną kochać. Ujrzał we mnie jednak tylko swoją przyszłą kochankę, metrese, kobietę, z którą utrzymuje się stosunki miłosne, nie żeniąc się z nią. Gdyby więc nie był prawym człowiekiem, a także lojalnym wasalem królowej, z pewnością starałby się unieważnić nasz związek. - Spuściła oczy.

- Jestem przeświadczona, że mówisz prawdę - rzekła Claire - to znaczy tak portretujesz rzeczy, jak sama je widzisz. Tymczasem ja nie sędzę, by wszystko było aż tak beznadziejne, Gisele.

- Doprawdy tak myślisz? - Gisele nawet nie próbowała ukrywać swojego sceptycyzmu.

- Na szczerść odpowiadam szczerością. To, że próbował cię uwieść, o niczym jeszcze nie świadczy. Mężczyźni zawsze zaczynają od tego, bo tak dyktują im zmysły. Pożądliwość wcale nie musi zaprzeczać duchowemu pragnieniu, co więcej, może w harmonii z nim współistnieć. Kobieta, każda kobieta chciałaby żyć w przekonaniu, iż mąż kocha się z nią w łóżnicy nie tylko dlatego, że leżą blisko siebie i że zgadza się na to Kościół. - Ożywiła się widząc, że Gisele kiwa głową. - Otóż, kochanie, wczoraj uważnie przyjrzałam się, w jaki sposób Brys na ciebie spogląda. Sama nie mogłaś tego zauważyć, gdyż ów szczególny wyraz pojawiał się w jego oczach tylko wtedy, gdy ty nie patrzyłaś na niego. Trudno mi to nazwać, jednak przypominało to łaknienie czegoś, czego nie można mieć czy posiadać.

- Nie można mieć czy posiadać? - powtórzyła Gisele, lękając się nadziei, jaką dawały te słowa. Przecież Brys

dobrze wiedział, że ma pełne prawo wziąć ją w każdej chwili, obojętnie, z zachowaniem delikatności, czy też gwałtem.

- Tak czy inaczej - dodała Claire z uśmiechem - gdy zobaczy cię w tej zielonej sukni, na pewno nie będzie ci się mógł oprzeć!

Było już późne popołudnie, gdy Brys i Alain wjechali na zwodzony most wiodący do zamku. Alain prowadził konia, objuczonego wspaniałym rogaczem, którego wspólnie wytropili i ustrzelili.

Kiedy zsiadli z koni na podwórku przed stajniami, gospodarz rzekł:

- Wypada teraz pochwalić się przed żonami naszym wyczynem. O ile znam moją Claire, korzysta z pięknego dnia i jest teraz w ogrodzie. Z pewnością nie siedzi tam sama, tylko w towarzystwie Gisele. Chodźmy więc wzdłuż muru, to najkrótsza droga.

I faktycznie, gdy minęli staw, który dostarczał mieszkańcom zamku pitnej wody, zobaczyli obie niewiasty, siedzące pod rozłożystą jabłonią, obwieszoną zielonymi jeszcze owocami.

- Widzę, że polowanie się udało! - zawołała na ich widok lady Hawkswell. - Wasze miny mówią same za siebie.

Brys zaledwie prześlizgnął się spojrzeniem po Claire i tylko kątem oka zauważył, że igła migocze nad leżącym na jej kolanach zielonym materiałem, który kupił w Londynie dla Gisele. Nie potrafił też skupić uwagi na słowach Alaina, który relacjonował żonie, jak to sprytny rogacz

wodził ich za nos, aż wreszcie dopadli go w dolinie za wzgórzem i powalili dwiema strzałami.

Brys widział tylko Gisele. Trzymała w ramionach uspione niemowlę, którego ciemna główka spoczywała na jej piersi. W całej jej postawie było tyle słodyczy, wdzięku i instynktownego macierzyństwa, iż śmiało można było wziąć ją za matkę tulącą własne dziecko.

Spojrzała na Brysa spod opuszczonych rzęs i lekko się zarumieniła, a jemu aż zaschło w gardle. Wyobraził sobie, że już jest ojcem i patrzy na owoc swojej miłości z Gisele. By jednak naprawdę tak się stało, musiał zasypać dzielącą ich przepaść. Gdybyż tylko nie był bastarodem, ale prawdziwym baronem de Balleroy! Łady Sidonie Gisele de l'Aigle, chciałyby rodzić dzieci bękartowi, chociażby jego ojciec był królem.

Dzieciatko poruszyło się we śnie i dotknęło dłonią piersi opiekunki. Brys poczuł, że krew zaczyna szybciej krążyć mu w żyłach.

- Ufam, że miło spędziłaś dzisiejszy dzień, żono? - powiedział wreszcie.

Kiwnęła głową. Jej policzki swą delikatną różowością przywodziły na myśl małwy.

- Lady Claire uprzejmie zaofiarowała mi swoją pomoc przy szyciu sukni z materiału, który dostałam od ciebie. Myślę, że to będzie najpiękniejsza z moich sukien.

Takie sobie zwyczajne słowa, a przecież nie mógł odebrać od niej oczu. Coś mruknął, coś, co było potwierdzeniem.

- Jestem pewna, że Annis przygotowała już dla was

gorącą wodę - rzekła Claire, wstając i zbierając nie do-
kończoną suknię. - Zatem przed wieczerzą czeka was ką-
piel. Gisele, muszę teraz iść i dopilnować, by suto dziś po-
dano. Mężczyźni po powrocie z polowania są zazwyczaj
głodni jak wilki. Ty, jeśli chcesz, możesz pomóc Brysowi
w kąpieli.

scandalous

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Gisele nie wierzyła własnym uszom. Nie spodziewała się, że Claire postawi ją w takim położeniu po tym, jak w zaufaniu odsłoniła przed nią swoje tajemnice.

- Och, lepiej chyba będzie, jak pójde i pomogę ci, Claire - powiedziała spiesźnie, czując na sobie badawcze spojrzenie Brysa. Oczywiście, zdradziecki rumieniec nie dał na siebie długo czekać.

W uśmiech Claire wplątał się psotny diablik.

- Ależ doprawdy to zbyt czone, zamierzam wydać w kuchni tylko kilka poleceń. Powiem też kucharzowi, na którą ma przygotować posiłek. - Powiesiła suknię na oparciu krzesła. - Jeśli masz czas i ochotę, dokończ ten boczny ścieg. A teraz daj mi Verela, nakarmię go i położę.

Cóż, wobec takiego postawienia sprawy Gisele nie mogła już dłużej się wymigiwać od pójścia razem z Brysem na górę, chyba że otwarcie sprzeciwiłaby się temu. Miała tylko nadzieję, że nikt nie widzi, jak drżą jej ręce. Oddała dziecko matce, po czym wzięła sukienkę.

Ruszyli w dwie pary, żony przy mężach, w stronę zamku, opuszczając ogród, w którym dojrzewały owoce i latały motyle. Lord Alain i lady Claire od razu pograżyli się w ożywionej rozmowie, jakby nie widzieli się przynajmniej od kilku dni, natomiast druga para stanowiła prze-

ciwienie pierwszej. Pomiędzy małżonkami de Balleroy zaległo kłopotliwe milczenie i stawało się z każdym krokiem trudniejsze do zniesienia, przynajmniej dla Gisele.

- Dziękuję, Annis, ja pomogę mojemu mężowi - powiedziała kilka minut później, kiedy weszli do komnaty i zastali służkę przy wannie z gorącą wodą.

Annis uśmiechnęła się.

- Rozumiem, lady Gisele. Tu na krześle leży czyste ubranie, które przyniosłam lordowi. - Wskazała ręką na tunikę i bieliznę, które jeszcze godzinę temu musiały leżeć w skrzyni lorda Alaina. Następnie ukłoniła się i wyszła z komnaty.

Zostali sami.

Co ja teraz zrobię? - zastanowiła się w duchu Gisele. Pomaganie Brysowi przy rozbieraniu się czy też mycie mu pleców wydało się jej zadaniem ponad ludzkie siły.

- Ja... - Brys i Gisele zaczęli równocześnie i razem też zamilkli. Ich niespokojne spojrzenia dowodnie świadczyły, że gnębi ich ta sama myśl.

- Naprawdę nie musisz mi pomagać - rzekł w końcu Brys. - Potrafię bez trudu sam się obsłużyć. -I jakby dla potwierdzenia podszedł do stojącego przy wannie krzesła i zaczął się rozbierać, rozpoczynając od tuniki.

A może opacznie zrozumiał jej protest w sady, odnajdując w nim niechęć lub niesmak wywołany myślą o dotykaniu go? Jednak nie te uczucia nią powodowały!

- Proszę, nie odtrącaj mnie, mężu - powiedziała, zbliżając się do niego i rozbierając go z koszuli.

Teraz siedział na krześle, mając na sobie tylko spodnie, pończochy i buty, nagi od pasa w górę. Jego wspaniałe tors przypominał dzieło sztuki rzeźbiarskiej.

Zdawał się na coś oczekiwać. Gisele też czekała, tyle że na wskazówkę, co ma dalej czynić. On jednak w milczeniu podniósł prawą nogę, położył ją na lewym kolanie i zaczął rozplątywać długą skózaną sznurówkę buta.

- Wybacz... pozwól mi to zrobić... - Ukłękła i zajęła się jego butami. Spoglądał na nią, nieznacznie się uśmiechając.

Wstał i poluźnił ściągany sznurek w spodniach. Odwiązał też tasemki podtrzymujące pończochy.

Gisele zaparło dech w piersiach. Wiedziała, że to, co za chwilę zobaczy, powinno już być dla niej, od trzech dni małżonki, czymś dobrze poznanym. Lecz Brys ją zaskoczył. Odwrócił się bowiem plecami i wtedy dopiero pozwolił opaść spodniom. Zaśniły białe pośladki - i już zanurzył się w wodzie.

Wyciągnął się i oparł głowę o drewniany brzeg wanny. Zamknął oczy i głęboko westchnął:

- Och, jak dobrze...

Teraz powinna była ukłęknąć przy wannie i umyć mu włosy i plecy. Przecież to tylko kąpiel. A mimo to stała bez ruchu, wpatrzona w tył jego głowy i opryskane wodą ramiona.

- Gisele - rzekł, nie otwierając oczu - doprawdy, nie musisz się trudzić, kochanie. Podaj mi tylko z łaski swojej mydło. - Jego głos był łagodny i ciepły.

Uczyniła zadość jego prośbie, po czym patrzyła w milczeniu, jak namydła sobie ramiona i piersi. Następnie zmoczył włosy, zanurzając na chwilę głowę, i też je namydlił. Na koniec sięgnął po stojący na stołku dzbanek z wodą, żeby spłukać pianę.

Ty tchórzliwa istoto, zganiła siebie w duchu. Czy lady Claire tak właśnie by się zachowywała?

- Wybacz, Brys, głupio się rozmarzyłam - powiedziała i wyjęła mu z dłoni mydło. Uklękła przy wannie, lecz starała się nie patrzeć na to, co jawiło się pod powierzchnią wciąż jeszcze w miarę przezroczystej wody. - Pochyl się trochę, mężu, bym mogła umyć ci plecy.

Spełnił jej życzenie, ona zaś zaczęła rozprowadzać pianę po umięśnionych ramionach rycerza.

Pierwszą niespodzianką była jego reakcja. Nie krył, że cieszy go dotyk kobiecych dłoni. Rozluźnił mięśnie i wydawał dźwięki, które jednoznacznie świadczyły o tym, jak bardzo jest mu dobrze w tej chwili.

Drugą niespodzianką było jej własne doznanie. Odkryła, że mycie pleców Brysowi oddziałują na nią niczym wino pite długimi łykami. Zarazem uspokaja i podnieca. Od pewnego momentu już nie tylko namydlała mu ciało, lecz nadto naciskała je palcami, rozmasowując mięśnie. Kiedy skończyła ugniatać kark, zajęła się ramionami. Z każdym dotknięciem opuszki jej palców stawały się coraz bardziej wrażliwe i czule.

- Och, kochanie, kilka godzin takich rozkoszy, a ta komnata stałaby się prawdziwym rajem - mruknął Brys, odchylając głowę i muskając mokrymi włosami jej nos.

Ona jednak w tej chwili gapiła się na jego ucho. Różowo-brazowa muszla miała w sobie coś bardzo pociągającego, coś, czemu nie sposób było się oprzeć. Zaledwie świadoma tego, co robi, Gisele pocałowała ją.

Brys na chwilę znieruchomiał, po czym dał się słyszeć jego wesoły głos:

- Czy to myszka wdrapała się na moje ucho?
- Nie, mój mężu, to przysiadł na nim motyl - odparła głosem pełnym słodyczy. - Myszkę poczujesz teraz. - I zacisnęła zęby na uchu.

- To żadna myszka, tylko lisica - mruknął, po czym odwrócił się i ujął jej twarz w swoje mokre dłonie. Woda w wannie zachlupotała i zakolebała się, i było to muzyczne tło ich pocałunku.

Jego wargi były słodkie i gorące. Nachyliła się ku niemu, on zaś, zsunąwszy dłonie na jej ramiona, przyciągnął ją bliżej siebie. W jednej chwili stanik jej sukni nasiąkł wilgocią, lecz nie dbała o to. Cała była w tym pocałunku - duszą, zmysłami i świadomością.

- Och, kochanie, próbowałem... - szepnął takim głosem, jakby przegrał bitwę.

Bardzo dobrze znała to uczucie. Przecież dawniej, wierna idei niezależności, sama usiłowała mu się oprzeć, a teraz cieszyła się, że oboje przegrali swoje bitwy.

- Nie mam prawa...

Nieprawda! Któż miał większe do niej prawo niż on?

- Jesteś moim mężem, Brys. Czy naprawdę trzeba ci o tym przypominać? - szepnęła w krótkiej przerwie pomiędzy dwoma namiętnymi pocałunkami.

Zamknął oczy, ciągle trzymając ją w ramionach.

- Więc dobrze - rzekł i dźwignął się z wanny z głośnym chlupotem. Woda spływała strumykami po jego udach, jakby rzeźbionych dłutem w kamieniu.

- Czy... już czas? - spytała Gisele, słysząc daleki, a jednak rozpoznawalny dźwięk rogu, który wzywał na wieczerzę. Tym razem miał w sobie coś nieprzyjemnego, a nawet wrogie-

go. Zakłócał intymność, na którą czekała od tak dawna. Nakazywał się rozłączyć i zejść do wielkiego holu. A jeśli nie uczynią tego, co pomyśli sobie o nich lady Claire?

Brys potrząsnął głową.

- Bynajmniej. Nie dokonało się bowiem to, co jeszcze przed zapadnięciem nocy powinno, się dokonać. Niebawem poznasz smak spełnionych pragnień.

Podciągnął jej zamoczoną suknię i dłonią rozchylił kolaną. Zaczaj łaskotać ją i dotykać. Jego palec buszował w jej wnętrzu, niczym złodziej okradający ją z resztek spokoju.

Leżąc, wiała się na sitowiu, spragniona końca tej udreki, która jednak niebawem przemieniła się w słodką torturę. Ciemność ogarnęła jej umysł. Świadoma była jedynie owego wiru, który pojawił się w niej i wsysał ją od środka, a w który tak bardzo pragnęła stracić Brysa.

On tymczasem zmienił pozycję. Ukłękł nad nią i cofnął rękę głaszczącą jej łono. Teraz narzędziem tortur stał się jego język.

Wstrząs był tak gwałtowny, że zeszywniała. Chciała protestować, lecz okazało się, że jest niema. Coś w niej pękło i zawaliło się, a całe ciało stanęło w ogniu. Narastał w niej spazm. Otworzyła usta do krzyku, lecz zdobyła się tylko na jęk. Ciało jej zwiotczało, a członki bezwładnie opadły. Osłabła i wyczerpana, pozwoliła opaść powiekom.

Gdy w końcu wróciły jej siły, a mogło to trwać równie dobrze minutę jak godzinę, otworzyła oczy i rzekła:

- Mężu, wydaje się, że to raczej ty poznawałeś smak...
- Roześmiał się, gorącym oddechem pieszcząc jej szyję.
- Różnie można na to spojrzeć...

Róg znowu się odezwał, tym razem głośniejszy i nagły.

- Nie zabawimy długo. Znajdziemy jakieś wytłumaczenie i wyjdziemy wcześniej - obiecał jej Brys i kilka minut później schodzili już schodami do wielkiego holu.

Gisele uśmiechała się, próbując nie myśleć o swoim wyglądzie. Jej suknia była zmoczona i wisiała na niej jak ścierka, a wargi miała nabrzmięte od pocałunków. Wciąż czuła mrowienie w ciele. Odwagi dodawały jej starannie uczesane włosy. Przynajmniej nie wyglądała jak dójka po figlach na sianie!

Na szczęście lord i lady Hawkswell, którzy siedzieli już przy stole wraz z dwójką starszych dzieci, nie zauważyli, wydawało się, niczego niewłaściwego w jej wyglądzie.

Gisele była oczarowana dziećmi lorda Alaina z pierwszego małżeństwa. Były poważne, rozumne i dobrze ułożone, a przy tym bardzo ładne. Niebawem stwierdziła, że ona i Brys również są obiektem ich zainteresowania.

- Chciałabym być tak ładna jak lady Dizele, mamó - oświadczyła mała Peronelle, patrząc z uwielbieniem na młodą damę w zmoczonej sukni. - Chcę mieć włosy takiego samego koloru jak ona, a nie takie czarne. - Ostatnie słowo wymówiła z niesmakiem i pogardą, podnosząc warkoczyk i zaraz wypuszczając go z palców, jakby dotknęła glisty.

Lady Claire pouczyła małą, jak prawidłowo wymawiać imię gościa, po czym dodała:

- Twoje włosy też są bardzo ładne, kochanie. Nie zapomnij, że odziedziczyłeś je po ojcu, który często powtarza, że są czarne niczym skrzydła kruka. - Spojrzała z wielką miłością na męża, on zaś odwdzieczył się jej takim samym spojrzeniem.

Gisele poczuła, że rozgorzał w niej płomień. Czy ona i Brys dostąpią łaski posiadania podobnej córeczki, która, być może, zostanie poczęta tej właśnie nocy? Albo syna, który dorówna urodą i charakterem Guerinowi? Dla lady de Balleroy nie miała znaczenia płeć pierworodnego dziecka, pragnęła tylko jak najszybciej poczuć nowe życie w swym łonie.

- Czarne jak skrzydła sroki gaduły - wtrącił się Guerin. - Peronelle pape jak ta sroka!

Mała natychmiast trzepnęła brata po głowie, na co Claire zareagowała miną, która wyrażała potępienie.

Zawstydzenie i skrucha Guerina nie trwały długo.

- Lordzie de Balleroy, twój Jerusalem jest najwspanialszym rumakiem, jakiego kiedykolwiek widziałem. Ojciec powiedział mi, że wystarczy ci gwizdnąć, panie, by natychmiast przybiegł do ciebie.

Brys uśmiechnął się, lecz nie był to pobłażliwy i pełen wyższości uśmiech, jakim zwykle dorośli reagują na zachwyty dzieci.

- To prawda. Pewien wiekowy krzyżowiec nauczył mnie tej sztuczki. Kto wie, może kiedyś jeden gwizd uratuje mi życie.

Chłopiec wypuścił z płuc powietrze, a jego twarzyczka zajaśniała zachwytem.

- Chciałbym mieć żrebaka po nim, panie. Gdy stanę się rycerzem, on już będzie koniem.

Brys błysnął zębami w uśmiechu.

- Dlaczego nie, Guerin. Oby tylko Bóg zachował mnie i mojego wierzchowca przy życiu. Co jednak na to twój ojciec?

Lorda Alaina nie trzeba było przekonywać.

- Sam chciałbym mieć żrebaka po nim. Mam odpowiednią klacz, która właśnie rozgląda się za ogierem.

Jednak Guerin chciał mieć Brysa wyłącznie dla siebie. Twarz chłopca wyrażała w tej chwili najwyższą powagę i szacunek.

- Mój panie, niebawem osiągnę wiek pазia. Ufam, że z tą chwilą dołączę do twoich domowników.

- Guerin! - rzucił karcąco ojciec. - Co za zuchwałość! Natychmiast przeproś lorda de Balleroya! Decyzja o tym, gdzie znajdziesz się jako paż, należy do mnie i lorda, do którego się zwrócę w tej sprawie. Dzieci i ryby głosu nie mają.

Guerin przeprosił, lecz jego mina świadczyła o tym, że obstaje przy swoim.

Nagle Gisele uświadomiła sobie, kogo przypomina jej chłopiec, szczególnie w owych chwilach buntu. Jej ciałem wstrząsnął zimny dreszcz. Oto powiał mroźny wiatr i zgasił płomień pożądania, który płonął w niej od chwili opuszczenia komnaty.

- Możesz wrócić do siebie, synu - oświadczył lord Alain. - Peronelle, widzę, że skończyłaś jeść. Możesz odejść razem ze swoim bratem. Zajdę do was niebawem. - Pełnym troski spojrzeniem odprowadził dzieci do drzwi.

Gisele usłyszała głos Brysa:

- Alain, wiem już, że oddasz syna na wychowanie dopiero po zakończeniu wojny domowej w królestwie. Jednak zapewniam cię, że będę się czuł zaszczycony, jeśli twój wybór padnie na mnie.

Słowa te jedynie potwierdziły podejrzenia Gisele. Nic dziwnego, że chciał mieć Guerina przy sobie!

Alain odpowiedział równie uprzejmymi słowami, jednak docierały one do uszu Gisele jakby przez ścianę. Przypatrywała się w wyobraźni twarzy chłopca i strach chwycił ją za gardło. Te usta zaciśnięte w wyrazie sprzeciwu, to wyzywające spojrzenie, ten upór... To wszystko znała już bardzo dobrze. To wszystko mogła w każdej chwili odnaleźć na twarzy Brysa.

Pamiętała ranek i tamto swoje pierwsze wrażenie. Buźnia chłopca przypominała jej jakąś inną, dobrze jej znaną twarz. I wreszcie twarz tę odnalazła.

Spojrzała na lady Claire, zastanawiając się, czy ona również zauważyła podobieństwo pomiędzy de Balleroyem a chłopcem. Czy Alain uświadamiał sobie, kto tak naprawdę jest ojcem jego pierworodnego? Chyba nie, bo gdyby miał tę świadomość, nie powitałby Brysa tak serdecznie.

- Wybaczcie, ale rozboleła mnie głowa - powiedziała, wstając zza stołu. - Nie, nie ma potrzeby odprowadzać mnie, mężu - odparła, widząc jego wyciągniętą rękę, przed którą cofnęła się jak przed godzącym w nią mieczem. - Poradzę sobie sama. Zostań i dokończ wieszery. - Najbardziej przerażała ją myśl, że może zalać się łzami, zanim opuści hol.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Brys ścigał oczyma postać Gisele aż do samych drzwi. Co za licho zniszczyło jej radosny nastrój? Ból głowy był tylko wymówką, co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Przemiana nastąpiła zbyt gwałtownie, a poza tym jego żona wyglądała na zdenerwowaną, nie zaś na cierpiącą. Czyżby nie spodobał się jej pomysł zaproszenia Guerina na zamek do Tichenden i rozciągnięcia nad nim opieki? Przede wszystkim rzecz miała nastąpić dopiero za kilkanaście miesięcy i tak naprawdę od początku była bardzo wątpliwa, ponieważ Alain i Claire zdecydowani byli czekać, aż w królestwie zapanuje spokój. Czyżby nie rozumiała tego wszystkiego?

Powstał z zamiarem dołączenia do Gisele i porozmawiania z nią, zaraz jednak zawahał się. Odchodząc powiedziała, by został z Alainem i Claire. Może z jakiegoś powodu chciała być przez jakiś czas sama?

A jeśli źle ją ocenił? Jeśli naprawdę źle się poczuła? Nie mógł przecież wykluczyć, że ból głowy był objawem, jakiejś poważniejszej choroby, która, zlekceważona, mogła mieć dramatyczny przebieg.

Wyczuwając jego rozterkę, Claire również podniosła się z krzesła.

- Pozwól, że ja do niej pójde, Brys.

Żonę poparł Alain.

- Tak, zgódź się, by Claire wzięła sprawy w swoje ręce. Ma lek na ból głowy, który czyni cuda.

Lecz gdy po godzinie Claire wróciła i podeszła do siedzących przed kominkiem mężczyzn, wyglądała na stropioną.

- Dałam jej wywar na sen i teraz śpi - oświadczyła.

W jej twarzy było jednak coś takiego, co kazało Brysowi sądzić, iż nie do końca wierzy w chorobę Gisele.

Gdy jakiś czas później Brys wszedł do komnaty, zastał Gisele leżącą w łóżku, z twarzą do ściany. Oddychała wolno i regularnie, a jednak dałby sobie uciąć prawą rękę, że nie śpi.

- Co dzisiaj robiłaś, żono? - zapytał Brys nazajutrz, gdy wraz z Alainem wszedł do holu. Wrócili właśnie z porannego polowania z jastrzębiem.

Gisele, która plotła warkocze małej Peronelle, spojrzała na Brysa sponad ciemnej główki dziecka. Z jej twarzy trudno było cokolwiek wyczytać.

- Dokończyliśmy, ja i lady Claire, suknię z zielonego jedwabiu, tego od ciebie.

- Tak, to już mamy za sobą - dorzuciła Claire, zajęta haftowaniem nowej tuniki dla męża. - Jest piękna, jeśli wolno mi oceniać własną pracę. Rzadko widuje się równie szlachetny materiał. Twój wybór można tylko pochwalić, Brys. Sam zresztą się przekonasz, gdy zobaczysz tę suknię na swojej żonie. Gisele, moja droga, musisz koniecznie założyć ją na jutrzejsze święto. - Widząc zaś pytające spojrzenie przyjaciółki, wyjaśniła: - Jutro obchodzimy święto zakończenia sianokosów. Wszyscy z okolicy, jak

również zamkowa czeladź, zasiada wieczorem na dziedzińcu do stołów. Będą minstrele i żonglerzy. Będą też gry i zabawy...

- Tak... - bąknęła Gisele, po czym z powrotem zajęła się warkoczykami małej Peronelle.

- Lady Gisele, czy mogłabyś odwiedzić mnie w mojej komnacie? - spytała dziewczynka, gdy włosy jej zostały już zaplecione. - Chciałabym pokazać ci, pani, co włożę na jutrzejsze święto. Sukienkę uszyła moja mama specjalnie na tę okazję - dorzuciła i pociągnęła Gisele za rękę.

- Dziecko, przestań zadrezczać lady Gisele! - upomniwała ją Claire, wszakże głosem pozbawionym surowości. - Uczyłaś się jej dzisiaj niczym rzep psiego ogona. Wybacz, Gisele. Rzadko nas tu ktoś odwiedza i Peronelle...

- Ależ nie ma o czym mówić - mruknęła Gisele. - W takim razie zobaczymy się później...

Brys mógłby przysiąc, że Gisele przyjęła prośbę dziewczynki niczym dar niebios. Wyszła, ale tak naprawdę uciekła od niego. Zrobiło mu się przykro. Nie wiedział, jak odzyskać dawną Gisele, tę o gorącym, a nie lodowatym sercu. Miał tylko nadzieję, że tej nocy uda mu się odkryć przyczynę tej przemiany.

Odwrócił się i stwierdził, że Claire uważnie mu się przypatruje.

- Peronelle poczynia sobie z twoją żoną, Brys, dokładnie tak samo, jak Guerin z tobą - powiedziała. — Nie odstępuję jej ani na krok, a Gisele godzi się na wszystko. Myślę, że tęskni za własnym dzieckiem.

- Claire... - Chciał powiedzieć coś ważnego, a skończył na jednym słowie.

Lady Hawkswell była mądrą kobietą.

- Jeśli chcesz mnie zapytać, co trapi twoją żonę, to odpowiadam, że nie wiem. Unika rozmowy na temat swojej osoby, a mnie nie wypada natręctwem łamać zasad grzeczności. Ale bądź dobrej myśli, Brys. Naprawdę uważam, że ona cię kocha.

Być może kochała, pomyślał. Wtedy w ogrodzie w Westminsterze i wczoraj w komnacie, kiedy pragnęła go równie gorąco, jak on pragnął jej, być może przemawiało przez nią coś więcej niż tylko pożądanie. Ale tę miłość, niczym ostatnią różę jesieni, podczas wczorajszej wieszki zwarzył mróz, jakkolwiek on, Brys, nie znał przyczyny tego nagłego ochłodzenia.

Więc nawet jeśli mu się uda naprawić to, co zostało zepsute, to jaką ma gwarancję, że wszystko nie wróci do poprzedniego stanu, gdy wtajemniczy ją w haniebny sekret swego życia?

- Pojutrze rano ruszamy do Tichenden, Glaire - rzekł, zmieniając temat. - Już nie mogę dłużej odwlekać wyjazdu. Zostawię Gisele pod opieką siostry, a sam wrócę służyć królowej.

Może rozłąka z żoną okaże się najlepszym lekarstwem.

Położyła się do łóżka i okryła kołdrą. Świeca w lichtarzu paliła się równym płomieniem.

Brys podszedł i dotknął ramienia Gisele.

- Gisele, ja...

Pozostała sztywna i nieruchoma.

- Jestem zmęczona, mój mężu.

- Chciałbym tylko z tobą porozmawiać, dowiedzieć się...

Gwałtownym ruchem usiadła, cofając ramię przed jego dłonią. Spuściła nogi.

- Źle się czuję. Muszę na chwilę wyjść. - Wybiegła z komnaty.

Usiadł, czekając na jej powrót. Płomień świecy ogarniał swym blaskiem jedynie część pokoju. Na zewnątrz była już noc. Z ciemności przez szparę w okiennicy dobiegał śpiew słowika, który zalecał się do swojej wybranki. Czas mijał przeraźliwie wolno.

Brys wstał dzisiaj o świcie i również czuł się zmęczony. Bardzo chciał tej rozmowy z Gisele, licząc, że dowiedzie się, co ją gnębi. Jednak wino, które Wypił do kolacji, słowicze trele, poszum wiatru, wszystko to spowodowało nań senność. Powiedział sobie w duchu, że poczeka na żonę leżąc. Położył się zatem, by po chwili stwierdzić, że powieki mu się kleją. Dzielnie jednak wpatrywał się w świecę.

Nawet nie wiedział, kiedy zasnął.

Gisele zeszła po schodach do wielkiego holu i w tej samej chwili uświadomiła sobie, że popełniła wielki błąd, zakładając suknię z zielonego jedwabiu i dobierając do niej celtycki naszyjnik, mieniący się srebrem w obrzeżonej ciemnozielonym haftem zatoce dekoltu. Oczy Brysa powiedziały jej, że jest piękna - wyrażały pożądanie. Właśnie tego obawiała się najbardziej.

Włożyła suknię, bo nie chciała rozczarować Claire, która tak się nad nią napracowała. Lady Hawkswell okazała się niezmordowana w mnożeniu dowodów sympatii i przyjaźni, dlatego Gisele tym bardziej czuła się wobec niej winna.

Błąd polegał na tym, że roznieciła w mężu pożądanie, a przecież nie chciała tego. Najlepiej by zrobiła, wracając natychmiast do siebie i przebijając się w najgorsze łąchy, lecz, oczywiście, było to już niemożliwe. Podała więc rękę Brysowi i pozwoliła wyprowadzić się na podwórzec.

Niebo wczesnym rankiem groziło deszczem, lecz później roz pogodziło się. Wiał słaby i ciepły wietrzyk, w którym brzegi okrywających stoły obrusów falowały z lekkim szelestem. Oko radowało się na widok wędzonych szynek, pieczonej wołowiny, bochenków chleba, puddingów i owoców. Dziedziniec wypełniony był świętującymi.

Dzieci lorda Alaina śmiały się i rozmawiały razem z wiejskimi dziećmi i właściwie trudno było je od tamtych odróżnić. Jakże odmienny jednak czekał je los, pomyślała Gisele. Potomstwo chłopów zostanie na roli i śladem ojców będzie chodzić za pługiem, natomiast Guerin pasowany zostanie na rycerza, a jego siostra, gdy nadejdzie jej czas, wyjdzie za mąż za jakiegoś wielkiego pana z zamkami i włościami.

Gości bawiło dwóch wędrownych minstrelów. Ich łagodne tenorowe głosy brzmiały czysto i szlachetnie. Podczas posiłku śpiewali pieśni błagalne do Najświętszej Dziewicy i wszystkich patronów oracza, siewcy i kosiarza. Miejscowy ksiądz uśmiechem i kiwaniem głową nagradzał ich wybór, gdy jednak zdrzemnął się nad pustym kielichem, zmienili repertuar i popłynęła słodka miłosna pieśń:

Odkąd, luba ma, nasze myśli są zgodne,
Pomyślmy o zgodności czynów.

Niechaj twoje ramiona spleją się z moimi,
Zakosztujmy słodczy każdego dotyku.

O, różo świata, o, poświęco gwiazd,
Nie skruszy naszej miłości rozpędzony czas.

Gisele w pewnym momencie wyobraziła sobie, że też leży w ramionach Brysa, natychmiast jednak skarciła siebie w duchu i zapłoniła się. Miała nadzieję, że Brys nie zauważył jej rumieńca.

Patrzył prosto przed siebie, lecz gdy minstrele zaczęli następną strofę, dotknął jej ramienia i nachylając się szepnął:

- Nasze myśli nie są zgodne, moja żono, ale mam nadzieję, że będą.

Patrzyła nań, nie wiedząc, co powiedzieć. Długa i pełna przygód była wędrówka jej serca od chwili poznania go aż do ostatniego aktu, jakim było podanie mu ręki przed wyjściem na dziedziniec. Wielokrotnie buntowała się przeciwko rodzącej się w niej miłości do tego mężczyzny, zawsze w obawie przed utratą wolności, ale nie na wiele się to zdało. Kiedy zostali zmuszeni do ślubu, z pokorą przyjęła decyzję, co zresztą nie było wcale trudne, albowiem kochała już Brysa. Niepokoiła ją tylko myśl, że nie poślubił jej z własnej woli i chęci.

Poprzedniej nocy, gdy cierpiała katusze na myśl o przeszłych czynach Brysa, była pewna, że kwiat miłości zwiędnie w jej sercu, jednak omyliła się. Wbrew wszystkiemu nadal go kochała.

Być może na tym świecie takie właśnie jest przezna-

czenie niewiasty. Zostaje podbita i wzięta w niewolę jednym uśmiechem, ciepłym blaskiem brązowych oczu, uściskiem dłoni, smakiem pocałunku. Nawet najwięksi zbrodniarze w historii, jak na przykład Herod czy Neron, też pewnie znali kobiety, które nie mogły się oprzeć ich urokowi. A przecież Brys nie był zbrodniarzem czy łajdakiem, tylko człowiekiem, który popełnił ciężki, podwójny grzech, cudzołożył bowiem z żoną przyjaciela. Któż jednak jest bez grzechu?

Pozostawało jej poddać się miłości do męża. Będzie to trudna miłość, przede wszystkim ze względu na ową mroczną tajemnicę alkowy pierwszej żony lorda Alaina. Jednak Gisele nie mogła i nie chciała już odgrywać komedii z wychodzeniem do ustępu i z udawaniem, że śpi.

Dziś w nocy zakończy tę beznadziejną walkę, zapomni o obrażonej dumie i będzie mu powolna. Brys da jej rozkosz, była tego pewna. Jej miłość uzyska fundament, gdy stanie się żoną w pełnym tego słowa znaczeniu.

Pomyślała też, że być może jej uległość zrodzi w Brysie coś w rodzaju czułej sympatii dla niej. Pragnęła więcej, była nienasycona w swych pragnieniach, musiała jednak zadowolić się tą namiastką. Taki był już jej los. No i oczywiście musi przystać na wzięcie Guerina na wychowanie. Byłoby wielką niesprawiedliwością, gdyby za grzechy ojca odpowiadał syn.

I już chciała odpowiedzieć Brysowi, przesłać mu znak uległości, gdy powstał lord Alain i gestem ręki uciszył zgromadzonych.

- A teraz, gdy nasi śpiewacy zrobili sobie przerwę i raczą się winem oraz słodkimi ciastami, proponuję przystąpić do

gier i zabaw. Co powiecie, drodzy przyjaciele, a także ty, miła memu sercu żono, na „ucieczkę rzezimieszka”?

Okrzykami, gwizdami i oklaskami przyjęto tę propozycję.

- Zagramy w to później, gdy pogoda pozwoli - rzekła lady Claire, patrząc niespokojnie na ciemniejące na zachodzie niebo. Wiatr zaczął się wzmacniać i zrobiło się chłodniej. - Zaczniemy lepiej od „listy szmaciarza”, którą to grę przygotowałam z myślą o dzisiejszym święcie. - Wysoko uniosła rękę, w której trzymała długie i wąskie skrawki pergaminu. - Każdy podchodzi, bierze swój pasek, na którym spisana jest jego fortuna, i odczytuje zapis na głos. Kto nie posiadał sztuki czytania, tego wyręczy nasz wielbny pleban.

Rozległy się chichoty, gdy lord Alain przystąpił do budzenia duchownej osoby.

- Wygrywa ten, komu się trafi pasek z narysowaną gwiazdką. Nagrodą dla zwycięzcy będzie trzydniowe zwolnienie z posług i świadczenia jakichkolwiek innych zobowiązań. - Uśmiechnęła się widząc, że jej propozycja przyjęta została z entuzjazmem.

Wieśniacy ustawili się przed stołem baronostwa. Każdy, począwszy od świniopasa, a skończywszy na pisarczyku, chciał być tym szczęściarzem, który trafi na pasek z gwiazdką.

- Pilnie przykładasz się do swojej pracy i będziesz nagrodzony - przeczytał na głos ksiądz stojącemu przed nim pomocnikowi szynkarskiemu.

- Nagrodzony różgami, jeśli będzie zbyt zadzierał nosa - skomentował stojący nieopodal szynkarz.

Następny w kolejce był kucharz.

- Jesteś udzielnym władcą swego królestwa - brzmiał werdykt.

- A rządzisz warzächlich! - rzucił ktoś z tłumu.

Ekonomowi fortuna obiecała ożenek z ładną i hożą panną, co przyjął marszcząc się okrutnie, jako że przeżył w kawalerstwie już czterdzieści zim, natomiast dowódca łuczników dowiedział się, że zaliczony zostanie w poczet świętych, co jego podkomendni przyjęli gromkim śmiechem.

I tak po kolei podchodzono do stołu, aż wreszcie zbliżyła się gęsiarka. Sięgnęła po skrawek pergaminu i zobaczyła na nim gwiazdkę. Aż podskoczyła z radości, a potem obiegnęła, wymachując kartką, cały dziedziniec. Ostatni losował ksiądz. Przeczytał wszem i wobec, że fortuna nakazuje mu udać się zaraz na spoczynek, co też uczynił wśród wesołego śmiechu towarzystwa.

Państwu wypadało czekać na sam koniec. W misce pozostały tylko cztery losy.

- Jak ci się udało dopasować do każdego odpowiedni horoskop? - spytał Brys pomysłodawczyni.

Lady Claire wzruszyła ramionami.

- Wszystko to odbywa się na zasadzie czystego trafu. Kiedy bawiliśmy się w to w pierwszy dzień Bożego Narodzenia, ojciec Paul wyciągnął kartkę z napisem: „Masz Argusowe oczy i nigdy ich nie zamykasz”, na co inni zareagowali napadem śmiechu. Ojciec Paul poczuł się nawet urażony. Ale wracajmy do naszej zabawy. Teraz kolej na ciebie, Gisele, poznaj swoje przeznaczenie.

Posłusznie sięgnęła do miski i rozwinęła pasek pergaminu.

— Miłość nigdy nie umiera - przeczytała.

Boże, spraw, by naprawdę tak się stało, poprosiła w myślach.

Następnie Brys przeczytał swoją przepowiednię:

- Bądź sobą, a ci, których kochasz, niech odwiedzają ci się tym samym. - Odłożył zwitek z zamyśloną miną.

Lady Claire wyciągnęła rękę i już trzymała w niej swój los, gdy nagle błysnęło, grzmotnęło i otwarły się upusty niebios. Tłum rzucił się w kierunku bramy i zwodzonego mostu. Każdy chciał jak najszybciej znaleźć się pod dachem swojego domu. Tylko starzy ludzie opuszczali ucztę bardzo opieszale, tym jednak lord Alain polecił, by przeczekali ulewę w wartowni.

De Balleroyowie też nie czekali, aż przemokną do nitki. Już dopadali frontowych drzwi, gdy zatrzymał ich przeraźliwy krzyk. To Guerin nieszczęśliwie poślizgnął się na którymś z mokrych kamieni bruku i do krwi stał sobie kolano, a przy okazji przestraszył siostrę.

Powodowani jedną myślą, Gisele i Brys rzucili się ku dzieciom. Kolejna błyskawica rozjaśniła niebo i w jej fioletowym świetle widać było, jak Brys porywa z ziemi chłopca, a Gisele chwyta za rękę Peronelle. Po chwili cała czwórka była już pod dachem.

Pół godziny później, gdy kolano Guerina zostało już przemyte i opatrzone, Peronelle zaś usnęła w matczynych ramionach, Brys i Gisele znaleźli się w swojej komnacie. Ona podeszła do okna, on natomiast zajął się dorzucaniem polan do ognia na kominku.

Serce Gisele krwawiło. Wciąż miała przed oczyma tamtą scenę. Brys chwyta chłopca i biegnie z nim w kie-

runku schodów i drzwi. Ich twarze są tuż przy sobie. I pomijając różnicę wieku, są to twarze niemal identyczne.

- Podejdz i ogrzej się, Gisele - usłyszała głos Brysa.
- Trochę nas zmoczyło. Najlepiej będzie, jeśli przeberzemy się w coś suchego.

Patrzyli sobie w oczy i Gisele tym razem wytrzymała jego spojrzenie.

- Jesteś dla Guerina taki dobry i taki opiekuńczy - rzekła w ciszy, która raptem zapadła. - Musisz go bardzo lubić, nieprawdaż?

Kiwnął głową, jednak na jego twarzy widać było zaskoczenie.

- Oczywiście, to wspaniały chłopak. Lubię też Peronelle. Z pewnością wyrośnie na piękną pannę. - Podeszedł i dotknął rękawa zielonej sukni Gisele. - Pozwól, że ci pomogę to zdjąć.

Wyciągnęła rękę w obronnym geście. Musiała rzecz wyjaśnić do końca. Jeśli nie zrobi tego teraz, to nie zrobi tego nigdy i wreszcie kiedyś zadreńczy się na śmierć.

- To chyba naturalne, że go lubisz... Że go kochasz - poprawiła się.

Brys wyprostował się i jakby zeszywniał. Jego oczy stały się prawie czarne.

- Gisele, o czym ty właściwie mówisz?

Jak się spodziewała, łzy nie dały na siebie długo czekać.

- O tym, że wiem, iż Guerin jest twoim synem, a nie lorda Alaina! Ojcowie kochają swych synów i chcą mieć ich przy sobie. Oto przyczyna, dla której chcesz wziąć Guerina na wychowanie!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Wpatrywał się w swoją żonę, przeświadczony, że się przesłyszał.

- Co powiedziałaś?

Dzielnie wytrzymała jego przenikliwy wzrok. Łzy upodobniały jej źrenice do kamyków bursztynu widzianych na dnie w płytkiej wodzie.

- Och, po cóż te pytania! Chyba nie zaprzeczysz uderzającemu podobieństwu między wami. Ma twoją brodę i twoje usta, twój upór i twoją postawę. Jak już powiedziałam, nie dziwi mnie, że kochasz go i chcesz mieć przy sobie. Czego natomiast nie rozumiem, to tego, że przyjechałeś tu z uśmiechem na twarzy i deklarujesz przyjaźń wobec lorda Alaina. Czy on jest aż tak ślepy, czy też doszło między wami w tej sprawie do cichego porozumienia?

Brys wreszcie poznał przyczynę dziwnego zachowania Gisele podczas ostatnich dwóch dni. Przykro mu było głównie z tego powodu, że aż do tej chwili dusiła to w sobie, nie dając mu okazji do wyprowadzenia jej z błędu. Ale było też mu jej żal, gdyż bardzo się nacierpiła.

W pierwszym porywie chciał ją chwycić w ramiona i scałować cały jej ból, wiedział jednak, że nie wolno mu tego zrobić. Przynajmniej nie w tej chwili.

Został więc na swoim miejscu i rzekł, starannie dobierając słowa:

- Tak, ja i Guerin jesteśmy spokrewnieni. - Natychmiast jednak, zanim malujący się na jej twarzy gorzki triumf zdążył przemienić się w rozpacz, dodał: - Ale nie jest moim synem,

Podczas gdy głęboko poruszona Gisele powoli przychodziła do siebie, ciągnął:

- Nim przejdę do szczegółów, chciałbym wpierw usłyszeć od ciebie przyrzeczenie, że to, co za chwilę usłyszysz, zostanie między nami. Inaczej Guerin mógłby się znaleźć w wielkim niebezpieczeństwie, a ponadto ucierpiałyby na tym królowa i jej sprawa.

Podeszła do opartego o ścianę miecza, wzięła go i podała Brysowi.

- Chcesz przyrzeczenia, a ja gotowam ci przysiąc - powiedziała drżącym głosem. - Wyciągnij miecz z pochwy i trzymaj go rękojeścią do góry, niczym krzyż, jak to się robi podczas rycerskiej przysięgi.

Uczynił jak chciała, Gisele zaś dotknęła dużym i serdecznym palcem prawej ręki miejsca złączenia rękojeści, brzeszczotu i gardy, i powiedziała uroczystym głosem:

- Na to wyobrażenie Krzyża, symbolu Męki Pańskiej, przysięgam zachować w tajemnicy każde słowo, które mój mąż, Brys de Balleroy, za chwilę mi powie o chłopcu imieniem Guerin.

Gdy miecz wrócił na swoje miejsce, Brys przeszedł do relacjonowania bardzo zawikłanej historii. Powiedział w pierwszych słowach:

- Guerin jest synem Alaina i bardzo samotnej starszej niewiasty, małżonki Geoffreya, księcia Anjou.

Zdumienie Gisele nie miało granic.

- Matką Guerina jest Matyllda? - spytała nie wiadomo dlaczego szeptem.

Brys kiwnął głową.

- Jak wiesz, księcia i Matyldę od dawna już dzieli łądy i morza, nigdy zresztą ich życie małżeńskie nie układało się harmonijnie, no, może pomijając początkowy, bardzo krótki okres. Matyldzie udało się utrzymać ciążę w sekrecie. Przy porodzie był tylko zaufany i zaprzysiężony medyk. Potem natychmiast Guerin został przekazany ojcu. Gdyby świat się dowiedział o jego istnieniu, królowa byłaby zgubiona.

Z kolei Gisele kiwnęła głową.

- Jej mąż mógłby zażądać rozwodu, a Stefan...

- Zyskałby dodatkowy argument dla swoich roszczeń, nazywając rywalkę cudzołożnicą.

- Najbiedniejszy w tym wszystkim jest chłopiec który nie może być ze swoją matką - zauważyła ze smutkiem.

- Czy zna prawdę?

- Dotychczas nic nie wie o swoim prawdziwym pochodzeniu. Być może któregoś dnia ujawnienie mu tajemnicy nie będzie wiązało się już z żadnym ryzykiem.

Gisele wciąż wyglądała na zakłopotaną.

- Powiedziałaś, że istnieją między tobą a chłopcem więzy pokrewieństwa, ale że nie jesteś jego ojcem...

- Tak trudno zgadnąć? Jestem jednym z wielu bastardów starego króla, co czyni mnie poniekąd wujem Guerina. - Wykrztusił z siebie te słowa jak pestkę po śliwce, która wpadła do tchawicy.

Gisele była wstrząśnięta.

- Twoim ojcem był król Henryk?

Brys wiedział, że nic go już nie dławi i nie ogranicza. Spieniona gorycz mogła popłynąć, niczym lane strumieniem piwo.

- Tak, i niech będzie przeklęta jego lubieżność! Będąc jednym z wielu, równocześnie jestem poniekąd wyjątkowy. Moja matka, w odróżnieniu od pozostałych kochanek króla, nie chciała żyć pod mianem jego miłośnicy. Wy mogła na Henryku, by wydał ją za żonę za barona de Baleroya. Gdy się więc urodziłem, miałem już prawowitego ojca, przynajmniej w oczach świata. Baron jednak wiedział, co uprawomocnia swoim nazwiskiem, i od początku traktował mnie z niechęcią, a nawet nienawiścią. To mnie winił za to, że podrzucono mu, niczym kukułcze jajo, cudzego bękarta.

- Więc jak to się stało, że uczynił cię swoim dzieckiem i spadkobiercą? - spytała, pełna współczucia i żalu. Łatwo było jej się domyślić ogromu bólu, jaki krył się za słowami Brysa. . .

- Doszedł do wniosku, że nie ma wyboru. Jego żona, a moja matka urodziła mu trzy córki, a nie chciał przyszłością rodu grać jak w kości, to znaczy powierzyć ją przysłemu mężowi najstarszej z córek, który mógł się okazać dobry bądź zły, głupi bądź mądry. Kazał mi tedy przysiąc, że nigdy nie zdradzę swojego pochodzenia.

- Musiał być z charakteru bardzo podobny do mojego ojca - zauważyła Gisele. - Jednak, o ile sobie przypominam, masz też młodszego brata. Ojciec nie wydziedziczył cię, kiedy on się urodził?

Brys roześmiał się z goryczą.

- Nie zdążył. Ogier przyszedł na świat pół roku po jego śmierci. Owszem, baron wiedział, że znów zostanie ojcem, ale nie wierzył, że urodzi mu się syn. Jeszcze na kilka dni przed śmiercią powiedział, że „po tej kobiecie może się spodziewać tylko córek”. W rezultacie nie zwolnił mnie z przysięgi, która nadal mnie obowiązuje.

- Nie obowiązuje wszakże twojej matki - zauważyła Gisele.

Już nie gorycz, tylko ból malował się na twarzy Brysa.

- Zmarła na popołogową gorączkę, w dwa dni po urodzeniu Ogiera.

- Rozumiem.

Brys poczuł nagle ogromne zmęczenie. Podszedł do okna, wsparł się o kamienną framugę i zapatrzył w noc.

- Teraz już wiesz, dlaczego jeszcze się nie ożeniłem. Nigdy nie czułem się godny mieć małżonki. Żonie mąż daje swoje nazwisko, a ja tak jakbym go nie miał, Zakochałem się w tobie w chwili naszego poznania, piękna Gisele, lecz zaraz odsunąłem od siebie myśl, że mogłabyś zostać moją żoną. Bo kimże ja jestem? Szalbierzem i samozwańcem, bastarden, który przywłaszczył sobie cudze nazwisko, od tylu lat chroniące go przed światem.

- A jednak wtedy, w ogrodzie, próbowałeś mnie uwieść - przypomniła mu z brutalną szczerością.

- Tak - przyznał. - Jestem tylko człowiekiem, Gisele, i pragnąłem cię.

- Chciałeś się ze mną przespać.

- Lecz nie chciałem zabierać ci wolności, abys mogła

wyść za jakiegoś barona, który nie będzie bastarodem i będzie miał pełne prawo do swoich tytułów i włości.

- Naprawdę sądzisz, że po nocy spędzonej z tobą dbałabym o coś takiego? - spytała, z każdym słowem podnosząc głos. - Naprawdę sądzisz, że mogłabym się z tobą kochać, a potem wyjść za innego? Och, mój panie, nie jestem ulepiona z takiej gliny!

- Ani ja, ale gotów byłem wyrzec się ciebie dla twojego dobra...

- Mojego dobra? Uważasz, że za szczyt szczęścia uważam płodzenie dzieci jakiemuś baronowi? Prawda jest taka, że wyrzekając się mnie, pograżyłbyś mnie w rozpacz!

Wiedział, że słyszy prawdę.

- Czyżbyś kochała mnie, Gisele de l'Aigle? - spytał ze skruszoną miną. - I to, co usłyszałaś, nie odmieniło twoich uczuć?

Spojrzała mu prosto w oczy. Widział teraz całą jej duszę, szlachetną i czystą. Nagle zadrżała, nie wiedział, czy z zimna, czy też ze strachu.

- Nie odmieniło - odparła.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, jak łatwo jest unieważnić nasze małżeństwo? Wyszłaś za człowieka, który po ślubie okazał się zupełnie kim innym. Wiedz, że zamierzam powiedzieć Ogierowi całą prawdę, to on bowiem jest prawnym dziedzicem Balleroy. Nie mogę już dłużej żyć z ciężarem tej tajemnicy na sercu. Dręczy mnie sumienie, że odarłem Ogiera z należnych mu praw.

Wstrzymał oddech. Czekał. W oczach Gisele był teraz tylko bastarodem bez ziemi i bez tytułów. Zaledwie ryce-

rzem, którego jedyną własnością był jego miecz i koń. I taki właśnie mąż trafił się normandzkiej księżniczce. Czy odwróci się od niego z pogardą? Niech się to wreszcie rozstrzygnie. Każda odpowiedź będzie lepsza od tej straszliwej niepewności.

- Nie pokochałam cię dlatego, że jesteś baronem de Balleroy, Brys. Kocham cię bez względu na to, jaki tytuł nosisz i jakie jest twoje pochodzenie. Mógłbyś być sobie nawet prostym wieśniakiem, a i tak z czasem staniesz się lordem de l'Aigle, albowiem dziedzicę po ojcu. Czy to ci wystarcza?

Patrzył na nią, zaledwie mając odwagę uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał.

- Ty mi wystarczasz, Gisele - odparł z niepewnym jeszcze uśmiechem. - Pozwól, że pokażę ci, jak szczerze jest to wyznanie.

Wyciągnął ku niej ramiona, ona zaś nie wahała się ani chwili. Rzuciła się w nie niczym dziecko w ramiona ojca, który wrócił z dalekiej podróży.

- Moja Gisele, kocham cię - szepnął prosto w jej usta.

- Więc pokaż, jak bardzo, umiłowany. Uczyni mnie swoją żoną, do końca i w pełni.

Poszukał ustami jej ust i znalazł je, oczekujące i spragnione. Złączyli się w dzikim, namiętnym uścisku, przeznaczeni sobie od dawna i na zawsze. Po tylu dniach i nocach wielkiej niepewności mogli wreszcie spełnić wszystkie swoje pragnienia. Tonęli w doznaniach, jakie przedtem nie były i nie mogły być ich udziałem, bo żadne nie wiedziało, czy jest kochane. Teraz każdy dotyk sprawiał beznierzną radość i czuli się jak ślepcy, którzy odzyskali wzrok.

W końcu z rozbawieniem stwierdzili, że ich mokre ubrania przylgnęły do ciał i utrudniały to, na co mieli tak wielką ochotę.

Jedynym wyjściem było je zrzucić. Brys nie omieszkął przypomnieć Gisele, że już raz to zaproponował. Roześmiała się, odpowiadając, że wtedy było jej zimno, teraz zaś pali ją całe ciało. I pokazała wzrokiem na jego dłoń, która poprzez wilgotny jedwab pieściła jej pierś. Dodała, że chyba dostała gorączki.

- To gorączka miłości, najdroższa — odparł ze śmiechem. - Musi być zaraźliwa, bo także ją czuję.

- A jakie jest na to lekarstwo? - spytała zalotnie, uwodzicielsko.

On już jednak zdążył o tym pomyśleć. Rozluźnił sznurówkę na jej plecach i zsunął suknię z jej ramion. Gdyby nie była zmoczona deszczem, zapewne z cichym szelestem opadłaby na kamienną posadzkę, a tak zatrzymała się na szczupłych biodrach, jakby przymuszona do tego panińskim wstydem.

- O tym już pomyślałem - mruknął Brys i, ledwie hamując niecierpliwość, -pomógł sukni opaść. Koszula z cienkiego lnu już nie stawiała żadnego oporu. Dała się łatwo zdjąć przez głowę.

Gisele westchnęła, oblana nagle chłodnym powietrzem. Całe jej ciało pokryła gęsia skórka, a brodawki stwardniały i przypominały teraz różowe pąki, które za chwilę przemienia się w kwiaty. Jednak owo wrażenie chłodu nie trwało długo, gdyż Brys chwycił ją na ręce i zaniósł do łóża. Położył tak ostrożnie, jakby była dzieciną kładzioną do kolebki, po czym sam się rozebrał. I po raz

drugi w ciągu ostatnich dni Gisele uległa olśnieniu. Jego ciało wojownika miało w sobie coś antycznego, tak mógł wyglądać Achilles bądź Hektor, choć nie wtedy, gdy walczyli, tylko kiedy zbliżali się do łoża miłości. Męskość Brysa, w całej okazałości, wabiła i przerażała zarazem. Gisele, wpatrzona w nią w hipnotycznym osłupieniu, nie mogła sobie wyobrazić, jak coś takiego zdoła przyjąć w sobie.

Brys położył się przy niej na boku i przygarnął ją do siebie - delikatnie, prawie z szacunkiem. Jej ciało, napięte w oczekiwaniu czegoś brutalnego, rozluźniło się i nabrało miękkości. Serca ich były zgodnym rytmem. Po tamtym wilgotnym chłodzie leżeli teraz w upale.

Gisele doznała miłego mrowienia w sutkach, którymi ocierała się o owłosiony tors Brysa, a poniżej brzucha poczuła pulsowanie jego gorącej męskości. Kusiło ją, by tam spojrzeć, trzymał jednak jej oczy na uwiezi swojego spojrzenia. Oczekiwał na moment, gdy pojawi się w nich sygnał, że Gisele gotowa jest na wszystko.

Ośmielona jego delikatnością, przywarła do niego, na co odpowiedział uśmiechem pełnym zadowolenia. Zamknął oczy i odwzajemnił się namiętną pieśczęcią, całując jej szyję w okolicy ucha, sięgnął pomiędzy uda i dotarł do źródła rozkoszy.

Gisele, rozpalona i oszołomiona, wygięła się w łuk i narpała na Brysa brzuchem. Nogi i ręce miała ciężkie jak kamienie, lecz starczyło jej sił, by dźwignąć się i podać mu swoje piersi. Chwycił wargami sutkę i, ssąc, nie tyle gasił pragnienie, ile je potęgował. W sobie i w niej. Za-

pragnęła krzyknąć, lecz resztką świadomości zapanowała nad sobą. Krzyk wydał się jej nie na miejscu.

- Brys - szepnęła. Kurczowo objęła go ramionami, jakby bojąc się, że przestanie i odejdzie sobie. Umierała... Tak, mogła gotować się na śmierć, jeśli jej kochanek nie ugasi ognia, który ją trawi. Nagle stało się dla niej jasne, co może przynieść jej ulgę - połączenie się z mężem. Niech ją rozerwie na pół i wypełni, inaczej ona zmieni się w garstkę popiołu.

- Błagam... -jęknęła, kładąc się na plecach i zginając w kolanach rozchylone nogi, w nadziei, że Brys zrozumie, czego oczekuje od niego.

Ale on, mimo że rozumiał, bo nie mógł nie zrozumieć tego niemego języka znanego wszystkim ludziom od prawieków, zapytał, ostatnie słowo nasycając nieskończoną czułością.

- Czego pragniesz, żono?

- Ciebie - odparła krótkim tchnieniem, bo cóż tu można było więcej powiedzieć.

- Ależ jestem przy tobie - rzekł, uśmiechając się i napierając delikatnie, tak iż wkroczył w bramę jej kobiecości, lecz nie przekroczył jej.

- Wejdz we mnie... - Wstrzymała oddech. Cała była jednym wielkim oczekiwaniem.

- Czy tak? - Naparł na nią lekko brzuchem i biodrami.

- Nie... tak... - Wpiła się palcami w jego pośladki, bo wciąż się jej zdawało, iż zwleka i że jest zbyt opieszaly.

Aż stało się. To, czego tak się bała. Przeniknął ją płomień bólu, ale trwało to nie dłużej od uderzenia serca. Natychmiast zresztą o tym zapomniała, Brys bowiem zasypał

ją deszczem pocałunków i drobnych pieścizot, szepcząc jej do ucha cudowne słowa o miłości i o tym, jaka sama jest wspaniała.

Jednak to on był wspaniały, bo wprowadził ją zranił, lecz zaraz pospieszył z kojącym balsamem. I to właśnie chciała mu powiedzieć, lecz już nie zdążyła. Zanurzył się bowiem w niej jeszcze głębiej, a potem wydobył. Powtórzył ów ruch i wreszcie wpadł w triumfalny i radosny rytm. Z początku nie brała udziału w jego święcie, bo tamta rozkosz, wywołana pierwszymi pieścizotami, nie chciała powrócić. Ku radości Gisele pojawiła się jednak, najpierw niczym światełko w mroku, a potem wysoką falą, za którą szła następna. Zalewana rozkoszą, lady de Balle-roy dyszała i jęczała. Już nie broniła się przed śmiercią. Chciała umrzeć.

- Brys! - krzyknęła, tonąc i zapadając się.

Usłyszała jego chrapliwy krzyk, poczuła, że wyprężył się w ekstazie i osunęła się w pomrokę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Gdy Brys i Gisele zeszli raniem do wielkiego holu, czekała ich tam miła niespodzianka.

- Maislin! - wykrzyknął Brys na widok młodego olbrzymia, który powstał z za stołu. Puste talerze wskazywały, że dopiero co skończył się posilać.

- Panie!

Gisele obserwowała, jak giermek i jego pan serdecznie się witają.

- Przybył późno w nocy i nie chciał wyrwać was ze snu - oświadczyła Claire z uśmiechem.

Gisele poczuła, że się czerwieni. Doprawdy, niewiele spała tej nocy. Czas im upłynął na drzemce przerywanej już to tkliwymi pieszczotami, już to spazmami dzikiej namiętności. Wstali o świcie, zamierzając ruszyć w dalszą drogę do Tichenden, lecz wystarczył im przypadkowy dotyk, by znów siebie zapragnąć. Wrócili do łóżka i w rezultacie pojawili się w wielkim holu najpóźniej ze wszystkich.

- Dotarłbym do Hawkswell dużo wcześniej, panie, gdyby nie ta burza i konieczność szukania schronienia - rzekł Maislin, po czym przeniósł wzrok na Gisele. - Opuściłaś Londyn, pani, razem z moim panem? - spytał wiedziony ciekawością.

Gisele nie czekała, aż Brys za nią odpowie.

- Wzięliśmy ślub w Westminsterze krótko przed tym, jak londyńczycy ruszyli na pałac.

Maislin najpierw się zdumiał, a następnie rozpromienił.

- Składam więc najlepsze życzenia nowożeńcom! Nie mogłeś znaleźć sobie, panie, bardziej urodziwej żony. Od tej pory staję się wiernym sługą was obojga - rzekł i padł przed Gisele na kolana.

Nie mogła powstrzymać się od śmiechu, gdyż kamienna posadzka o mało co nie popękała pod jego kolanami.

- Dziękuję z całego serca, Maislin.

- Przyjechałeś w samą porę, by zabrać się z nami do Tichenden, gdzie lady Gisele zostanie pod opieką mej siostry - rzekł Brys.

Na twarzy giermka odbił się niepokój.

- Panie...

Brys szybko zapytał:

- Miałeś jakieś kłopoty z dotarciem do Stefana?

- Żadnych. Wręczyłem mu list i mogę powiedzieć, że zdrowie mu dopisuje.

Dla Gisele było przykrym zaskoczeniem, że zdarzenia ostatniej nocy w najmniejszej mierze nie przeobraziły Brysa ani też nie zmieniły jego planów. Jak mógł ją teraz opuścić, kiedy właśnie się odnaleźli? Musiała wymyślić jakiś sposób zawrócenia go z tej drogi.

- Muszę jednak powiedzieć - dodał Maislin - że gdy wróciłem do Londynu i dotarłem do Chepeside, bej tam szukałem cię, panie, zastałem wielce nieciekawą sytuację. Wszyscy w sąsiedztwie gadali tylko o znalezieniu

w piwnicy twego domu rannego lorda de Mandeville'a, który oskarża cię o wszystkie zbrodnie świata i już rozesłał...

- To Geoffrey de Mandeville żyje?! - zakrzyknął Brys. - Sądziłem, że zabiłem tego padalca!

Zazwyczaj wesoły i skłonny do psot Maislin tym razem był uosobieniem powagi.

- Nie udało się, panie! Słyszałem od pewnego rymarza, że, owszem, już witał się z diabłami w piekle, lecz jakimś cudem wrócono go do życia. Co się stało, panie?

Brys spojrział na Gisele. Była blada i drżąca.

- O wszystkim opowiem ci później. A teraz ja i moja żona zjemy śniadanie, po czym wszyscy troje siadamy na konie i ruszamy w dalszą drogę. Po tym, co powiedziałaś, tym pilniej mi jest dowiedzieć lady Gisele do Tichenden.

Maislin skrzywił się, jakby rozboleł go żołądek.

- Ależ, panie, lady Gisele pochodzi ze szlacheckiego rodu i jest panią o dobrym sercu i wielkiej kulturze, natomiast lady Avelaine...

Brys pociemniał na twarzy.

- Mojej żonie nigdzie nie będzie lepiej niż pod okiem mej siostry. Zrozumiałaś, Maislin? - Było to pytanie, które nie wymagało odpowiedzi, ucinało bowiem wszelką dyskusję.

Gisele nie rozumiała zarówno tego, że giermek tak niechętnie odniósł się do pomysłu, by zamieszkała w Tichenden pod opieką lady Avelaine, jak i tego, że Brys tak gniewnie zareagował. Zadała sobie również pytanie, jaką też osobą jest owa nie znana jej jeszcze dama.

Nie było łatwo opuścić zamek Hawkswell i jego mieszkańców. Szczególnie przykro odczuwała to Gisele, która dowiedziała się tak wiele o miłości, czerpiąc z przykładu Alaina i Claire. Uściskom i obietnicom rychłego spotkania nie było końca. Kiedy wreszcie jednak znaleźli się za bramą, Brys puścił konia galopem. Za nim pognali Gisele i Maislin.

Podróż minęła im bez przygód, lecz dotarli do Tichenenden już ciemną nocą. Mury prezentowały się okazale, choć sam zamek był mniejszy od zamku Hawkswell. Gdy jednak dowódca straży, opuściwszy zwodzony most, powitał Brysa donośnym basem, zdolnym kruszyć skały, Gisele nabrała otuchy i pomyślała, że Maislin niepokoił się całkiem niepotrzebnie.

Jednak niewiasta, która powitała ich na dziedzińcu, wcale nie wydawała się ucieszona ich przyjazdem.

- Mógłbyś, panie bracie, uprzedzić mnie o swojej wizycie - oświadczyła kłótliwym głosem, kładąc dłonie na kościstych biodrach.

- Uczyniłbym to, Avelaine, gdybym miał wczoraj przy sobie Maislina - brzmiała odpowiedź. - Dołączył do nas jednak dopiero dziś rano. Jak wiesz, czasy są niespokojne i nie wszystko można zrobić, jak człek sobie zaplanuje. Oto moja żona, lady Gisele. Powitaj ją zacie.

Avelaine zrobiła taką minę, jakby dopiero teraz zobaczyła Gisele, co było oczywiście nieprawdą. Rozległo się jej zduszone gęganie:

- Ożeniłeś się? To jest twoja żona? Myślałam, że raczej ... - Trzepnęła się palcami po ustach. - Witamy w Tichenenden, lady Gisele. Jestem lady Avelaine, najstarsza siostra Brysa.

Gisele odwzajemniła powitanie i nadal przypatrywała się tej dziwnej osobie. Pomiedzy nią a jej bratem nie było nawet cienia podobieństwa. Może tylko kolor włosów świadczył, że poczęci zostali w łonie tej samej kobiety, choć przy kasztanowych włosach Brysa jej włosy wydawały się raczej czerwonożółtawe. Rysy twarzy miała ostre i drapieżne, oczy zaś jasnoniebieskie i cokolwiek wyblakłe.

- Nie zaprosisz nas do środka, siostrze? - przypomniał jej Brys o obowiązku gościnności. - Od rana jesteśmy w drodze i moja żona jest zmęczona. Wiem o tym, bo sam czuję, że ciało odpada mi od kości.

Blade policzki Avelaine zakwitły ceglastym rumieńcem.

- Oczywiście, zapraszam. Tyle że to twój zamek, panie bracie, i powinieneś czuć się tutaj jak u siebie w domu. - Niedbałym gestem pokazała na drzwi, a uznawszy, że grzeczności stało się zadość, zwróciła się do Maislina: - Ty fujaro o wielkim cielem i ptasim mózdzku, myślisz, że zapomniałam, jak ostatnim razem naniósł mi błota na świeże sitowie?

Gisele, która wraz z Brysem już wchodziła po schodach, zatrzymała się i obejrzała za siebie, ciekawa reakcji młodego olbrzyma, lecz Brys pociągnął ją za rękę.

- Nie przejmuj się - rzekł. - Tych dwoje, gdy się spotka, zawsze skacze sobie do oczu. Maislin zresztą potrafi się odgryźć.

Jakby na potwierdzenie doleciały jej uszu słowa giermka:

- Moje buty są butami wędrowca, który ma za sobą wiele dni podróży, i są dokładnie tak czyste jak nasze gościńce

i podwórza. Na ucho świętego Jakuba, widzę, że od czasu mojej ostatniej wizyty nie stałaś się, pani, ani trochę uprzejmiesz. Bez wątpienia wciąż niezamężna? I nic dziwnego, bo kto cię weźmie z tym ciętym, złośliwym językiem!

- Tak? A ty pewnie, przerośnięty schabie, w dobroci i uprzejmości równasz się aniołom? - padła ostra odpowiedź.

Gisele zauważyła rozbawienie na twarzy Brysa.

- Mężu, czy on aby nie przesadza...

- Och, już dawno dałem Maislinowi wolną rękę w rozmowie z moją drogą siostrą. Ostatecznie jako syn barona dorównuje jej szlachectwem. Nie przejmuj się, byłaby boleśnie rozczarowana, gdyby położył uszy po sobie - zapewnił ją Brys.

Pomimo swego drażliwego usposobienia Avelaine była dobrą gospodynią. Minęło zaledwie pół godziny, a już siedzieli przy stole, mając przed sobą półmiski z duszoną dziczyzną, koszyki z pięknie wypieczonym chlebem i miseczki z wodą, w której pływały grudki masła o ślicznej żółtej barwie.

- Jakie to wszystko smaczne i jak pięknie podane - chwaliła Gisele gospodynię. - Pewnie trzymasz, pani, w wielkim posłuchu służbę.

Zakładała, że Avelaine lubi panować i rządzić, jeśli więc chciała nawiązać dobre stosunki z siostrą męża, najlepszym na to sposobem było docenienie jej wysiłków jako gospodyni Tichenden.

Avelaine przygryzła usta i wcale się nie śpieszyła z odpowiedzią. W końcu jednak przemówiła:

- Teraz to twoja służba, bratowo. Jutro z samego rana

oddam ci klucze. - Wskazała na wiszący u pasa pęk. - Chyba że wolisz wejść w ich posiadanie jeszcze dzisiaj? - Zamilkła, lecz wciąż patrzyła pytająco.

- Avelaine, naprawdę nie ma potrzeby stawiać tak... - zaczął Brys, lecz nie dokończył, gdyż przerwała mu Gisele, zdjeta strachem, że niepewny początek może przemienić się w całkowitą klęskę.

- Ale skądże! Po cóż mam wchodzić w twoje obowiązki, pani, skoro mój mąż mnie zapewnia, że od lat wykonujesz je wzorowo?

Avelaine nie wydawała się bynajmniej udobruchana tymi słowami.

- Jako żona mojego brata jesteś teraz panią na Tichenden. W tej sytuacji nie byłoby właściwe z mojej strony żądać od innych posłuchu. A poza tym mogę też chcieć odpocząć po tylu latach zarządzania zamkiem i włościami. - Oblicze jej jednak mówiło całkiem co innego.

- Kilka godzin różnicy nie ma najmniejszego znaczenia, Avelaine - rzekł Brys. - Pobędę tu dzień lub dwa, nim wyjadę dołączyć do królowej. Przez ten czas możesz zaznajomić moją żonę z jej obowiązkami. A jeśli wolno zmienić temat... Gdzie jest Ogier?

Gisele uświadomiła sobie, że całkiem zapomniała o młodszym przyrodnim bracie Brysa, prawdziwym dziedzu Balleroy i Tichenden.

- W łóżku, oczywiście, gdzie każdy normalny chłopiec przebywa o tej porze - odparła Avelaine. - Choć z drugiej strony muszę liczyć się również z tym, że po moim wyjściu mógł je opuścić. Sprawdzę, zanim pójde do siebie.

Gisele zauważyła wymianę znaczących spojrzeń po-

między siostrą a bratem, nie miała jednak klucza do ich tajemnicy.

- Chyba nie będzie to konieczne, Avelaine - rzekł Brys. - Czternastoletni wyrostek to nie pędrak, którego zagania się z powrotem do łóżka.

Gisele spuściła wzrok na talerz z nie dojedzonym kawałkiem ciasta owocowego. Zaskoczył ją wiek Ogiera Młodziankowie w tym wieku już zaczynają rozglądać się za pannami, a młodemu paniątku nietrudno było znaleźć chętną dziewczkę służebną. Czy o to właśnie w tym wszystkim chodziło?

Z drugiej jednak strony dlaczego Ogier nie przebywa na którymś z książęcych dworów, przygotowując się do pasowania na rycerza? Niektórzy chłopcy w tym wieku już są giermkami, jeśli mają ku temu warunki fizyczne i trochę rozumu w głowie. Boże, chyba nie jest upośledzony umysłowo? Jeżeli tak, to nic dziwnego, że Brysowi trudno było podjąć decyzję o przekazaniu mu baronostwa.

- Zobaczę się z nim jutro rano - rzekł Brys, ucinając dyskusję. - Masz może jakieś świeże wieści od naszych sióstr z Fontrevrault?

- Dopytują się w każdym liście, kiedy wybierzemy się z wizytą do Normandii, opat zaś donosi o ich zadziwiających postępach w nauce. Żadna jednak nie ma powołania do życia zakonnego.

Wydawała się rozczarowana tym faktem. Brys wręcz przeciwnie.

- W takim razie któregoś dnia będę musiał znaleźć innych dobrych mężów.

Godzinę później Gisele brała już kąpiel, o której pomyślała zaradna i przewidująca Avelaine. W pewnym momencie zdecydowała się poruszyć drażliwy temat. Mimo że uczyniła to bardzo ostrożnie, Brys natychmiast zmarszczył brwi.

- Co masz właściwie na myśli? Chodzi ci o to, że Ogier nie jest normalnym chłopcem?

- Po prostu... Chciałam tylko powiedzieć, że większość chłopców w tym wieku przebywa poza rodzinnym domem - odparła, starając się niczym nie obrazić uczuć Brysa. - A może jest zbyt wąty lub słabuje na umyśle?

Ku jej zdziwieniu, Brys, który był już po kąpieli i teraz wycierał ciało ręcznikiem, odchylił do tyłu głowę i wybuchnął serdecznym śmiechem.

- Słabuje na umyśle! A to dobre sobie! Udało ci się, kochanie! Prawda jest taka, że Ogier mógłby być wzorem tężyzny umysłowej. Mówi biegle w czterech językach i mógłby bez końca recytować z pamięci fragmenty poematów Homera, oczywiście w oryginale. Nie, Ogier zadziwia polotem rozumu i duchem. Mimo to po części masz rację, albowiem faktycznie nie dopisuje mu zdrowie. W okresie, gdy powinien znaleźć się jako paź na którymś z zamków, dostał przewlekłej płucnej choroby połączonej z zadyszką i sapaniem. Wszystko jednak idzie ku lepszemu i można mieć nadzieję, że gdy tylko w królestwie zapanuje spokój i ład, pomyślimy o tym, by uczynić z niego rycerza. Natomiast jak długo... - Przerwał, a na jego twarzy odmalowało się zakłopotanie.

Gisele odczekała chwilę, by dać mu okazję zakończenia rozpoczętego zdania. Kiedy zaś nadal milczał, zapytała:

- A może wyślesz go do lorda Alaina i lady Claire?

- Niewykluczone. Możemy wymienić się chłopcami - Guerin za Ogiera. Poza tym mam pewność, że Alain nie pozwoli żadnemu innemu chłopcu dokuczać Ogierowi z racji jego osobliwego starszeństwa. Jeśli tylko...

- Jeśli tylko co? - Tym razem Gisele postanowiła być trochę bardziej dociekliwa.

- Och, nic. I nie przejmuj się Avelaine. Przez jakiś czas może być ostra i nieprzyjemna, ale ona zawsze w tak dziwny sposób poznaje inne osoby. Przywykła do zarządzania Tichenden podczas moich częstych nieobecności, ale teraz ty jesteś tu panią i na jej warczenie śmiało odpowiadaj.

Myśl o kłótniach w najbliższej rodzinie napełniła Gisele przestachem, tym bardziej że Brys miał niebawem wyjechać.

- Mężu, ależ ona gotowa mnie znienawidzić! Poza tym chyba nie godzi się powiedzieć Avelaine: „Jesteś już niepotrzebna, twoje obowiązki przejmuje moja żona!”.

- Czy ty naprawdę nie masz się czym martwić, moja słodka Gisele? - spytał Brys, pochylając się i całując w oba mokre policzki. - Avelaine pozna cię i pokocha, jak ja cię pokochałem. - Uśmiechnął się, patrząc na jej piersi, zanurzone do połowy w wodzie. - No, może trochę inną miłością, hmm, chciałem powiedzieć, zdecydowanie inną miłością. Śliczna moja, myślę, że już czas zakończyć tę kąpiel. - Dotknął wskazującym palcem jej brodawki.

- Jako posłuszna żona muszę być z tobą jednej myśli. - Dźwignęła się z wanny i Brys zobaczył cud nagiego kobiecego ciała.

Albowiem wciąż jej nagość przeżywał jak prawdziwe objawienie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Gdy rankiem Gisele otworzyła oczy, Brysa znów nie było przy niej. Wydawało się, że jest jej przeznaczone budzić się i znajdować na poduszce tylko wgłębienie po jego głowie.

Jednak tym razem może tak właśnie było najlepiej. Nie była pewna, czy ośmieliłaby się spojrzeć mu w oczy po tych wszystkich bardzo intymnych doznaniach minionej nocy. Nigdy nie podejrzewała, że bezmiar rozkoszy może wyzuć kobietę ze świadomości!

Przedsmakiem śmierci nazwał ów stan Brys, gdy wreszcie odzyskała zmysły i odnalazła siebie w jego ramionach. Na wspomnienie tamtej chwili oblała się rumieńcem.

Ubrała się i zeszła na dół. W wielkim holu zastała tylko bratową, która sztorcowała i brała do galopu sprzątające ze stołu służebne.

- Dzień dobry, lady Gisele - prychnęła sarkastycznie.
- Zostało jeszcze trochę chleba i wina, jako że my tutaj w Tichenden zwykliśmy wstawać dużo wcześniej.

Gisele puściła mimo uszu tę uszczypliwość. Pozdrowiła Avelaine i usiadła za stołem. Kiedy kilka minut temu otwierała okiennice w swojej sypialni, słońce dopiero dźwigało się znad horyzontu, więc dzisiaj na pewno nie

można było jej zarzucić, że wylegiwała się w łóżku. Sięgając po chleb, zauważyła, iż pęk kluczy, który wczoraj znajdował się przy pasku Avelaine, leży teraz pomiędzy jej talerzem a pucharkiem na wino.

- Co porabia Brys? - zapytała.

- Krząta się wokół gospodarskich spraw - brzmiała odpowiedź, przy czym jej pełny sens zawierał się również w tonie, który oznaczał: „Jak i ty powinnaś, gdybyś dorównywała mu pilnością!” - Tutaj zawsze jest coś do zrobienia.

- Och, jestem tego pewna.

Zapanowała męcząca cisza.

- Chodźmy - powiedziała Avelaine, gdy Gisele przeżuwała jeszcze ostatni kęs chleba. - Pokażę ci zamek, abyś mogła podjąć swoje obowiązki gospodyni. - Wskazała spojrzeniem na leżący na stole pęk kluczy.

Trzy godziny później wchodziły przez bramę na dziedziniec po wizycie u chorej starej kobiety, mieszkającej w wiosce tuż za murami zamku.

- Teraz powinnaś iść i sprawdzić, czy praczka uporąła się już z brudną bielizną - rzekła Avelaine. - To leniwe stworzenie, więc nie można spuszczać z niej oka.

- Dobrze, dopilnuję tego - mruknęła Gisele, trochę zmęczona kilkugodzinną gonitwą za Avelaine. Zajrzała dzisiaj do każdego zakamarka twierdzy, wiedziała już, gdzie jest brama wypadowa i gdzie tajemne wyjście z zamku, przydatne w razie oblężenia. Rozmawiała z każdą osobą pracującą w obrębie zamkowych murów, od stajennego po dójkę. Starą się zapamiętywać to, co mówiła jej siostra Brysa o gospodarskich sprawach, choć szczęśliwa

byłaby, gdyby zdołała zapamiętać choć połowę. Była też przeświadczona, że sama nie trafi do pralni, mimo że była tam dwie godziny temu, wołała jednak nie przyznawać się przed Avelaine do braku orientacji w terenie.

Kiwnęła głową i ruszyła w kierunku pomieszczeń gospodarskich. W tej samej chwili zatrzymał ją głos szwagierki. Nie do niej jednak tym razem zwracała się Avelaine.

- Tu cię mamy, giermku!

Z konfuzji wypisanej na twarzy Maislina można było wywnioskować, że zauważył Avelaine dużo wcześniej i chciał obejść ją szerokim łukiem, a potem czmychnąć. Niestety, nie udało się.

- Słucham, lady Avelaine?

- Idź i powiadom swojego pana, że obiad podany zostanie za godzinę.

Maislin skłonił głowę na znak, że zrozumiał, powiedział wszakże:

- Mój pan jest teraz zajęty w kaplicy rozmową ze swoim bratem. Nie mogę im przeszkadzać. Poza tym posłano mnie...

- Bzdura. Posiłek to ważna rzecz. Wykonaj to, co ci powiedziałam.

- Ale...

- Ja powiadomię męża - wtrąciła się Gisele, przychodząc Maislinowi z pomocą. Chciała nie tylko zażegnać kłótnię, lecz i poznać młodszego brata Brysa, prawdziwego dziedzica Tichenden i Bałteroy.

- A co z praczką? - zaprotestowała Avelaine.

- Pójdę do niej po widzeniu z mężem - odparła Gisele.

- Mam pewien pomysł, siostró. Dlaczego Maislin nie miałby przenieść z piwnicy do kuchni tej ciężkiej beczki, o której mówiła nam kucharka? Dla niego będzie to frazszka. Tylko oczywiście zechciej pokazać mu, o którą beczkę chodzi.

Avelaine, ku wielkiej uldze Gisele, uznała ten pomysł za dobry.

- Chodź, wielkoludzie.

Gisele uśmiechnęła się do siebie. Będzie musiała później przeprosić Maislina za to, że rzuciła go na pożarcie lwom, a raczej lwicy.

Brys spoglądał w półmroku na chłopięcą twarz brata. W kaplicy paliło się tylko kilka świec.

Ogier znów wystrzelił w górę od ich ostatniego spotkania i już niómal doganiał go wzrostem. Był chudy jak tyka i, można by rzec, jego ciało składało się z samych nóg i głowy. Przypominał żrebaka, lecz blade był jak panna, zbyt blade i za delikatny jak na chłopca, który niebawem miał zakosztować wszelkich trudów rycerskiego rzemiosła.

- Wybacz, że przeszkodziłem ci w modlitwie, bracie, pomyślałem jednak, że powinniśmy porozmawiać. Tutaj nikt nam nie przeszkodzi.

- Nie masz za co przeproszać, bracie - odparł Ogier z ujmującym uśmiechem na pozbawionej rumieńców twarzy. - Ja też pragnąłem rozmowy z tobą. Wybierałem się już nawet, by powinszować ci ożenku, pomyślałem jednak, że lepiej będzie najpierw się pomodlić... Zresztą mniejsza z tym. Cieszę się, że cię widzę.

- Mnie również spotkania z tobą sprawiają radość. - Teraz dopiero Brys zauważył pierwsze ślady zarostu na policzkach brata. - Jak zdrowie? Zadyszka całkiem minęła?

Ogier kiwnął głową.

- Od wielu miesięcy nic mnie już nie dusi. Avelaine twierdzi, że mam to już za sobą.

Brys odetchnął z ulgą.

- To dobrze, bo właśnie chciałem porozmawiać z tobą o twojej przyszłości.

Chłopiec ożywił się.

- Kierują nami takie same intencje, bracie, bowiem to samo miało być przedmiotem mojej rozmowy z tobą. Jestem już dostatecznie dorosły, bym mógł decydować o swoim przyszłym życiu i dokonać wyboru dalszej drogi.

- Nie masz potrzeby wybierać, bo nadszedł czas, byś poznał całą prawdę - rzekł Brys odrobinę twardszym głosem. - Chodzi o twoją sytuację majątkową i odpowiedzialność, jaka się z tym wiąże. - Odchrząknął. Czuł nieprzyjemne pulsowanie w skroniach. - Czekałem z powiedzeniem ci tego, aż wyzdrowiejesz i okrzepniejesz. W rezultacie dowiesz się czegoś, co powinieneś wiedzieć już jako berbec.

Na twarzy Ogiera odbiło się zdumienie, lecz zaraz podniósł dłoń o palcach szczupłych jak u panny.

- Poczekaj, Brys. Ja już zdecydowałem, co będę robił w życiu. Chcę wrócić do Normandii i...

Lecz Brys był nieubłagany,

- To pewne, że wrócisz do Balleroy.

- Nie do Balleroy, bracie, tylko...

- Posłuchaj mnie, chłopcze. Żyłem w kłamstwie przez wiele lat i moja dusza ugina się już pod brzemieniem grzechu. Teraz pragnę uwolnić się od tego ciężaru. - Kolejnym spostrzeżeniem Brysa było, że Ogier, klękając do modlitwy, usunął poduszkę spod kolan.

- Oczywiście, postaram ci się ulżyć, bracie, w twojej duchowej biedzie, ale czy nie zrobiłbyś lepiej, szukając pomocy kapłana? - spytał młodzieniec.

- Nie. To ty musisz mnie najpierw wysłuchać, bo chodzi tu o twoją krzywdę. I nieważne, że dotychczas wprowadzałem cię w błąd z rozkazu... naszego ojca. - Zgodnie z prawdą powinien był powiedzieć „twojego ojca”, lecz z jakiejś przyczyny nie mógł.

- Nie rozumiem - mruknął Oger. - Zawsze byłeś wzorem starszego brata. Pod twoimi rządami Balleroy i Tichenden rozkwitły... Gdzież tu moja krzywda?

- Rzecz w tym, że przez te wszystkie lata rządziłem bezprawnie. Prawowitym panem wszystkich włości i zamków, jak również dziedzicem tytułów jesteś ty.

Kilka razy głęboko odetchnął i wrócił w opowieści do samego początku. Wspomniał o umowie zawartej między królem Henrykiem a ich matką, jej zamażpójściu i przysiędze złożonej na wyraźne życzenie ojczyma. Mówił o swoich rozterkach i o swoim bólu. Jego wyznanie niczym właściwie nie różniło się od spowiedzi.

Gisele, która stała w półmroku w pobliżu drzwi, cierpiała razem z nim. Ileż odwagi i hartu ducha trzeba było, by wyznać to wszystko temu młodzieńcowi, będąc świadomym konsekwencji! Wiedziała, że powinna wycofać się, nim któryś z nich ją zauważy, powstrzymywała ją jed-

nak miłość. Chciała być tu, by w razie potrzeby pocieszyć Brysa i zapewnić go, że słusznie postąpił. Ogier mógł się zachować różnie. Kto wie, czy nie okaże gniewu i pogardy?

Tymczasem on słuchał z pobladłą twarzą, a kiedy Brys skończył, odwrócił się do niego plecami.

- Nie! To niemożliwe! Nie mogę zostać lordem Balle-roy!

- Ależ ty od chwili urodzenia nim jesteś. Żałuję, że wzięłem udział w tym rodzinnym oszustwie. Częściowym tylko usprawiedliwieniem może być fakt, że zostałem do tego zmuszony. Teraz z nadzieją czekam twojego wybaczenia, a gdy uznasz za stosowne mnie przepędzić, przyjmę ten wyrok z pokorą.

- Ależ ty niczego nie rozumiesz, bracie! - wykrzyknął chłopiec. - Zawsze cieszyłem się z tego, że nie jestem pierwotnym synem, uważałem to nawet za błogosławieństwo. Moje spojrzenie biegnie ku górze i czekam chwili, gdy będę służył Królowi Wszechświata, a nie ziemskiemu władcy! Pragnąłem rozmowy z tobą, Brys, by oznajmić ci, że postanowiłem wstąpić do klasztoru w Fontevrault!

Nie było powodu do strachu, a jednak Brys wyglądał na przerażonego.

- Chcesz zostać mnichem? Odrzucasz baronostwo? Nie, to niemożliwe. Decyzję swoją podjąłeś, nie wiedząc, kim naprawdę jesteś. Pomyśl tylko, bracie, możesz mieć zamki i ziemie, tytuły i przywileje. Ożenisz się, urodzą ci się dzieci...

- Wymieniasz dobra tego świata. Owszem, jest w nich

uroda i pewna wartość, lecz ja mierzę dużo wyżej. Nie zadowala mnie to, co cieszy innych. Chcę pokutą i modlitwą zaskarbić sobie łaski Pana. I pamiętaj, nie zmienię swojej decyzji, nawet gdybym usłyszał od ciebie, że jestem królem. - Wszystko to Ogier powiedział równym, spokojnym, nieco ściszym głosem.

- A czy pomyślałeś o swoich obowiązkach wobec Balleyfoy i Tichenden? Wobec rodzonych sióstr?

- Nie i przykro mi z tego powodu. Oświadczam, że nie mogę przyjąć tytułu lorda Balleroy.

- A może nie chcesz puścić mnie z torbami? Nie bój się, jestem rycerzem i potrafię mieczem zarobić na chleb i wino. Nie zapominaj też, że moja żona jest dziedziczką FAigle. Tak więc jeśli chodzi o moją przyszłość, to możesz być o nią spokojny.

- Nie o to chodzi. Cały czas omijasz, bracie, istotę rzeczy. Czy nie rozumiesz? Czuję się wezwany i muszę iść.

Gisele zauważyła, że spokój Ogiera doprowadza jej męża do szaleństwa.

- W takim razie wiedz, że zostawisz swoje siostry bez grosza, na łasce ludzi - rzekł szorstko Brys. - Całe dziedzictwo Balleroyów przejmie Kościół, a nie zanosi się na to, by któraś z twoich sióstr chciała pójść w twoje ślady. Pytam więc, co stanie się z nimi?

Ogier zmieszał się. Najwidoczniej w swoich przemyśleniach nie uwzględnił tej sprawy.

- Myślę, że Kościół zadowoli się częścią mojego dziedzictwa. Wniosę w wianie Tichenden, a Balleroy przypadnie Avelaine.

- Avelaine, która z tą chwilą stanie się łakomym ką-

skiem dla wszystkich normandzkich łajdaków! - wykrzyknął Brys. - Podczas gdy ty będziesz odprawiał modły w ciszy i spokoju. O nie, bracie, to nie jest odpowiedź godna mężczyzny!

Ogier zamyślił się. Widać było, że toczy wewnętrzną walkę.

- Jest jeszcze inne wyjście, bracie - rzekł, kładąc dłoń na ramieniu Brysa. - Możemy zostawić rzeczy takimi, jakimi były do tej pory. Ty jesteś dziedzicem, a ja młodszym bratem.

- Nie mogę na to przystać! - zaprotestował Brys. Jego twarz wyrażała udrękę. - Przez całe lata wyglądałem dnia, gdy wreszcie stanę się uczciwy wobec ciebie. Mam nadal nosić maskę?

- Poznałem prawdę i dokonałem wyboru. Zwracam ci baronostwo dobrowolnie. Bracie, nie nakładaj na mnie tego ciężaru, bo załamie się pod nim. Ty jesteś rycerzem, ja nie. - Roześmiał się krótko, nerwowo. - Wystarczy na nas popatrzeć. Być może to choroba mnie tak ukształtowała, ale przyniosła mi też dar powołania. W duchowym skupieniu i uniesieniu spędzałem czas na modlitwie i nauce, twoją namiętnością zaś były bitwy i podróże. Jesteś żonaty. Cenię i szanuję niewiasty, ale nie wyobrażam sobie życia w klatce małżeństwa. Warto też zapytać, czy podołam obowiązkom wobec sióstr. Kiepski będzie ze mnie gospodarz, kiepski mąż, kiepski wojownik. Natomiast w stanie duchownym mogę przydać się ludziom, bo takie jest moje przeznaczenie.

- Nie wydaje mi się, byś wszystko dokładnie przemyślał - upierał się Brys. - Wyjeżdżam jutro, masz zatem ca-

ły dzień na rozważenie tej kwestii. Jestem pewien, że wieczorem dasz mi inną odpowiedź.

- Nie zmienię postanowienia, bracie, nawet gdybym myślał całymi miesiącami.

- Ogier! - wybuchnął Brys i Gisele zorientowała się, że czas wyjść z ukrycia.

- On ma rację, Brys. Poznał prawdę, a mimo to obstaje przy swojej decyzji pójścia do klasztoru. W tej sytuacji musisz zatrzymać tytuł i wziąć na siebie łączące się z tą godnością zobowiązania - rzekła jednym tchem, podchodząc do mężczyzny.

Milczeli. Nie mogli ochłonać ze zdumienia.

- Wybaczcie, że podsłuchałam waszą rozmowę. Weszłam do kaplicy, bo szukałam ciebie, mężu, i chciałam poznać ciebie, szwagrze. Witaj, Ogier. Jestem lady Gisele.

Młodzian już zdążył się opanować. Uśmiechnął się.

- Witaj; bratowo.

Brys nie chciał się zgodzić z jej oceną sytuacji. Gotów był walczyć.

- Wychodzisz z błędnego założenia, iż...

- Wybacz, że ci przerwę, ale rozsądną jest rzeczą poświęcić mniejsze dobro dla większego. Balleroy i Tichen-den będą rozkwitały pod twoimi rządami, siostrom zapewnisz przyszłość, twój brat będzie szczęśliwy. Czyż nie mam racji, Ogier?

- Nie mógłbym tego lepiej wyrazić. Witaj w rodzinie, Gisele. - Położył dłonie na jej ramionach i pocałował w oba policzki.

Brys ciężko westchnął.

- Pozostała jeszcze jedna kwestia do rozwiązania. Czy

nasze siostry również powinny poznać prawdę? Chyba nie możemy rozstrzygać o tak ważnych sprawach za ich plecami.

Ogier przez jakiś czas pocierał wierzchem dłoni brodę.

- Wyznaję, że nie wiem, co postanowić. Chciałbym się pomodlić, to może znajdę odpowiedź.

- Mam do przekazania, że obiad będzie za...

W tej samej chwili dał się słyszeć odgłos szybkich kroków. Ktoś biegł. Spojrzeli ku drzwiom. Stała w nich zadyszana, czerwona na twarzy Avelaine.

- Avelaine! Brys pozwolił mi wstąpić do klasztoru! - Ogier zamierzał mówić dalej, lecz zamilkł, zorientowawszy się, że z siostrą jest coś nie tak.

- O co chodzi, Avelaine? - spytał Brys.

- O co chodzi? Na pewno nie o pogodę i tegoroczne zbiory! Ta fujara i gamoń, ta niezgrabota, ten twój giermek prznosił beczkę z piwnicy do kuchni, poślizgnął się i złamał sobie prawą rękę! Nie mówiąc już o tym, że roztrzaskał beczkę!

Brys o nic już nie pytał i całą czwórką pospieszyli na miejsce wypadku.

Maislin siedział na bruku dziedzińca, oparty plecami o mur. Czoło miał zroszone potem, a twarz tak błądą, że aż zielonkawą. Avelaine zadbała już o unieruchomienie jego ręki deszczułką z rozbitej beczki i porwaną na paski koszulą.

- Posłałam już po księdza, bo zna się na złamaniach - oznajmiła Avelaine. - Nie wygląda na to, aby kości się przemieściły, ale mogę się mylić. Jeżeli jednak mam rację, szybko nam wydobrzeje.

- Wybacz, panie... - rzekł Maislin zbolalym głosem, patrząc na Brysa.

- To nie twoja wina, Maislin - zapewnił go Brys, który jednak wydawał się czymś wielce zmartwiony. Gisele domyśliła się powodu jego troski. W najbliższym czasie czekały go bitwy, a on został bez wiernego giermka.

Gisele nawet nie spostrzegła, jak upłynął cały dzień i nastał wieczór. Nie mogła zapomnieć, że to jej ostatnie godziny z Brysem przed długą rozłąką... chyba że zdoła go przekonać, by wziął ją ze sobą. Obmyśliła nawet mały podstęp. Poprosi go, gdy będzie gotów się z nią kochać.

Zawiodła się jednak w swych planach, bo małżonek okazał się nieugięty.

- Nie, kochanie! Trudy wojaczki nie są dla niewiasty, a nie ma nic gorszego niż bronić się w zamku obleganym zimą.

- Zimą? - spytała z niedowierzaniem. - Przecież mamy dopiero lipiec.

- Posłuchaj więc uważnie. Jeśli Matylda zostanie w Oxfordzie, to jest niemal pewne, że Stefan okraży ją wszystkimi swoimi siłami. Wiadomo, jak długotrwałe bywają obleżenia, gdy rzecz dotyczy solidnej twierdzy. Wspomniałem o zimie, lecz działania wojenne mogą przeciągnąć się nawet do wiosny. Nie chcę mieć cię ze sobą w miejscu, gdzie po wyrznięciu całego bydła i ptactwa ludzie zaczynają zabijać i zjadać konie, a następnie szczury.

- Ja też nie chcę, byś przebywał w takim miejscu! - zawołała, pełna buntu i rozpacz. - Kocham cię, Brys!

Pozostań ze mną! Na pohybel wszystkim tym waśniom o koronę!

- Nie płacz - prosię ją. - Rycerz i baron nie może plamić swojego honoru! Muszę jechać. Tutaj jesteś bezpieczna. Gdyby zaś coś mi się przydarzyło...

- Coś ci się przydarzyło? - powtórzyła jak echo.

Kiwnął głową i uśmiechnął się.

- Mało prawdopodobne, lecz trzeba się z tym liczyć. W takim przypadku ty i Avelaine wracajcie do Normandii.

- Nie! Chcę być z tobą! Przetrzymam każde oblężenie! Weź mnie ze sobą! W CMordzie wrócę do roli damy dworu. Jestem pewna, że Matylda mnie potrzebuje.

- Podjąłem już decyzję. A teraz nie marnujmy czasu. Chciałbym wyjechać stąd z nadzieją, że nosisz w łonie moje dziecko.

Cóż mogła mu na to odpowiedzieć? Jej powinnością było zrobić teraz wszystko, by tak właśnie się stało.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTYTRZECI

- Przykro tak zostawać, prawda, Maislin? - zagadnęła Gisele chmurnego giermka. Bardzo się starała, by powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Próbowała znaleźć zapomnienie w rozmowie z młodym olbrzymem. Stali we wrotach twierdzy, patrząc na malejącą w oddali sylwetkę jeźdźca i jego konia. Plamka zmieniła się w punkt, który w końcu wtopił się w zielenią krajobrazu.

Maislin roztarł zdętwiałą prawą dłoń.

- To upokarzające zostać do pilnowania kobiet, gdy powinienem wyruszyć na wojnę razem z moim panem! Och, dla ciebie, pani, z ochotą oddałbym życie, lecz dla tamtej Gorgony nie poświęciłbym nawet palca! I kto będzie teraz opiekował się lordem Brysem? Kto przygotuje mu posiłek? Kto pościeli mu do snu? Kto rozdzieje go ze zbroi po walce?

Każde z pytań giermka powiększało smutek zbolałej Gisele.

- Miejmy nadzieję, że nie dojdzie do bitwy - powiedziała, choć bardzo w to wątpiła - oraz że mój mąż znajdzie kogoś do pomocy. Bo tylko pomyśl, Maislin, w czym byś mu się przydał z tą złamaną ręką? Kiedy kość się zrośnie, dołączysz do swego pana, taka przecież stanęła między wami umowa. Poza tym nie zgadzam się z tobą. Lady

Avelaine nie jest Gorgoną. - Mimowolnie uśmiechnęła się, wyobrażając sobie swoją szwagierkę z węzami na głowie zamiast włosów, spojrzeniem zamieniającym ludzi w kamienie. - Dziś wyjątkowo ładnie wyglądała w tej sukni śliwkowego koloru. I wiesz, ona chyba cię lubi, choć stara się to ukryć. Dziś rano powiedziała mi, że masz bardzo ładne oczy.

Maislin drgnął.

...- Mam ładne oczy? Tak właśnie powiedziała? - spytał w najwyższym zdumieniu.

- Czy mam to powtórzyć? - zagadnęła prowokacyjnie Gisele. Cieszyła się z efektu, jaki wywołało jej niewinne kłamstwo. Chciała doprowadzić co najmniej do sytuacji, gdy Maislin i Avelaine zaczną się wzajemnie tolerować. Nie chciała być świadkiem sprzeczek, kłótni i handryczenia się tych dwojga. Jej ambicje nie kończyły się na tym, ale o poważniejszych planach wołała na razie nie myśleć.

- Avelaine, mam ci do przekazania kilka miłych słów - powiedziała godzinę później do siostry Brysa, gdy ta zajęta była sporządzaniem napoju, który ponoć przyspieszał zrastanie się kości.

Szwagierka spojrzała na nią podejrzliwie.

- Niby jakich? Coś od Brysa?

Gisele zaczęła pilnie przypatrywać się swoim paznokciom.

- Nie, od jego giermka.

Avelaine ściągnęła brwi.

- Co też takiego mógł powiedzieć ten przerośnięty bałwan, co mogłabym uznać za miłe? - Mimo widocznego na twarzy sceptycyzmu wydawała się zaciekawiona.

- Maislin powiedział mi, że w tej śliwkowej sukni wyglądasz wyjątkowo ładnie - rzekła lady de Balleroy.

Szwagierka sprawiała w tej chwili wrażenie rażonej piorunem, a Gisele ledwie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Że też ten bęcwał potrafi rozróżniać kolory! - zawołała Avelaine, jakby dokonała epokowego odkrycia. - I to wtedy, gdy chodzi nadaşany, że Brys nie wziął go na wojnę.

Gisele wołała jednak w tej chwili nie myśleć o mężu, było to bowiem ponad jej siły.

- Powiedz mi, szwagierko, dlaczego ten wywar przyśpiesza zrastanie się kości?

Brys bezpiecznie dotarł do Oxfordu. Zanim jeszcze zsiadł z konia, już wiedział, że królowa na czele swych wojsk wyrusza niebawem do Winchesteru.

- Brys! Gdzieżeś się podziewał, ty niewdzięczny hul-taju? - wykrzyknęła na jego widok Matylda. - Przyby-wasz sam czy z żoną, lady Gisele?

Brys zwięźle opowiedział królowej o wydarzeniach ostatnich dni. Dowiedziała się między innymi, że Gisele jest w Tichenden i że Geoffrey de Mandeville jakimś cudem wyslizgnął się diabłu.

- Szkoda, że go nie zabiłeś - westchnęła Matylda. - Łotrostwo trzeba pienić. A co u drogiego Alaina? Jak się miewają jego dzieci? Więc twoja młoda żona została sama w małżeńskiej łóżnicy? Założę się, że nie jest szczęśliwa z tego powodu.

Cierpliwie i z szacunkiem Brys odpowiadał na kolejne

pytania. Nie skomentował jednak uwagi królowej dotyczącej Gisele. Miał przed oczyma jej twarz w chwili pożegnania. Była dzielna, nie uroniła ani jednej łzy. Przygryzała tylko dolną wargę, blada jak opłatek.

- Wiesz, dobrze zrobiłbyś przywożąc ją tutaj - rzekła w pewnym momencie Matylda. - Bardzo by mi się przydała. Tę pyską małą Manette de Mandeville musiałam odesłać do klasztoru. Jakiś nicpoń zrobił jej dziecko, mówię , jakiś", bo odmówiła wskazania ojca.

Brys uśmiechnął się na myśl o wyuzdanej Manette z wielkim brzuchem, więzionej przez zakonnicę.

- A co z tym marszem na Winchester? - zapytał.

- Właśnie, dobrze, że poruszyłeś ten temat. Ruszamy jutro rano. Dałam Henry'emu, lordowi Winchester, dostatecznie dużo czasu na wyrażenie skruchy za opuszczenie mnie w Londynie. Wysłałam nawet do niego mojego brata Roberta z zaproszeniem, by dołączył do nas i reprezentował naszą sprawę. Jednak moja cierpliwość się skończyła. Wykurzimy lisa z kryjówki!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Najcięższe były noce. Minał lipiec i sierpień, nastał wrzesień. Za dnia szukała zapomnienia w gospodarskiej krzątaniu. Obmyślała posiłki, nadzorowała kucharki, pilnowała, by zupa nie została przesolona, a mięso przypalone, lała воск do formy, pamiętając, że dni są coraz krótsze i należy uzupełnić zapas świec. A także dbała o to, by świeże sitowie zawsze pokrywało posadzki. Nie zapominała też o chorych i starcach mieszkających w wiosce.

Zażywała codziennych raportów z prac polowych i otrzymywała je. Zżęto żyto, a potem pszenicę. W połowie sierpnia pojawiły się na polach snopki jęczmienia i owsa. Rozpoczął się czas młocki, a potem mielenia ziarna na mąkę. Ze świeżej mąki chleb wydawał się smaczniejszy i jakby piękniej pachniał.

Avelaine, oczywiście, była bardzo pomocna i warto było korzystać z jej rad i doświadczenia. Dziwiła się tylko, że Gisele jest pod koniec dnia tak bardzo zmęczona. Jej wszystko przychodziło łatwiej i to ona właściwie powinna mieć klucze. Gisele pocieszała się jedynie myślą, że któregoś dnia Brys zabierze ją do Balleroy i będzie mogła zostawić Tichenden pod opieką Avelaine.

- Jesteś przy nadziei, prawda, droga Gisele? - spytała Avelaine któregoś pięknego wrześnieowego dnia. Ostre ry-

sy jej twarzy łagodził ciepły uśmiech. Patrzyła na ziewającą smacznie bratową. - Och, jestem pewna, że jesteś. Brys oszaleje z radości na widok twojego cudownego brzuszka.

Gisele posmutniała i o mało nie wybuchnęła płaczem. Od rozstania z Brysem miała już dwie miesiączki, co dawało jej pewność, że nie zaszła w ciążę. Nie spełniły się nadzieje jej i Brysa.

- Nie, nie spodziewam się dziecka. Po prostu niewiele spałam ubiegłej nocy.

Avelaine zagęgała współczująco:

- Szkoda, wielka szkoda. Pewnie zamartwiasz się o los mojego brata, zżera cię niepokój. Te cienie pod oczami mówią same za siebie.

Gisele kiwnęła głową.

- Nie sądziłam, że będzie mi tak ciężko. Coraz gorzej znoszę tę rozłąkę. - Śniła o nim prawie każdej nocy, i niejeden raz były to sny miłosne. Potem budziła się, sięgała ręką i natrafiła na puste miejsce. Często też przychodziła jej na myśl Manette de Mandeville. W jakimś sensie upodobniła się do niej, gdyż tak jak ona zasmakowała w fizycznej miłości, z tą jednak różnicą, że jedynie Brys mógł być jej kochankiem.

Częściej jednak nawiedzały ją nocne koszmary, podczas których widziała Brysa we krwi, rannego, wołającego ją do siebie. Wtedy budziła się z łomoczącym sercem i zła na zimnym potem.

- Nie dochodzą tu żadne wieści ze świata - powiedziała Gisele. - Nie wiemy, co się dzieje. Nawet nie wiem, gdzie w tej chwili przebywa Brys.

- Najpewniej jest przy Matyldzie. Pamiętasz tego domokrażcę? Powiedział, że królowa ehćąc ukarać biskupa Winchesteru, ruszyła oblegać jego zamek.

- Może i tak - zgodziła się. - Mimo to martwię się o męża. Żebym choć miała pewność, że nie cierpi głodu.

- Bardzo go kochasz, prawda? - powiedziała Avelaine, gładząc Gisele po ramieniu. - Cała aż promieniejesz tą miłością. Bardzo się cieszę, że właśnie ciebie mój brat wziął sobie za żonę.

Gisele uśmiechnęła się, pełna wdzięczności. Przez te ostatnie dwa miesiące stosunki między nią a Avelaine bardzo się zacieśniły. Szwagierka złagodniała, stała się mniej uszczypliwa, a przy tym wypiękniała na twarzy. Może dlatego, że pozbyła się większości swych gospodarskich obowiązków, miała więcej czasu dla siebie i nie przemęczała się pracą? Gisele miała co do tego pewne wątpliwości. Avelaine była stworzona do zarządzania i rola pani na zamku bardzo jej odpowiadała. Nie, przyczyna tej odmiany musiała być inna.

Rozległo się pukanie do drzwi, które zaraz się otworzyły.

- Witaj, Maislin - powiedziała Gisele, zauważając kątem oka przemianę na twarzy Avelaine.

Ta zaś, mimo że powitała Maislina sucho i rzeczowo, nie potrafiła jednak zapanować nad mimiką. Oczy jej zapłonęły, wargi rozchyliły się, a policzki pokraśniały od rumieńców, choć były to zazwyczaj oczy zgaszone, wargi zaciśnięte, policzki zaś chorobliwie blade.

Ależ ona go kocha!

Giermek przykładnie ukłonił się i wyciągnął ku Ave-

laine to samo ramię, które jeszcze parę tygodni temu miał w łupkach. Trzymał opieczętowany rulon pergaminu.

- Z Chertsey przybyło dwóch benedyktynów. Było im po drodze i przywieźli list od Ogiera.

Krótko po wyjeździe Brysa Ogier stawiał się przed Avelaine i Gisele i oznajmił im, że od miejscowego kapłana nauczył się już wszystkiego, czego mógł się nauczyć, i pragnie teraz pogłębiać swą wiedzę razem z duchownymi braćmi w Chertsey. Pierwszą reakcją Avelaine był sprzeciw, gdy jednak Gisele powiedziała jej, że zdaniem Brysa Ogier winien iść drogą swego powołania, również dała mu swoje błogosławieństwo. Chertsey leżało niecały dzień drogi od Tichenden.

Avelaine chwyciła list.

- Zobaczmy, co też tu napisał! Czy mnisi wspomnieli coś o moim bracie? Czy wciąż co miesiąc przybywa mu cał wzrostu?

- Pewnie tak, pani - rzekł Maislin z uśmiechem.

- A kazałeś ich nakarmić? Poprosiłeś ich, by zechcieli spędzić noc pod naszym dachem? - spytała Gisele.

Maislin kiwnął głową.

- Są wdzięczni za gościnę. Przy wieczerzy sami podziękują ci, pani.

- Przeczytaj list głośno; Avelaine. Jestem bardzo ciekawa jego treści.

Gisele słuchała, lecz bez należytego skupienia, bo jej uwagę przyciągał wyraz twarzy olbrzyma, który nie spuszczał oczu z czytającej Avelaine. Niegdyś unikał siostry Brysa jak zarazy, a teraz spoglądał na nią z szacunkiem i uwielbieniem. On również ją kocha!

I kiedy to się stało? Czyżby do tego stopnia pochłonięta była codziennymi obowiązkami i myślami o Brysie, że nie dostrzegła oznak zakończenia wojny i nastania pokoju? I był to najpiękniejszy z możliwych pokójów, bo pokój miłości.

Ciekawa była jednak, jaką fazę osiągnęło to uczucie. Maislin był o rok lub dwa lata młodszy od Avelaine i jakkolwiek miał być pasowany na rycerza, potem zaś dziedzić po ojcu, baronie Andover, na razie był tylko giermkim, Avelaine zaś była siostrą barona. Gdyby teraz wyszła za Maislina, byłby to mezalians. Wszystko zależało od tego, jak bardzo się kochają i czy w ogóle zdają sobie sprawę ze swojej miłości.

Gdy Avelaine skończyła czytać tkliwy i piękny list Ogiera, Gisele zdecydowała się uczynić małą próbę.

- Do wieczery pozostało nam jeszcze trochę czasu. Napiszmy więc odpowiedź, a braciszkanie doręczą ją Ogierowi - zaproponowała.

- Przedni pomysł - zgodziła się entuzjastycznie Avelaine, lecz ani ona, ani Maislin, choć znany był z grzeczności i uprzejmości, nie zaofiarowało się pójść po pióro i pergamin.

Gisele zrozumiała i uśmiechnęła się w duchu. Pragnęła pozostać ze sobą sam na sam. Oto nadarzała się dobra okazja i postanowili z niej skorzystać.

Gisele wstała, mówiąc, że idzie po przybory do pisania.

Avelaine podziękowała, lecz wydawała się nieobecna duchem.

Wychodząc, lady de Balleroy zostawiła drzwi uchylone. Pospieszyła do swego pokoju, zabrała wszystko, co

niezbędne do napisania listu, a więc pergamin, inkaust, pióro, piasek i wosk, i ruszyła w drogę powrotną. Zbliżyła się do uchylonych drzwi na palcach i zajrzała przez szparę.

To, co zobaczyła, przeszło wszelkie jej oczekiwania. Avelaine siedziała na kolanach Maislina i namiętnie się całowali. Lecz nie tylko, bo Maislin pieścił piersi ukochanej, ta zaś odpowiadała cichymi westchnieniami.

Gisele, wciąż zachowując największą ostrożność, wycofała się aż do schodów, po czym na powrót ruszyła korytarzem, czyniąc tyle hałasu co pijany żołdak.

Zaledwie udało się jej skryć uśmiech na widok zajętej szyciem Avelaine i Maislina, który gorliwie dokładał do ognia. Zdradzały ich tylko zarumienione twarze i pewien nieład we włosach szwagierki.

Maislin niebawem wyszedł, tłumacząc się innymi obowiązkami, Avelaine zaś nawet nie pożegnała go spojrzeniem.

Ona i Gisele zajęte były od południa szyciem koszul dla mężczyzn w Tichendeni. Było w zwyczaju, że co roku w święta Bożego Narodzenia zamek obdarowywał poddanych różnymi prezentami, a najczęściej było to nowe odzienie. Ponieważ Gisele, gdy zjawił się Maislin z listem, miała do dokończenia tylko jeden szew, sięgnęła po igłę i prędko uporała się z robotą. Podniosła wzrok i spojrzała na porządnie złożone koszule uszyte przez Avelaine. Wystawał spod nich rąbek czarnej wełny. Zaciekawiona pociągnęła za niego i ze zdumieniem ujrzała zakonny habit.

- Skąd to się tutaj wzięło, Avelaine? - spytała.

Odpowiedź padła niemal natychmiast.

- Tichenden zawsze okazywało gościnność podróżnym. Kilka lat temu zatrzymały się tutaj cztery zakonnice. Jedna z nich była bardzo chora i pod tym dachem oddała duszę Bogu. To jej habit.

- Ale dlaczego nie została w nim pochowana?

Avelaine potrząsnęła głową.

- Jej towarzyszki mówiły o jakimś przekleństwie i zdecydowały się pochować ją jedynie w koszuli. Wydawało mi się to jedną wielką bzdurą, bo nieszczęsna nabawiła się choroby wskutek upadku do strumienia. To wszystko.

- I zatrzymałaś to jako pamiątkę?

Avelaine wzruszyła ramionami.

- Niezupełnie. Kiedyś nosiłam się z myślą przywdzia-
nia zakonnego welonu. Byłam młoda i pełna wzniosłych
ideałów, jednak ojciec pokrzyżował mi plany, ponieważ
osadził mnie na tym zamku jako kasztelanekę. W nawale
zajęć szybko zapomniałam o marzeniach młodości.
Chciałam oddać ten habit jakiejś zakownicy, lecz odkad na
gościńcach Anglii zrobiło się niebezpiecznie, siostry za-
mknęły się w klasztorach i nie wytykają z nich nosa. Zre-
szta postępują słusznie.

- Rozumiem - powiedziała Gisele, chowając habit do
skrzyni, po czym zmówiła krótką modlitwę za spokój du-
szy biednej zakownicy, która zmarła tak tragicznie.

- Jakie wieści przynosicie nam ze świata, czcigodni bra-
ciszkowicie? - spytała Gisele mnichów podczas wieczerza
gdy już powiedzieli wszystko o Ogierze. - Szczególnie inte-
resuje mnie sytuacja w Winchesterze. Królowa ponoć ruszyć
z całym wojskiem przeciwko biskupowi Henry'emu?

- Tak właśnie się stało - odparł starszy z braci, Ambroży. - Miasto nie stawiało oporu, więc obyło się bez gwałtów, lecz jego eminencja zamknął się w twierdzy Wolvesey i śle posłańców do żony Stefana z prośbami o pomoc. Najgorsze, że nakazał rycerzom i żołnierzom cisnąć płonące głownie na swoje własne miasto! - Mnich nie krył oburzenia.

- Dobry Boże - mruknęła Avelaine, Gisele zaś mocno pობladła. Natychmiast pomyślała o wszystkich niebezpieczeństwach, jakie czyhały na Brysa. Jej wyobraźnia nie próżnowała, podsuwając coraz to straszliwsze wizje.

Brat Tymoteusz, młodszy z mnichów, podjął opowiadanie:

- Spłonął już klasztor żeński i wiele domów. Zabitych i spalonych liczy się w dziesiątki, a miastu grozi klęska głodu.

- A co z wojskiem Matyldy? - spytała Gisele drżącym głosem.

Zakonnik wzruszył ramionami. Przecież właśnie to wojsko sprowadziło na miasto klęskę, mimo że samo nie przyłożyło do niej ręki.

- W ostatnich dniach dotarły do nas wieści - rzekł brat Ambroży - że żona Stefana i jej Flamandczycy gotują się do odsieczy. Liczą na łatwe zwycięstwo i pojmanie królowej.

Zaledwie po części świadoma tego, co robi, Gisele poderwała się z krzesła.

- Muszę do niego dołączyć! - wykrzyknęła. - On może być ranny!

Avelaine udało się posadzić ją z powrotem za stołem.

- To zwykła głupota, siostró. Nie bierz przykładu z

ćmy, która leci do światła i ginie w płomieniu świecy. Pamiętaj przy tym, że Brys wcale nie cieszyłby się z twojego przyjazdu, nawet gdyby był ranny, co zresztą jest mało prawdopodobne. To rycerz jakich mało, potrafi zadbać o siebie.

- Nie, muszę jechać! - upierała się Gisele, głucha na te argumenty.

- Przyrzekłem strzec cię, pani, jak źrenicy oka - rzekł Maislin, a jego zazwyczaj miła i wesoła twarz nabrała nieprzyjemnej ostrości. - I dotrzymam przysięgi, nawet gdybym miał zamknąć cię w twojej komnacie.

- Zapominasz się, giermku! - rzuciła Gisele lodowatym tonem, lecz w tej samej chwili minął jej gniew. Avelaine i Maislin mieli rację. Ta podróż przez ogarnięty wojną kraj byłaby czystym szaleństwem.

- Wybaczcie mi - rzekła, wstydząc się przed mnichami swojego wybuchu. - Nie martwcie się, zostaję.

- Chwała Bogu - westchnęła Avelaine. - Brys niebawem da znać o sobie. Ja też o niego się martwię, lecz jeszcze nie urodził się taki, który pokonałby mojego brata w walce!

Gisele uśmiechnęła się blado.

- Jestem pewna, że masz rację, siostrze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Brys szedł ku niej z rozpostartymi ramionami. Witał ją uśmiechem. Jego kolczuga mieniła się w słońcu. Ktoś musiał ją oczyścić z rdzy, pomyślała, lecz kto, skoro na pewno nie Maislin? Ona też szła ku niemu. Jeszcze się nie spotkali, a już czuła uścisk jego ramion i ciepło jego warg na swoich wargach. Nagle zmartwiała. Wyrzucona z katapulty, ponad murami twierdzy przeleciała płonąca głównia i ognistym łukiem spadała wprost na niego. Krzyknęła, chcąc go ostrzec. Miał mnóstwo czasu, by uskoczyć przed śmiertelnością spadającą gwiazdą, lecz jakby nie docierały doń wszystkie ostrzeżenia, które przesyłała mu głosem i gestami/Rzuciła się więc ku niemu, lecz nie była dość szybka i zręczna. Ognista kula zniżyła lot i liznęła go swym czerwonym płomieniem. W mgnieniu oka zajęło się na nim odzienie i Brys zmienił się w płonąca pochodnię. Rozwarła usta do krzyku...

Złana potem, Gisele poderwała się i usiadła na łożu. Nie była do końca pewna, czy tylko śniła, że krzyczy, czy też naprawdę krzyczała podczas snu, w każdym razie wciąż wibrowało jej w uszach.

Chwała Bogu, że to tylko sen, lecz przecież bywają sny prorocze. A jeśli akurat ten był ostrzeżeniem?

Wstała i okryła ramiona chustą. Pozostawiona na noc paląca się świeca wskazywała, że było gdzieś około pół-

nocy. Przymuszona naturalną potrzebą, Gisele wzięła lichterz i wyszła na korytarz. Panował tu nieprzyjemny, wilgotny chłód. Wstrząsnęła się i pomyślała o ciepłym łóżku, ale szła dalej. Ubikacja znajdowała się na samym końcu korytarza.

Gdy wracała, przeciąg zgasił jej świecę. Zrobiło się ciemno i bardzo nieprzyjemnie. Szła po omacku, co kilka kroków dotykając dłonią ściany, gdy nagle korytarz przecięła smuga światła. Z komnaty Avelaine ktoś wyszedł - lecz nie była to ona, tylko Maislin. Owinięty był kocem i niósł zapaloną świecę. W jej świetle było widać jego gołe owłosione nogi.

Gisele do tego stopnia zaskoczyło to spotkanie, że wydała stłumiony okrzyk.

Maislin odwrócił się, unosząc lichterz ponad głowę.

- Kto tam? - zapytał.

- Co robisz o tej porze, giermku, przed komnatą Avelaine? Czyżbyś właśnie wyszedł od niej? - Gisele odzyskała panowanie nad sobą. Ostatecznie to ona była tu panią i do niej należało zadawanie pytań. Zastępowała Brysa, on zaś nie byłby rad, bo konsekwencje takich nocnych wizyt były aż nadto oczywiste.

Avelaine musiała usłyszeć tę wymianę zdań, gdyż za drzwiami rozległ się szelest sitowia.

Pomimo zmieszania, Maislin śmiało spoglądał w oczy Gisele.

- Pani, najdalszy jestem od uchybienia godności lady Avelaine. Wiem, że na razie jestem tylko giermkim, ale kochamy się i zamierzamy się pobrać, oczywiście, o ile i mój pan wyrazi na to zgodę.

Avelaine, która zdążyła już wyjść na korytarz i stanąć u boku kochanka, odezwała się żarliwymi słowami:

- To prawda, Gisele. Kocham go i tylko on może zostać moim mężem. Proszę, wstaw się za nami u Brysa.

Tak, los Avelaine był w rękach jej brata, bo jako głowa rodziny mógł wydać siostrę za kogokolwiek, wedle swojej chęci bądź kaprysu.

Gisele nie sądziła, aby Brys odmówił swej zgody, czuła się jednak podrażniona tym, że kiedy ona, torturowana sennymi marami, umierała z niepokoju o męża, tych dwoje zażywało rozkoszy!

- Niczego teraz nie rozstrzygniemy - odparła. - Jest noc i należy się rozejść do swoich komnat.

Maislin kiwnął głową i rzuciwszy kochance tkliwe spojrzenie, znikł w głębi korytarza, Avelaine zaś położyła dłoń na ramieniu Gisele, która też chciała już odchodzić.

- Wydaje się, że nastąpił czas na szczerze wyznanie - rzekła, wciągając Gisele do swej komnaty. - Jest coś jeszcze, co powinnaś wiedzieć. Ogier przed swoim wyjazdem zjawił się u mnie i wręczył mi list od Brysa. W liście tym twój mąż ujawnia całą prawdę o swoim pochodzeniu.

Gisele nie ukrywała zaskoczenia.

- A zatem już wiesz...

Avelaine potrząsnęła głową.

- Mylisz się sądząc, że wiem dopiero od kilku tygodni. Od początku wiedziałyśmy, że nasz ojciec nie jest ojcem Brysa. My, to znaczy ja i moje młodsze siostry.

- Wiedziałyście? Ale jakim sposobem?

- Po prostu zbyt różnił się od ojca pod względem fizycznym oraz, co najważniejsze, cechami swego charakte-

ru, takimi jak uczciwość, szczerowość, prostolinijność i zdolność do współczucia. - Uśmiechnęła się. - Wymyślałyśmy sobie nawet różne opowieści. W jednej z nich Brys występował jako podrzucony prostym ludziom w koszyku książę Awałonu. Nie wiedziałyśmy nawet, jak blisko jesteśmy prawdy!

Gisele również się uśmiechnęła, choć z innego powodu. Po pobycie na dworze Matyldy przestała się łudzić, że książęta i królowie jedynie z racji urodzenia obdarzeni są jakimiś nadzwyczajnymi zaletami. Byli tylko ludźmi, raz cnotliwymi, innym znów razem grzeszącymi. Brys był dobrym, szlachetnym człowiekiem, lecz wynikało to z osobistej zasługi, nie zaś pochodzenia.

Musiła zadać przynajmniej jeszcze jedno pytanie.

- Co jednak sądzisz, wiedząc to, co już wiesz, o zachowaniu przez Brysa tytułu? Szczególnie w tej nowej sytuacji, gdy Ogier wstąpił do zakonu?

- Od dawna chciał zostać zakonnikiem i ziemskie zaszczyty go nie obchodzą, nie można go nimi uszczęśliwiać na siłę - odparła Avelaine. - Musisz jednak pamiętać, że wyjawiona tajemnica pochodzenia Brysa w niczym nie zmieniła mojego stosunku do niego. Mój najstarszy brat jest prawowitym dziedzicem Balleroy i Tichenden.

Nie mogła nie zauważyć, iż Avelaine powiedziała „mój brat”, nie zaś „mój brat przyrodni”.

- Och, Avelaine... - Wzruszona Gisele zaszlochała. Padły sobie w ramiona i uściskały się.

Umysł Gisele ani przez chwilę nie przestał pracować. Odczekała prawie godzinę, by uzyskać pewność, że-

wszyscy już posnęli. Następnie, wsunawszy na nogi stare buty Brysa, które dopasowała do stóp za pomocą wepchniętych w noski szmat, i zarzuciwszy na ramiona koc, cicho zeszła na dół do pracowni, gdzie ona i Avelaine zwykły szyć. Podeszła do skrzyni i wyjęła z niej habit owej nieszczęsnej zakonnicy, która tak młodo i z tak na pozór błahego powodu skończyła życie. Nie bez dreszczu emocji włożyła go - i gotowa była do drogi.

Następnie zasiadła do pisania listu. Przepraszała w nim Avelaine i Maislina za swoją nagłą decyzję wyjazdu do ojca do l'Aigle, lecz uznała, że tam będzie jej łatwiej przetrzymać rozłąkę z Brysem. Dodała też kilka ciepłych słów, przeznaczonych specjalnie dla zakochanych.

Rzecz jasna, nie wybierała się do Normandii, lecz to kłamstwo miało zmylić Maislina, który, była tego pewna, puści się za nią w pogoń. Nim zorientuje się, że został wprowadzony w błąd, ona już będzie w ramionach Brysa.

Miała nadzieję, że habit zabezpieczy ją przed różnymi groźnymi niespodziankami. Kraj był ogarnięty wojną, krzewił się bandytyzm, lecz nawet najgorszy zbir, który nie zawaha się przed morderstwem, na ogół lęka się świętokradztwa.

Problemem były psy. Spały zazwyczaj w holu, przez który musiała przejść. I rzeczywiście, mimo że starała się stapać jak najciszej, kilka z nich uniosło łby. Wyczuły jednak jej zapach i skończyło się na cichych powarkiwniach.

Nie zauważona przez nikogo dotarła do stajni. Klacz na widok swojej pani ożywiła się i delikatnie musnęła ją chrapami, z których biło miłe ciepło końskiego oddechu.

Gisele wiedziała, jak osiodłać konia, choć robiła to tylko kilka razy w życiu. Kiedy już gotów był do jazdy, wzięła go za uzdę i ruszyła ku drzwiom.

Jednak stajenny, wiekowy już człek, miał bardzo płytki sen. Usłyszał hałas, dzwignął się ze swego legowiska na sianie i zobaczył, że kradną mu konia, a złodziejem jest niewiasta.

- Hej, ty diablico! Co ty sobie myślisz? Nie pójdzie ci ze mną tak łatwo! To klacz mojej pani i wara ci od niej!

Gisele odwróciła się, trzymając płomień świecy pod samą brodą. Liczyła na to, że ów stary człowiek jest zaboronny i zobaczywszy oświetloną od dołu bladą twarz, pomyśli, że widzi ducha. By jeszcze wzmocnić efekt, zawołała grobowym głosem:

- Kim jesteś, śmiertelniku, że ośmielasz się zatrzymać zjawę biednej zakonnicy, zgasłej tak młodo?

Chyba bardzo udatnie odegrała swoją rolę, gdyż stajenny stanął jak wryty, rozdziawił usta i w jednej chwili, niczym rażony gromem, padł na klepisko.

Teraz z kolei zlekła się Gisele. Uklękła przy nieruchomym człowieku i poszukała pulsu. Na szczęście serce starego, choć powoli, ale jednak biło. Miała nadzieję, że stajenny długo pozostanie nieprzytomny, gdy bowiem obudzi się z omdlenia, na pewno postawi na nogi cały zamek.

Wyprowadziła klacz na dziedziniec, lecz skierowała się nie ku bramie, tylko ku tajemnemu przejściu, które pokazała jej niegdyś Avelaine. Po chwili była już poza murami zamku, na rozległym błoniu. Tutaj dopiero dosiadła konia. Spojrzała w niebo. Właśnie między chmurami pojawił się księżyc.

- Jesteśmy już tu od sześciu tygodni, miłościwa pani
- pozwolił sobie przypomnieć królowej Robert Gloucester. - Moje wysiłki doprowadzenia do rozejmu spełzły na niczym. Naszymi szczupłymi siłami możemy nie odeprzeć dobrze przeprowadzonego ataku.

Matylda przeniosła wzrok na Brysa, który zbliżył się z chrzęstem zbroi i stanął u boku Glouceстера.

- Doradzam odwrót, miłościwa pani. Teraz jeszcze możemy wycofać się w należytych okolicach.

Matylda westchnęła.

- Może macie rację. Dostałam dzisiaj wiadomość, że Geoffrey de Mandeville, ten morderca i renegat, nadciąga na czele wojsk Stefana.

Brys zeszywniał.

- A więc szybko wrócił do zdrowia - warknął. - No cóż, zbliża się okazja, bym ponownie nadział go na rożen, lecz tym razem dobrze sprawdzę, czy aby na pewno wyzionął ducha.

- Nie mamy dość sił, by przeciwstawić się de Mandeville'owi - przypomniał mu Gloucester. - Bądź cierpliwy, mój panie. Jeszcze będziesz miał sposobność posłać go do piekła.

Brys ściągnął brwi, ale kiwnął głową. Wiedział, że książkę ma rację, lecz trudno mu było pogodzić się z myślą, że łajdak, który nastawał na Gisele i narobił tyle innego zła, wciąż chodzi po świecie.

Matylda wyprostowała się. Zaiste, z postawy była prawdziwą królową.

- Jutro z samego rana wycofujemy się.

Gisele trzymała się głównego traktu, gdzie była mniej narażona na atak bandytów. Wciąż pamiętała o tamtej zasadzce w lesie, w której prócz niej wszyscy zginęli.

Trzeciego dnia forsownej jazdy dowiedziała się od napotkanego wieśniaka, że ma już tylko kilka mil do Winchesteru. Bolały ją uda i pośladki, a zmęczenie stało się prawdziwą udręką.

Podczas podróży unikała klasztorów i plebanii. Wolała nocować w chłopskich chatach, których mieszkańcy z wiafą i ufnością przyjmowali jej historię. Od początku do końca zmyśloną. Oto najemni żołdacy napadli na klasztor i wymordowali wszystkie zakonnice. Tylko jej udało się umknąć.

Wczoraj jednak powiedziała prawdę. Znalazła gościńnię w chacie smolarza i siedziała wraz z nim i jego żoną przy skromnej wieczerzy, składającej się tylko z cebuli i chleba, gdy padło sakramentalne pytanie, co ją, samotną i bezbronną niewiaścę, wyгнаło na gościniec. Była już zmęczona kłamstwami i pozwoliła zajrzeć gospodarzom do swej duszy.

Mężczyzna nie zrozumiał. Nie mieściło mu się w głowie, że mogła opuścić bezpieczną twierdzę tylko z powodu jakiegoś snu.

- Nie z powodu snu, ty durny! - zwymyślała go małżonka, ale zrobiła to bez gniewu. - Jaśnie pani wybrała się w niebezpieczną podróż, bo kocha swojego pana i męża, lecz takiemu jełopie jak ty trzeba pewnie teraz tłumaczyć, co to jest miłłość. - Bez żenady ukazała w uśmiechu swoje jedyne trzy zęby.

Gisele też się teraz uśmiechnęła na wspomnienie tej

rozmowy i uderzyła konia piętami. Przeszedł ze stępa w kłus.

Droga w tym miejscu skręcała w prawo. Okolica była bezludna.

Zobaczyła ich zbyt późno. Kilkudziesięciu uzbrojonych mężczyzn odpoczywało pod starymi dębami na poboczu drogi.

Dostrzegli ją i kilku wybiegło na drogę. O ucieczce nie było mowy. Człowiek w kolczudze chwycił za uzdę jej konia.

- Jestem lord de Warenne, siostrze. Dokąd to jedziemy?

Gisele znała to nazwisko. Nosił je jeden z najwierniejszych stronników Stefana.

Przedstawiła się, wymieniając zmyślane imię. Zdaża do Winchesteru, by nieść pomoc potrzebującym - chorym i rannym.

- Siostrze, w ostatnich dniach nikt nie jedzie do Winchesteru, tylko każdy chce się wydostać z tego miasta - rzekł rycerz. - Dotyczy to także zakonnic, których klasztor został spalony. Co zaś się tyczy twojej osoby, to sądziłem dotychczas, że zakonnice nigdy samotnie nie wypuszczają się w drogę. - Zawiesił wzrok na jej obuwiu.

Miała przygotowane na tę okazję kolejne kłamstwo.

- Nasz klasztor został napadnięty przez rozbójników, a wszystkie siostry zginęły. Ratując się ucieczką, nie miałam czasu założyć sandałów. Poratował mnie pewien smolarz, człowiek religijny, darowując mi swoje własne buty. Błagam cię, panie, pozwól mi dotrzeć do miasta i czynić posługę, do której jestem powołana.

- Jeżeli siostra zna się na opatrywaniu ran, w tym miej-

scu niebawem będzie wielu rannych - odparł szlachcic.
- Moi ludzie poinformowali mnie, że samozwańcza Matylda opuściła już wraz ze swoją partią miasto i ciągnie tym gościńcem. Właśnie czekamy tu na nich i, zaiste, nie obędzie się bez krwawej rozprawy. Niebawem będzie siostra miała ręce pełne roboty.

Po tym, co usłyszała, tym bardziej musiała dołączyć do królowej i uprzedzić ją o planowanej zasadzce. Była pewna, że Matyldzie towarzyszy Brys.

- Szlachetny rycerzu, przepuść mnie, proszę! Ślubowałam Bogu, że będę opiekowała się niewinnymi, którzy cierpią skutki wojny, nie zaś żołnierzami, którzy tę wojnę prowadzą.

- Obawiam się, że to niemożliwe, siostró - rzekł de Warenne z miną wyrażającą ubolewanie. - Nie mogę ryzykować, iż nasi wrogowie zostaną ostrzeżeni.

- Jestem osobą duchowną, a więc neutralną w sprawach politycznych. Nikomu nic nie powiem! Puść wodze mojego konia, rycerzu!

De Warenne miał już tego dość. Zwrócił się do najbliższego żołnierza:

- Związać ją i zakneblować!

Gisele przeraźliwie wrzasnęła i walnęła klacz piętami, licząc na to, że przestraszony koń stanie dęba i wyrwie się rycerzowi. On jednak mocno trzymał cugle, a w dodatku biegli mu już na pomoc inni. Po chwili poczuła ich ręce na swoim ciele.

Została brutalnie ściągnięta z konia i zawleczona między drzewa. Rzucała się niczym ryba wyjęta z wody, ale były to tylko gesty rozpacz. Zobaczyła, że spanikowana

klacz wyrwała się trzymającemu ją żołnierzowi i pognąła drogą w kierunku Winchesteru. Dlaczego nie zrobiła tego, gdy Gisele siedziała jeszcze w siodle?

- Zaczynam mieć pewne wątpliwości, siostró - usłyszała głos de Warenne'a tuż nad swoim uchem. - Za mało w tobie pokory, a za dużo uporu. Może ty wcale nie jesteś zakonnica?

- Pewnie, że nie jest! - roześmiał się jakiś inny rycerz. - Spójrz tylko na jej twarz. To twarz kobiety, która zaznała i zaznaje całkiem ziemskiej miłości. A gdy ściągniesz jej welon, zobaczysz pod nim włosy. Prawdziwa zakonnica powinna być ostrzyżona.

Gisele zmartwiała. Znała ten głos. Nad nią stał Geoffrey de Mandeville.

De Warenne, powodowany ciekawością, poszedł za radą towarzysza i szarpnął za welon. Rozsypały się ukryte pod nim cudne kasztanowe włosy.

- A widzisz? Ona taka zakonnica jak ja ksiądz,

- Mówisz tak, jakbyś ją znał. Powiedz zatem, kim ona jest?

Geoffrey de Mandeville przez dłuższą chwilę przyglądał się z uśmiechem Gisele. Przypominał kata, który przed egzekucją raduje się, iż znów będzie mógł wykazać się biegłością w swej sztuce.

- To lady Gisele de l'Aigle, moja dawna kochanka - odparł jedwabistym głosem. - Znudziła mi się, więc ją porzuciłem. Pewnie z tego powodu wpadła w taką rozpacz, że poszła do klasztoru - dodał ironicznie.

- To wszystko są kłamstwa. Nigdy nie byłem jego kochanką - broniła się Gisele, patrząc błagalnym wzrokiem

na de Warenne'a, który wydał się jej w gruncie rzeczy znaczącym człowiekiem. - Dwa razy próbował mnie pojąć, lecz bez rezultatu. Jestem żoną wiernego stronnika królowej, lorda Brysa de Balleroya.

- Chyba znasz imię tego zdrajcy, mój panie? - mruknął de Mandeyille. - Nasza królowa wyznaczyła cenę na jego głowę. Okoliczności nam sprzyjają, gdyż na pewno towarzyszy samozwańczej Matyldzie. Kto schwyta go bądź zabije, będzie bogaty. - Wyrzucił głowę i wskazywał, że to on sam chce być tym szczęśliwcem.

Natomiast twarz de Warenne'a zdradzała zgoła co innego, a mianowicie niesmak i pogardę dla earla Essex.

- Umieścić ją związaną w moim namiocie - rzekł do jednego z żołnierzy. - Czas nas goni, musimy przygotować się do bitwy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Brys pierwszy dostrzegł galopującego ku nim konia. Wierzchowiec był osiodłany, jednak bez jeźdźca.

De Balleroyem targnął niepokój.

- Nie podoba mi się to - mruknął do jadącego obok Glouceстера. - Znosi się na coś złego.

- Bardzo możliwe - zgodził się książę, patrząc na zbliżającego się konia. - Go więc proponujesz, Brys?

- Przede wszystkim miłościwa pani powinna zjechać z drogi i ukryć się w lesie. My pociagniemy dalej, a jeśli w najbliższym czasie nic się nie przydarzy, wrócimy tu po nią.

Gloucesterowi spodobała się ta rada. Odwrócił się do królowej.

- To dobry pomysł, miłościwa pani. Kto wie, czy za tamtym zakrętem wróg nie zasadził się na nas.

- Bzdura - sprzeciwiła się Matylda. - Po siodle widać, że na tym koniu jechała niewiasta.

Brys chciał już wysunąć dalsze argumenty, gdy nagle zamarł z szeroko otwartymi ustami... ta sama maść, grzywa i biała gwiazdka na czole!

- Czekaście! To koń mojej żony! - wykrzyknął i spiąwszy ostrogami swego rumaka, skoczył ku nadbiegającej klaczy. Po chwili trzymał już jej wodze. - Co też Gisele może tu robić?!

Jednak nie dane mu było uzyskać odpowiedzi na to pytanie, na drogę bowiem z obu stron wysypali się zbrojni, ukryci dotychczas w krzakach i zaroślach.

- Zawracaj razem z królową i gnajcie co koń wyskoczy! - krzyknął Brys do Briena Fitzcounta, który znajdował się najbliżej Matyldy. - My zostajemy i będziemy walczyć, by opóźnić pościg!

Pojął w jednej chwili, że tylko to mogą uczynić, ponieważ wróg przeważał liczebnie, tym bardziej że wielu jadących na końcu baronów już zawróciło konie do ucieczki. Pozostała jedynie garstka, które teraz miała przeciwstawić się nawale.

Walka nie trwała długo. Kiedy Brys odzyskał świadomość, zobaczył drogę zasłaną ciałami zabitych i rannych, jak również tarczami i bronią. Nigdzie nie widział Matyldy - oby Bóg pozwolił zbiec jej szczęśliwie. Flamandzycy zajęci byli rabowaniem, już niemal opróżnili wóz z bagażami. Brys nie wiedział, jak długo leżał w pyłe drogi i czyja uzbrojona ręka zwała go z konia.

Jego uwagę zwrócił jakiś ruch. To prowadzono w łańcuchach Roberta Glouceстера. Książę nie wyglądał na rannego i szedł o własnych siłach. Chwała Bogu choć za to.

Ponieważ bolała go tylko głowa, postanowił podnieść się z ziemi. Wtedy zorientował się, że ma związane ręce.

- A więc odzyskałeś już przytomność. Kim jesteś? - usłyszał nad sobą męski głos. Zobaczył postawnego rycerza w kolczudze.

- Kim ty jesteś? - odwrócił Brys pytanie. Jego własny głos przypominał mu krakanie.

- Lord William de Warenne.

- Brys de Balleroy - odparł. Nigdy nie spotkał przedtem tego człowieka, znał go tylko z imienia, lecz wywarł on na nim dobre wrażenie.

Ból głowy narastał, pewnie miał ranę na czole.

- To dobrze się składa. Earl Essex zapewniał nas, że będziesz przy królowej - powiedział tamten.

A więc Geoffiey de Mandeville jest tutaj. Ten łajdak znów stanął mu na drodze, lecz tym razem był wyjątkowo niebezpieczny. Na pewno de Warenne wiedział już z jego ust, że Brys szpiegował dla Matyldy w obozie Stefana. Gloucester z pewnością będzie wykupiony, lecz de Mandeville nie wypuści z rąk człowieka, który o mało nie posłał go na tamten świat i trzy razy upokorzył.

Dostrzegł kątem oka, że ktoś się zbliża. Był to jego śmiertelny wróg.

- Mam de Balleroya - poinformował go krótko de Warenne.

- Wspaniale! - zapał de Mandeville. - Jej wysokość ucieszy się z widoku jego głowy!

Brys zadrżał. Miał tylko nadzieję, że gdy nadejdzie jego czas, umrze dzielnie.

- Chodź ze mną - rzekł de Warenne, pomagając mu powstać. - W moim namiocie jest ktoś, kto niewątpliwie chciałby cię zobaczyć, nim umrzesz.

Brysowi zaschło w gardle. Miał niemal pewność, że za chwilę spotka się z Gisele. On niedługo umrze, ona zaś, nieszczęsna, pozostanie na łasce i niełasce de Mandeville'a.

Mimo przebrania od razu ją rozpoznał. Nie rzucili się sobie w ramiona tylko dlatego, że oboje mieli związane ręce.

- Brys, ty jesteś ranny! - zawołała Gisele drżącym głosem i spojrzała w kierunku de Warenne'a. Jak zarazy natomiast unikała wzrokiem earla, który budził w niej już nie tyle strach, ile przemożny wstręt. - Czy mogłabym prosić o wodę i bandażę, mój panie?

- Bandaże nie będą tu potrzebne - rzekł de Mandeville, rozkoszując się każdym swoim słowem. - On niebawem umrze. Nie ma znaczenia, czy z przemytą i opatrzoną, czy też z okrwawioną głową.

- Czy to ty go zraniłeś, prostaku? - spytała i plunęła mu w twarz.

De Mandeville spurpurowiał i zamierzył się na nią.

- Mój panie, nie wojujemy z kobietami! - ostrzegł go groźnym głosem de Warenne, postępując krok do przodu.

Earl powstrzymał się w ostatniej chwili, jednak zakarbował sobie w pamięci, że przy pierwszej okazji trzeba się będzie pozbyć de Warenne'a.

- Ja bym nie poprzestał na uderzeniu w głowę. Nadziałbym go na ostrze miecza jak rybei pozwolił umierać. Jeszcze mogę to zrobić, tobie zaś pozwolę na to patrzeć. Ostatnia rzecz, jaką zobaczy przed śmiercią, to będziesz ty, leżąca na plecach, a ja na swoim brzuchu.

- Chodźmy, de Mandeville, o jego śmierci zdążymy jeszcze zadecydować. Teraz musimy rozstrzygnąć, co zrobimy z Gloucesterem, zanim Matylda zgodzi się oddać nam za niego króla. - Wypchnął de Mandeville'a z namiotu, sam wszakże odwrócił się i rzekł do Gisele: - Obawiam się, że będzie trzeba związać mu również nogi. Każę jednak przynieść wodę i bandażę, lady de Balleroy.

- Chciałbym się wypowiadać - rzekł Brys, wiedząc, że każda minuta zbliża go do śmierci.

De Warenne rozwiął jednak jego nadzieje.

- Przykro mi, ale nie ma wśród nas księdza. -1 z tymi słowami wyszedł.

Po chwili zjawilo się dwóch żołnierzy i skrępowali Brysowi nogi. Nie mógł więc chodzić, nie mógł też objąć Gisele, ale przynajmniej mógł ją pocałować.

Gdy więc zostali sami, złączyli się w krótkim, rozpaczliwym pocałunku.

- Oni nie mogą cię zabić, Brys! - zawołała z płaczem.

- Niestety mogą. Za tych, których uważają za zdrajców, nie biorą okupu.

- W takim razie nie możesz potulnie godzić się na swój los! Jedno z nas musi uwolnić się z więzów, a wtedy i drugie będzie wolne. Potem zaczekamy, aż zasną... - Urwała, gdyż uświadomiła sobie, że są to jedynie pobożne życzenia. Zostali związani bardzo starannie. Tutaj tylko nóż mógłby coś poradzić, a przecież go nie mieli. Opanowała ją czarna rozpacz.

Nagle Brysowi przyszła do głowy pewna myśl.

- Gdzie jest Maislin? - zapytał pewien, że giernkowi udało się ująć z zasadzki. Nie przypuszczał, że Gisele mogła sama wybrać się w tak daleką drogę. Maislin zatem pewnie gdzieś tu kręci się w pobliżu i obmyśla sposób uwolnienia ich z rąk stronników Stefana. Och, gdyby choć zdołał uwolnić Gisele! Wtedy jemu byłoby lżej umierać.

Spuściła oczy.

- Prawdopodobnie jest gdzieś pomiędzy Tichenden

a wybrzeżem, wprowadzony w błąd moim listem, w którym napisałam, że wyruszam do l'Aigle.

Brys milczał, zdumiony i zaskoczony jej lekkomyślnością.

- Wybacz mi, Brys - powiedziała - ale musiałam cię odnaleźć. Nie mogłam już dłużej czekać na twój powrót. Co noc śniły mi się okropne rzeczy. Widziałam cię ranne-go, oczekującego mojej pomocy.

Nie mógł się na nią gniewać, nie w tych okolicznościach.

- Wiem, że wiodła cię ku mnie miłość... A skąd wzięłaś tę zakonną suknię?

Gisele odchrząknęła i opowiedziała mu wszystko od początku. Na koniec zostawiła najważniejsze.

- A teraz pomyślnie wieści z Tichenden. Mam nadzieję, że się ucieszysz. Twoja siostra i Maislin zakochali się w sobie.

Miała nadzieję go rozerwać, odciągnąć jego myśli od tego straszego położenia, w jakim się znalazł, i, zaiste, udało się jej w stu procentach.

Szeroko otworzył oczy.

- Avelaine? Ten zionący ogniem smok, który skądinąd jest moją siostrą, zakochał się? I to w moim giermku?

Roześmiała się, szczerze rozbawiona jego reakcją.

- Sama z początku nie mogłam w to uwierzyć...

- Lecz chyba ten szczeniak jej nie uwiódł? Na Boga, bo jeśli ją zhańbił... - zawiesił na chwilę głos, uświadamiając sobie, że nie będzie mógł już spełnić żadnej groźby, lecz mimo to dokończył: - wtedy posiekam go na kawałki.

- Nie obawiaj się, mężu, on mająk najlepsze intencje. Kocha Avelaine i chce się z nią ożenić. Z kolei ona wprost szaleje na jego punkcie i nie wyobraża sobie innego męża. Proszę, jako głowa rodu daj im swoje błogosławieństwo.

Brys westchnął.

- Chętnie, skoro się kochają. - Pokręcił głową. - Maislin i moja siostra, kto by to pomyślał?

Płachta namiotu odchyliła się i wszedł żołnierz z wiadrem wody oraz pociętym na pasy płótnem, zwiniętym w wężulek.

Postawił przed Gisele wiadro, rzucił jej na podołek bandażę i już zamierzał odejść, gdy zatrzymała go pytaniem:

- A niby jak mam opatrzyć ranę? Tymi związanymi rękami?

Ani jeden mięsień nie drgnął na twarzy żołnierza.

- Mój pan, lord de Warenne, nic mi nie mówił o uwalnianiu cię z więzów, pani. Prosił jedynie, bym ci przekazał, że de Mandeville zhańbił przed laty jego siostrę.

- Ale co to ma wspólnego z opatrywaniem, rannego? - wybuchnęła, bliska ataku hysterii.

- Nie wiem, wykonuję tylko rozkazy. -I żołnierz wszedł z namiotu.

Brys poczuł się również zdezorientowany. Dlaczego de Warenne kazał powiadomić ich o hańbie swojej siostry? Dlaczego uznał za ważne, by o tym wiedzieli? Chyba że...

- Gisele - powiedział, czując, że nadzieja, ów zwodniczy kwiat, który, zdawało się, zwiadł w nim całkowicie, zaczyna nagle rozkwitać - czy mogłabyś jakimś sposobem rozwinać te bandażę?

- Postaram się - odparta i pochyliwszy głowę, chwyciła węzełek zębami, równocześnie ściskając go kolanami. Raz i drugi szarpnęła. Płótna rozwinęły się. Wypadł z nich krótki sztylet o kościanej rękojeści.

scandalous

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

- Dlaczego?... Dlaczego de Warenne przesłał nam ten nóż? - spytała Gisele i było to wszystko, na co w tej chwili mogła się zdobyć.

Brys wyglądał jak nowo narodzony, wprost promieniał nadzieją.

- Nie rozumiesz? Słyszał groźby de Mandeville'a skierowane pod twoim adresem i odżyło w jego pamięci, co ten łotr zrobił z jego siostrą. Postanowił dać nam szansę ucieczki, by w ten sposób zemścić się na krzywdzicielu osoby, którą kochał.

Wyjaśnienie z pozoru dziwnego czynu de Warenne'a okazało się więc dziecinnie proste, aż dziw, że od razu o tym nie pomyślała. Dużo trudniej natomiast było zrobić użytek z otrzymanego prezentu, jako że oboje mieli skrupowane ręce. Była tylko jedna możliwość. Należało chwycić rękojeść noża zębami i spróbować przeciąć więzy drugiej osobie.

Brys widocznie doszedł do tego samego wniosku, gdyż powiedział:

- Odwróć się, kochanie.

Starał się uklęknąć, by ustami podnieść z ziemi nóż, lecz miał nogi skrupowane ponad kostkami, więc nie mógł tego dokonać.

- Brys, lepiej będzie, jeśli to ja przetnę twoje więzy - powiedziała Gisele. - Ty pierwszy powinieneś odzyskać swobodę ruchów, by móc walczyć, jeśli ktoś nas zaskoczy. Poza tym mam wolne nogi i dużo łatwiej mi się poruszać.

I rzeczywiście, po chwili trzymała już nóż w zębach. Jego ostrze wystawało z jej ust niczym spiczasty stalowy język. Nachyliła się i dotknęła nim sznura zaciśniętego na nadgarstkach Brysa. Zaczęła piłować.

Z dworu dobiegały krzyki, śpiewy i śmiechy żołdactwa. Stronnicy Stefana świętowali zwycięstwo, nie skąpiąc sobie gorzałki. Słysząc też było niewiele głośy i chichoty. To markietanki nagradzały swym ciałem tych, którzy tak dzielnie spisali się w boju.

Czoło Gisele zroszone już było potem, szczęki bolały od zaciskania zębów na twardym przedmiocie, a sznur jeszcze nie był przecięty. Gdy nóż po raz drugi wypadł jej na ziemię, prawie się rozpłakała. Liczył się czas, każda chwila była droga. Do namiotu w każdej chwili mógł ktoś wejść i ostatecznie odebrać im ledwie rozbudzoną nadzieję.

Pocieszała się jedynie myślą, że choć bardzo wolno, jednak posuwa się do przodu. Powróż był już w połowie przecięty, a poradzenie sobie z drugą połową powinno okazać się łatwiejsze, gdyż ostatnie sploty Brys będzie mógł zerwać szarpnięciem swoich silnych ramion.

Tak też się stało. Gisele triumfowała: jej mąż miał wolne ręce.

Błyskawicznie sięgnął po nóż i przeciął pęta na kostkach.

- A teraz kolej na ciebie - powiedział i w tej samej chwili zamarł.

Na zewnątrz dały się słyszeć zbliżające się kroki. Nie mieli już czasu ani ukryć noża, ani przybrać postawy ludzi skrepowanych, z rezygnacją czekających na śmierć.

Wszedł żołnierz z miską nakrytą brudną ściągą.

- Mój pan, lord de Mandeville, przysyła ci, panie, ostatni posiłek- Mam cię nakarmić, jako że jesteś skrepowany. Nie są to marcepany, tylko godne świni pomyje, ale...

Nie dokończył, gdyż straszliwe uderzenie pięścią zważyło go z nóg i pozbawiło przytomności.

- Wielka szkoda, że to nie sam de Mandeville przyszedł karmić mnie pomyjami - szepnął Brys. - Leżałby teraz z poderżniętym gardłem, ale ten żołnierz nie zasługuje na śmierć.

Przecięcie więzów na rękach Gisele trwało tylko chwilę. Roztarta nadgarstki, odzyskując czucie w palcach.

Brys nieznacznie odchylił klapę namiotu i wyjrzał na zewnątrz.

- W pobliżu nie ma nikogo - poinformował ją szepem. - Chodź, musimy dostać się do tamtych drzew, a potem zastanowimy się, co dalej.

Noc była zimna, a trawa pokryta rosą. Czołgali się, zachowując wszelkie możliwe środki ostrożności. W pewnej odległości od nich płonęło ognisko, przy którym piło i śpiewało sprośne pieśni około dziesięciu żołnierzy. Niektórzy mieli przy sobie kobiety. Z rozsznurowanych stanników dziewczek wylewały się ciężkie i obfite piersi.

Dalej stały namioty. Świątowali w nich zwycięstwo rycerze i baronowie.

Brys i Gisele dotarli wreszcie do ściany lasu, gdzie byli

już względnie bezpieczni. Mogli powstać z ziemi i zastanowić się, co dalej.

De Balleroy odwrócił się i ogarnął spojrzeniem nieprzyjacielski obóz.

- W jednym z tych namiotów jest Robert Gloucester - rzekł z posępną miną. - Dobrze byłoby go uwolnić, lecz próba taka graniczyłaby z szaleństwem. Podejmę ją, gdy będę miał pod swymi rozkazami dostatecznie dużo ludzi. Zresztą życiu księcia nic nie zagraża, zbyt wiele ono jest warte dla naszych nieprzyjaciół.

Gisele milczała. Wiedziała, jak cenną zdobyczą dla obozu Stefana jest Robert Gloucester, w tej chwili jednak obchodziło ją wyłącznie bezpieczeństwo Brysa.

Na szczęście podjął decyzję zgodną z jej oczekiwaniami.

- Powinniśmy teraz zdobyć konie - rzekł. - Najlepiej nasze własne, cudze bowiem mogą się nas przestraszyć i narobić hałasu.

Zbliżyli się do miejsca, gdzie stały powiązane wierzchowce. Świecił księżyc, więc Brys mógł się każdemu z nich dokładnie przypatrzeć. Niestety, nie było wśród nich ani jego ogiera, ani kłaczy Gisele. W tej sytuacji należało więc zrezygnować z koni i puścić się w drogę piechotą.

Okrążyli obóz i wyszli na gościniec. Z początku prawie bieгли, później spowolnili krok. Oddalali się od Winchesteru. Wsłuchani w nocną ciszę, oczekiwali odgłosów pogoni. Nic takiego jednak się nie wydarzyło.

O świcie dostrzegli na obrzeżonej głogiem i tarniną łączce dwa pasące się osiodłane konie. Była to kłacz Gisele i ogier Brysa. Szczypały sobie trawę z taką beztróską, jakby już były w Tichenden.

Pod koniec października Brys i Gisele odnaleźli Matyldę w Gloucesterze, dokąd udała się po ucieczce z Winchesteru.

- Cieszę się, że widzę was razem, całych i zdrowych - powitała ich królowa w wielkim holu. - O ile jednak pamiętam, pozostawiłeś, mój panie, swoją młodą małżonkę w Tichenden. Przynajmniej taki miałeś plan.

- To był mój plan, najjaśniejsza pani - odparł Brys z uśmiechem - lecz moja żona nieco go odmieniła.

Matylda zachichotała.

- I w ten sposób uczyniła go doskonalszym. - Spojrzała na towarzyszącego jej Fitzcounta. - Czyż nie mówiłam ci, przyjacielu, że będą mnie szukać? No i dopięli swego!

- Moja radość jest dzisiaj podwójna, miłościwa pani - rzekł Brys, wciąż się uśmiechając. - Po pierwsze, odnalazłem moją królową w zdrowiu i pogodzie ducha, po drugie zaś dowiedziałem się dziś rano z ust mojej małżonki, że zostanę ojcem.

- Doprawdy? - ucieszyła się królowa. - W takim razie najlepsze życzenia dla was obojga. A zatem, lady Gisele, nie mogłaś już znieść rozłąki z mężem?

Gisele zarumieniła się.

- Przyznaję, miłościwą pani, że wolę być razem z nim, choć pragnę również służyć ci jako dama dworu.

Matylda spoważniała.

- Dobrze byłoby mieć cię przy sobie, lecz twoje dwa życzenia, lady Gisele, pozostają w sprzeczności. Jest tak, ponieważ twój mąż nie może służyć mi w tej chwili w Anglii.

- Nie rozumiem, miłościwa pani - wtrącił się Brys. - Cóż miałyoby stać temu na przeszkodzie?

Matylda westchnęła.

- Księżna Boulogne wie już, że widziała dotychczas tylko twoją maskę, więc w jej oczach jesteś zdrajcą. Na pewno uradowałaby się ogromnie, gdyby earl Essex przyniósł jej twoją głowę na talerzu.

- Prędzej potoczy się po ziemi jego odcięta głowa - uniósł się Brys. - Daj mi wolną rękę, miłościwa pani, a ukarzę tę ludzką bestię.

- Prędzej czy później poniesie on karę za swoje zbrodnie, Brys, taey ludzie bowiem zazwyczaj kończą na szubienicy. Jestem pewna, że zdradzi Stefana, podobnie jak zdradził mnie. Co do ciebie zaś, to wysyłam cię do Normandii...

- Ale...

Matylda uniosła dłoń.

- Żadnych „ale”, jeśli łaska - rzekła głosem nie znośnym sprzeciwu. - Przedstawiasz dla mnie zbyt dużą wartość i nie chcę, byś dostał się w ich ręce, co może się zdarzyć nawet przypadkowo. Wiemy oboje, że nie oszczędzą cię, a przecież musisz przynajmniej dożyć do narodzin swego dziecka. Lecz nie obawiaj się, Brys, to nie jest wygnanie, tylko powierzenie ci nowej misji. Nowej, choć bardzo podobnej do poprzedniej.

De Balleroy spojrział na Gisele, która odpowiedziała mu ukradkowym wzruszeniem ramion. Wołała poczekać na szczegóły.

- Jest tajemnicą poliszynela - ciągnęła Matylda - że ja i mój mąż, hrabia Geoffrey, nie żyjemy ze sobą w naj-

lepszich stosunkach. Od dłuższego czasu nie widziałam już moich synów, nie wiem nawet, jak im się powodzi, a z rzadkich i lakonicznych listów Geoffreya niewiele wynika. I będzie to twoim zadaniem, lady Gisele - zbliżenie się do nich, poznanie ich i nieszczerzenie mi szczegółów o ich życiu. Chcę patrzeć na nich oczyma innej matki, albowiem już właściwie nią jesteś. - Przeniosła wzrok na Brysa. - Ty zaś, rycerzu, będziesz oficjalnym pośrednikiem pomiędzy mną a moim mężem. Jeśli poplecznicy Stefana we Francji zagrożą Normandii, staniesz u jego boku, jednak w czas pokoju będziesz mi donosił o wszystkich sprawach w hrabstwie, poczynając od zasobności skarbcza, a kończąc na doli włościan. No i oczywiście dasz mi znać, kiedy urodzi się twój syn, a nasz chrześniak, lub twoja córka, a nasza chrześnica.

Gisele zniżyła się w ukłonie.

- To dla nas wielki zaszczyt, miłościwa pani - rzekła, szczerze uradowana. Jej dziecko będzie miało królewskich rodziców chrzestnych, a poza tym ucieszył ją pomysł królowej. To było chyba najlepsze rozwiązanie.

Go jednak sądził o tym wszystkim Brys? Czy nie poczuł się dotknięty, że zakazano mu udziału w toczącej się wojnie?

Spojrzała na męża. Twarz miał pogodną, a spojrzenie wesołe.

- Twoje życzenie jest dla nas rozkazem, miłościwa pani - rzekł. - Zlecone mi zadanie wypełnię z tym większą przyjemnością, że moja ukochana żona będzie ze mną.

Królowa zdawała się zadowolona z takiej odpowiedzi.

- I bądź spokojny o zamek w Tichenden - zapewniła

go. - Już wyraziłam zgodę na wymianę Stefana za Roberta. Wśród warunków tej ugody jest i taki, że Stefan zostawi Tichenden w spokoju.

Brys uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Dziękuję, miłościwa pani. Gdybym jednak wśród tego nadmiaru łask mógł oczekiwać jeszcze jednej, to prosiłbym o list żelazny dla mojej siostry i mojego giermka, zapewniający im bezpieczny przejazd do Normandii. Tak się złożyło, że zakochali się w sobie i chcą się pobrać, chciałybym więc urządzić im wesele w Balleroy. Poza tym - dodał z zabawnie zatroskaną miną - trudno rycerzowi bez giermka, a jeśli równocześnie jest on szwagrem, to tym lepiej.

Matylda uniosła ramiona w geście poddania się.

- Dobrze wiesz, że niczego nie jestem w stanie ci odmówić. Jednak nie rycerza nade wszystko w tobie podziwiam, tylko mężczyznę, który kocha i zasługuje na miłość. I dlatego prorokuję wam długie i szczęśliwe życie.

Brys i Gisele spojrzeli na siebie, a potem bezwiednie chwycili się za ręce. Każdy, kto teraz na nich patrzył, wiedział, że są jak skała, której nie skruszą żadne przeciwności losu.

EPILOG

Normandia, grudzień 1141

Nie wiedziała, dlaczego dała się przekonać Brysowi, by przyjąć zaproszenie ojca, i to akurat wtedy, gdy tak bardzo cieszyła się, że tylko z mężem spędzi pierwsze po ich ślubie święta Bożego Narodzenia.

- Witajcie i przyjmijcie słowa podziękowań od starego człowieka, z którym postanowiliście świętować narodzenie Pana. Na królewskim dworze z pewnością stoły uginają się od potraw...

Boże, jak on się zestarzał, pomyślała Gisele, patrząc na ojca, który ciężko wspierał się na ramieniu sługi. Nie widziała go zaledwie kilka miesięcy, a zmienił się nie do poznania. Jakby zmałał i skurczył się, a przy tym złagodniał i wyciszył wewnętrznie. I gdzież była owa pogarda, którą zawsze widziała w jego oczach, gdy na nią patrzył? Nie zostało po niej ani śladu. Zastąpiła ją życzliwa ciekawość.

- A więc to jest twój mąż, córko? - powiedział, z aprobatą przyglądając się Brysowi.

Ze zdumieniem wyczuła w jego głosie nutkę ojcowskiego uczucia. A więc to tak, pomyślała, znalazłam sobie męża, a więc ze złej córki nagle stałam się dobrą.

- Ojczy, oto Brys, baron de Balleroy - odparła chłodnym tonem.

- Dziękujemy za zaproszenie, panie - rzekł jej mąż.
- Czujemy się zaszczytzeni. - Mężczyźni podali sobie ręce.

Gisele poczuła się prawie rozżaloszona tym, że Brys, miast wykazywać pewną rezerwę wobec teścia, jest dla niego taki serdeczny.

- Usiądźmy przy kominku. - Księżę de l'Aigle wskazał na trzy krzesła. - Ja ogrzeję swoje stare kości, wy zaś odtajecie po długiej podróży w ten zimny i wietrzny dzień.
- Spojrzał na sługę. - Robercie, zechciej przynieść wina i coś do zjedzenia.

Gisele nie wierzyła własnym uszom! Jej ojciec, zamiast huknąć na Roberta, jak to miał w zwyczaju, zwrócił się do niego wręcz po przyjacielsku.

Usiedli, stary księżę pomiędzy córką a zięciem.

- Córko, pozwól, że cofnę się pamięcią w przeszłość. Z listu królowej wiem wszystko o tym, jak powitała cię angielska ziemia. Mało co nie zginęłaś haniebną śmiercią, lecz Bóg zesłał ci wybawcę. - Położył dłoń na ramieniu Brysa. - Do końca życia będę ci wdzięczny, mój panie - rzekł i przeraźliwie załkał.

Gisele zmartwiła. Nigdy jeszcze nie widziała łez w oczach tego człowieka. Nie płakał nawet po śmierci swej żony, a jej matki.

- Pewnie dziwisz się, moja córko - rzekł starzec, gdy już się uspokoił - owej przemianie, jaka zaszła w twym ojcu? Otóż miałem ostatnio dużo czasu, by przemyśleć pewne sprawy. W dzień, kiedy nadszedł list od królowej,

miałem atak serca. Przez wiele dni walczyłem ze śmiercią...

Gisele zaczerpnęła haust powietrza. Miała wrażenie, że się dusi;

- Nie powiadomiłeś mnie o tym, ojczec...

Machnął ręką, ,

- Nigdy nie lubiłem pisać listów. Zresztą, gdybym umarł, i tak byś się o tym dowiedziała... Leżałem więc i myślałem. I wreszcie doszedłem do wniosku, że byłem skończonym głupcem. - Uśmiechnął się, jakby z żalem i przepraszająco. - Żyłem, nie mając pojęcia o skarbach, jakie posiadam. Zamieniłem życie twojej matki w piekło, a dla ciebie byłem bardziej surowym sędzią niż ojcem. - Przeniósł wzrok na Brysa. - A wszystko dlatego, mój panie, że nie miałem syna, którego tak pragnąłem. Nie wiedziałem, że posiadam klejnot, którego każdy mógłby mi pozazdrościć.

- I teraz tego klejnotu zazdroszczą mi inni - rzekł Brys, wpadając w słowo teściowi.

Stary książę westchnął.

- Tamtych straconych lat nie da się już odzyskać. - Znow skupił całą uwagę na córce. - Chciałem widzieć cię w to ostatnie dla mnie Boże Narodzenie...

- Ależ ojczec! - przerwała mu ze łzami w oczach. - Jeszcze możesz wiele razy świętować razem z nami narodziny Pana, Jezusa Chrystusa!

- Być może, nie znamy wszak przyszłości. Jednak Nowy Rok zamierzam powitać już w klasztorze w Bec. To już zdecydowane. Resztę życia spędzę jako mnich. L'Aigle przepisuję tobie, moja droga córko. Wiem, że ty

i twój dzielny małżonek nie zmarnujecie tego dziedzictwa. Pod waszymi rządami rozkwitnie jeszcze bardziej.

- Ależ ojciec... - zaczęła, lecz musiała przerwać, gdyż stary człowiek zamknął ją w swoich ramionach. Nigdy jeszcze w życiu nie była tak blisko niego.

- Nie płacz, moja droga Gisele. Decyzja ta przyniosła mi ukojenie, nie smutek. Poza tym wszelkie żale i płacze źle wpływają na dziecko, które nosisz w swym łonie.

- Więc wiesz? - spytała ze zdumieniem, machinalnie dotykając brzucha, który dopiero zaczynał się zaokrąglać.

Na pomarszczonej twarzy starego księcia wreszcie pojawił się uśmiech.

- Promieniejsz macierzyństwem, moja córeczko, nie sposób tego nie zauważyć. - Pochylił się i pocałował ją w czoło. - A teraz już kończmy ze łzami. Czas zacząć cieszyć się Żłóbkim i Gwiazdą Betlejemską.